

Joanna Jodełka

ZABÓJSTWO
W KRAJU UŚMIECHU

THAI CRIME



Zbrodnia nieco egzotyczna

Joanna Jodełka

**ZABÓJSTWO
W KRAJU UŚMIECHU**

THAI CRIME



Copyright © by Joanna Jodełka, 2023

Projekt okładki: Olga Bóldok-Banasikowska
Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal; mhlal@grupazpr.pl
Redaktor nadzorująca: Anna Sperling
Redakcja: Zofia Rokita
Korekta: Małgorzata Ablewska, Mariola Niedbał
Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Zdjęcie Joanny Jodełki: Piotr Grzybowski

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

ISBN: 978-83-8343-122-2

Wydawca:

TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Część I SZMARAGDY W MLEKU

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Część II SMO CZY WIATR

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Część III KRAINA UŚMIECHU

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Epilog

Posłowie

Część I

SZMARAGDY W MLEKU

Rozdział 1

Luzi Lu

Luzi Lu bardzo ostrożnie ułożyła swoje krągłe pośladki na krawędzi starej, trzeszczącej łódki. Miała na sobie złoty strój kąpielowy, który składał się z kilku skrawków materiału i sznureczka wciskającego się pomiędzy pośladki. Siedząc w miarę stabilnie, poprawiała maleńkie trójkątne biustonosza, tak by przysłaniały brodawki sprężystych niczym piłeczki tenisowe piersi. Zadowolona, zaczęła wyginać się, podziwiając połyskującą w świetle zachodzącego słońca skórę. Drobinke złota utopione w balsamie do ciała migotały, a wąska łódka sunęła, ledwo wystając nad powierzchnię Mekongu, który rozlewał się leniwie na laotańskim rzeczonym archipelagu zwanym Si Phan Don i płynął niespiesznie, oplatając niezliczonymi odnogami mniejsze i większe wysepki.

Dwudziestojednoletnia Węgierka sama ochrzciła się imieniem Luzi, a kiedy miała dwanaście lat, dołożyła „Lu” dla oryginalności. Teraz balansowała na krawędzi łódki i przyjmowała wymyślne pozy do selfie – chciała zrobić sobie jak najlepsze zdjęcia. Uważała przy tym, by nie wypaść z łódki, choć na tym odcinku mętna rzeka nie wyglądała zbyt groźnie, a tafla wody marszczyła się ledwie zauważalnie. Nie było też zbyt głęboko. Przepłynęli obok brodzących dzieci, które koszami wylawiały małe rybki, potem minęli pasące się rzeczne bawoły zanurzające swoje wielkie łby, by wyjadać trawę z dna. Dostrzegła też półtorametrowego węża, który z wystającą ponad wodę głową płynął tuż pod powierzchnią. Nie chciała zobaczyć go po raz drugi. Zależało jej tylko na jednym. Na dobrych zdjęciach samej siebie na tle rzeki, w Krainie Czterech Tysięcy Wysp.

Większość tych wysp przypominała łąki ziemi z kępami wysokich traw, ale z oddali wyglądały malowniczo z opływającymi je łódeczkami tubylców w stożkowych czapczkach, na tle zachodu słońca, który nad bezbrzeżnymi rozlewiskami każdego dnia improwizował kolejny spektakl, rozlewając po niebie róże, pomarańcze i gasnące błękity.

Widoki były oszałamiające, kolory spektakularne, a światło odchodzącego dnia przydawało skórze Węgierki wyjątkowego blasku. Jej kostium się mienił, odbijając ostatnie promienie słońca, a końcówki długich, ciemnych włosów połyskiwały unoszone przez wiatr. Luzi Lu odgarniała je wdzięcznym gestem i robiła jedno zdjęcie za drugim. Każde kolejne było lepsze od poprzedniego. Wiedziała bez sprawdzania, że żaden nawet najbardziej profesjonalny filtr nie otuli jej tak naturalnym, ciepłym blaskiem jak światło o tej magicznej, złotej godzinie.

Z poczucia satysfakcjonującego samozadowolenia wybiło ją głośne chrząkanie dobiegające z drugiego końca łodzi.

– Za chwilę się ściemni. Możemy już wracać?

Luzi Lu oderwała wzrok od skierowanego na siebie wyświetlacza telefonu i spod wściekle zmrużonych powiek rzuciła spojrzenie w kierunku Fina, który sterował łódeczką. Zdawała sobie sprawę, że jego zainteresowanie zgrabną dziewczyną ze złotym telefonem najnowszej generacji i z profesjonalnym wysięgnięciem już dawno przerodziło się w znużenie i prawdopodobnie chciał jak najszybciej dobić do brzegu, odstawić i ją, i łódkę... Ale jej było zupełnie obojętne, czego chciał Fin.

Po to wynajęła Europejczyka, a nie Laotańczyka, by dokładnie wytłumaczyć mu, jak ma się zachowywać: miał płynąć tak, by nie chlapać, ustawiać się ze słońcem, zatrzymywać na każde zawołanie, pilnować, by nie wypadła z łódki ani ona, ani jej złoty telefon, a przede wszystkim niczego nie komentować. Nie oczekiwała zrozumienia i uznania dla swej ciężkiej pracy, bo jego mało obchodziło, że robione właśnie

zdjęcia zobaczy jakies pół miliona osób, a może i więcej. Obstawiała nawet rekord z racji pięknej przyrody, niesamowitego kolorytu i niedostępności miejsca.

Miała wyjątkowo profesjonalne podejście do tła, na jakim się fotografowała. Bez znaczenia, czy to pustynia, sawanna, czy lodowa kra, zawsze była doskonale przygotowana. Jeśli to był piasek, wiedziała, jaką ma grubość, jeśli trawa – jaką wysokość, jeśli kra – kiedy stopnieje, a jeśli zachód słońca na sto piątym stopniu długości geograficznej – ile będzie trwał. Instagram nie był jej głównym źródłem dochodu, ale najbardziej ulubionym.

– Jeszcze trzydzieści sześć minut do zachodu – oznajmiła, zaszczycając go odpowiedzią.

Nie miała zamiaru niczego więcej mu tłumaczyć. Doskonale wiedziała, że tutaj słońce zachodzi tyleż spektakularnie, co szybko. Nie chciała więc zmarnować ani minuty. I była zła na Fina, że jej przerwał, bo musiała ponownie ułożyć troczki ze szklanymi koralikami na udach, mając nadzieję, że jeszcze chwycą trochę światła, wygiąć ciało i zamachać głową, tak by rozwiać niedbale włosy. Zlekceważyła głośne westchnienie znużonego sternika. Była zdeterminowana, chciała udowodnić całemu światu, że potrafi robić dobre zdjęcia.

Poznany w barze Fin jak do tej pory wywiązywał się ze swego zadania w miarę poprawnie. Mieszkał na Don Det, jednej z wysp rzeczno archipelagu, pochwalił się, że ma własną łódkę, i wyglądał dosyć stylowo. Miał chudą, przeoraną zmarszczkami twarz. Niesprecyzowany wiek. Wojskową koszulę, na szyi srebrne nieśmiertelniki, a na rękach kolekcję bransoletek: ze sznurków, z rzemyków, łańcuszków i prujących się tasiemek, jakby właśnie wyszedł z laotańskiej dżungli, nie wiedząc, że skończyła się któraś z wojen. Jego przedwcześnie podstarzały wygląd doskonale kontrastował ze świeżością i z młodością Luzi. Udało się jej też uchwycić w kadrze jednego tubylca, który podpłynął do nich w nasuniętej na oczy stożkowej czapce z ryżowej słomy i krótką chwilę rozmawiał z Finem. Od tego momentu jej sternik zaczął się wyraźnie niecierpliwic.

Jednak Luzi Lu już dawno nauczyła się nie zwracać uwagi na pretensje ludzi, szczególnie tych, którzy byli od niej dwa razy starsi, chętnie brali jej pieniądze, ostentacyjnie lekceważąc jej pracę. Tak samo jak uwolniła się od pazernej matki, która zarabiała na niej od dziecka. Raz na zawsze pozbyła się także jeszcze bardziej chciwego niż matka chłopaka, który zagarnął i wydał wszystkie zarabiane przez nią pieniądze. A pracowała od dwunastego roku życia, więc było tego niemało. Teraz nie zamierzała się już z nikim dzielić.

– Musimy wracać – powtórzył Fin, oglądając się za siebie.

– Nie musimy – odparła Luzi, układając się na drewnianym zadartym dziobie, i wyciągnęła przed siebie długi statyw z telefonem. Właśnie patrzyła w wyświetlacz i próbowała ulokować swój obojczyk tuż nad mieniącą się setkami refleksów taflą, gdy nagle poczuła silne szarpnięcie i zwrot łódki, która przestała dryfować, tylko pruć teraz z pełną mocą. Telefon wypadł z uchwytu i poturłał się na dno łodzi. Mocna fala oblała jej twarz, a z włosów zaczęła ściekać woda. Nie zdążyła zareagować, gdyż w ułamku sekundy sturła się z dziobu na dno, uderzając głową o ławkę do siedzenia.

– Co jest?! – warknęła, próbując podnieść się na kołyszącej łodzi.

Fin oglądał się za siebie i nie zwracał na nią uwagi. Podczołgała się w jego kierunku, a gdy tylko do niego dotarła, zwolnił.

– Przepraszam – powiedział. Luzi Lu skrzywiła się.

Schyliła się, by podnieść telefon, zamierzała też wyrzucić z siebie wiązkę przekleństw, ale wtedy Fin chwycił ją za ramię i jednym szybkim gestem wypchnął z łódki. Wylądowała w wodzie i od razu poszła na dno. Zszokowana, zaczęła się szamotać, przebijając rękami i nogami. Z początku chaotycznie, ale szybko wyczuła grunt, w którym zaczęła grzęznąć. Darła się wniebogłoso, ale warkot ścigających się w pobliżu drewnianych łódeczek zagłuszył jej krzyki. Wściekle walnęła ręką o wodę i z trudem zaczęła iść w kierunku oddalonego o sto metrów brzegu. Po trzech krokach wpadła w jakąś dziurę, wydostała się. Wtedy spostrzegła, że zbliża się do czegoś wielkiego i dziwnego. Rozpoznała dwa wielkie rzeczne bawoły. Płynęły, wysta-

wiając wielkie nozdrza ponad wodę. Ruszyła za nimi. Rogate stwory wystraszone goniącym je człowiekiem szybko wyszły na brzeg i natychmiast uciekły w gęste krzaki.

Kiedy Luzi Lu także wyszła na brzeg, odgarnęła strąki oblepionych mułem włosów, poprawiła trójkąci biustonosza i bosy ruszyła dróżką w głąb lądu, machając rękami, by odgonić chmury komarów. Wściekłość nie pozwalała się jej uspokoić. Uciekł przed nią ujadający wcześniej pies, uciekła także starsza kobieta, uznając ją chyba za półnagiego ducha, który wynurzył się z zarośli, a przejeżdżający motorkiem chłopak dodał gazu, nie oglądając się za siebie.

Po godzinie dotarła do hostelu, a po dwóch była już w barze nad rzeką, w tym, w którym poznała Fina. Poważnej postury barman z Holandii przetarł starą ścierką kontuar baru. Dobrodusznie spojrzął na drobnej postury Węgierkę i podrapał się po лыsej głowie ozdobionej kilkunastoma tatuażami.

– Nie radzę go szukać – powiedział, stawiając przed nią kieliszek z laotańskim bimbrem, nalany wprost z plastikowej butelki.

– Nie potrzebuję rad – warknęła Luzi, oglądając poranioną stopę, od której odklejał się plaster. – Gdzie go znaleźć? – spytała i chlusnęła alkoholem na świeże rany.

– Nie znajdziesz – stwierdził barman, wycierając ręce. – Zaszyje się gdzieś w dżungli.

– Nie ma takiej dżungli, w której by się przede mną ukrył. Ma mój telefon – dodała, patrząc na swoje udo, całe w czerwonych plamach po ugryzieniach komarów.

– On dostał już ostrzeżenie od laotańskiej policji, a i tak popłynął pod granicę z Kambodżą. Chyba myślał, że będziesz niezłą przykrywką dla tej eskapady – Luzi Lu spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zaciśnęła usta i słuchała dalej. – Na tej łodzi musiała być niezła ilość metamfetaminy. Nie wiedziałaś, że ma z tym problem?

– Nie interesują mnie problemy innych ludzi – prychnęła. – Ma mój telefon.

– Kupisz sobie nowy. Odpuść – westchnął, drapiąc się za uchem.

– Ja nigdy nie odpuszczam – stwierdziła Luzi Lu i poprosiła o kolejny kieliszek. Barman nalał i jej, i sobie. Tym razem wypila.

– Aha, bym zapomniał – powiedział, pukając się ręką w wytatuowaną łysinę. – Czekaj... – odwrócił się i wyjął zardzewiałą pineskę z barowego słupka, uwalniając przyszpiloną kopertę. – To dla ciebie.

Zdziwiona wyjęła z rudej koperty równie rudą kartkę i zaczęła czytać. Gdy skończyła, przekreśliła głowę, spojrzała w górę i zaczęła intensywnie myśleć. Nad nią dyndała dekoracja z ponawlekanych na sznurki zardzewiałych kapsli od piwa. Ale nie widziała dekoracji ani nie słyszała jazgotliwych dźwięków, intensywnie myślała.

*

Nad mazurską Krainą Wielkich Jezior zapadał zmierzch i sypał śnieg. Lecące z nieba białe płatki lepiły się do zmarzniętej ziemi lub rozpuszczały w wielkich stawach pełnych jesiotra. W rezydencji na wzgórzu paliło się światło.

Niebieska, zimna poświata migającego komputera padała na twarz starszej, drobnej kobiety, która miarowo stuknęła palcami o blat mahoniowego biurka. Zadbane paznokcie wybijały jednostajny rytm, do momentu, w którym jeden z pierścionków przekreślił się oczkiem do wnętrza dłoni. Wytrącona z zamyślenia kobieta odwróciła okazałych rozmiarów bursztyn, odgarnęła palcami srebrzystosiwę włosy i kliknęła w klawiaturę.

Twarz Luzi Lu zniknęła z wielkiego ekranu. Zostało tylko małe zdjęcie w kółeczku i streszczone dane: ile osób lubi, ile śledzi, ile obserwuje. Motto świadczące o uwielbieniu dla życia, podróżowania, łacińska sentencja: *navigare necesse est, vivere non est necesse*¹, kilka serduszek i parę słów o braku chęci do jakichkolwiek kompromisów. Kobieta odepchnęła się od blatu. Kółka gabinetowego fotela bezdźwięcznie przesunęły się po gładkim parkiecie. Na drugim końcu leżała owalna podkładka z cielęcej skóry chroniąca cenne

drewno. Teraz była tłem dla siedmiu rozłożonych w kręgu fotografii. Każde ze zdjęć przedstawiało inną postać: w innym wieku, innym ubraniu, odmiennej narodowości i karnacji, o różnej postawie i grymasie, innym spojrzeniu, *en face* i z profilu.

– Ktoś z was... ale kto? – zapytała siebie, po czym westchnęła i zmęczonym gestem zrzuciła z zadartego nosa okulary. Eleganckie oprawki zawisły na ozdobnym łańcuszku, odbijając zimne światło migającego monitora.

Wstała. Podeszła do parapetu, na którym paliła się wąska świeczka wetknięta w srebrny świecznik. Płomyk oświetlał zdjęcie starszego pana, którego twarz okalały srebrzysta siwizna gęstych włosów i starannie przycięta, prawie biała broda. Mężczyzna miał roześmiane oczy, radośnie uniesione policzki i pogodnie zmarszczki zadowolonego z siebie człowieka.

Na twarzy Anny Strąg zatlił się uśmiech. Znikł, gdy tylko dotknęła ciemnej aksamitki opasującej róg czarno-białej fotografii.

1 Sentencja wypowiedziana przez Pompejusza wchodzącego na statek: „Żeglarstwo jest rzeczą konieczną, życie nie jest”.

Rozdział 2

Mia Jacobee

Khmerska dziewczyna w przybrudzonej czapeczce z prującym się logo Gucciego, poplamionej lekko kurtce ozdobionej splątanymi literami CC i legginsach w kratkę Burberry dostrzegła zbliżającą się do przystanku młodą, pulchną blondynkę w okularach. Poderwała się z ziemi. Chwyciła różowe wiadro wypełnione lakierami do paznokci, zmywaczami i innymi akcesoriami do pedicure'u. Podbiegła do białej dziewczyny i pokazała jej kilka słoiczków, wskazując na jej palce u stóp, ale ta odwróciła głowę i bez słowa ruszyła w kierunku plastikowego, powyginanego krzeselka. Rozgrzane od upału siedzisko stało na przystanku w niewielkiej miejscowości na południu Kambodży. Miejscowości, której nazwy żaden cudzoziemiec nie potrafił poprawnie wypowiedzieć.

Mia Jacobee była ładną dwudziestoczteroletnią Australijką, z lekką nadwagą i sporą wadą wzroku. Miała splątane w kok blond włosy, zaróżowione policzki i odbijające tęczowe refleksy okulary w drucianych oprawkach. Na plecach dźwigała plecak z przywiązanymi za sznurówki butami. Ubrana była w luźny, powyciągany podkoszulek, spodnie na gumce, których deseń tworzyły trzymające się za trąby słonie, oraz przewieszoną przez ramię torbę z frędzlami majtającymi się gdzieś na wysokości kolan. Mówiła sześcioma językami z łaciną włącznie. Ale teraz nie szukała towarzystwa, chciała jedynie wydostać się z tego miejsca i to jak najszybciej, zanim ktoś się zorientuje, co zrobiła.

Od Khmerki, która siedziała na krawężniku u jej stóp, odwróciła się przede wszystkim dlatego, że w każdej chwili mogła znowu się rozplakać. Poza tym nie wiedziała, czy podsuniecie paznokci do malowania jest wsparciem jej biznesu czy wykorzystaniem swojej pozycji. Czy to dobre działanie, czy nie. Akceptowalne czy nie.

Zrzuciła na ziemię torebkę i przesunęła krzeselko bliżej filara. Oparła głowę, narzuciła na twarz chustę pofarbowaną w tęczowe wzory i zamknęła oczy. Chciała odpocząć. Czekają ją kolejne cztery godziny jazdy lokalnym transportem. Tutaj dotarła po sześciu godzinach, z czego trzy wciśnięta między kilkanaście osób, z jakimiś zwierzętami i workami z ryżem pośrodku. Po drewnianej ławce w autobusie plastikowe krzesło zdawało się jej siedziskiem mniej więcej tak samo wygodnym jak skórzany, pikowany fotel w wielkim gabinecie jej ojca.

Jeszcze miesiąc temu wiedziała, co chce robić przez resztę życia. Skończyła liceum z internatem, studia geologiczne na innym kontynencie i staż w jednej z kopalni, w której ojciec był większościowym udziałowcem. Zrobiła wszystko, czego zażądał, tak jak było w umowie. Po czym ostentacyjnie trzasnęła drzwiami i wyjechała. Obwiniła go o ocieplenie klimatu, degradację środowiska i większość nieszczęść dotyczących lokalne społeczności na wszystkich kontynentach. O zamiarze ekspansji w Arktyce i rozwodzie z matką nie chciała nawet wspominać.

Kiedyś pokłóciła się z ojcem śmiertelnie i postanowiła zająć się bezinteresowną pracą w jednym z najbiedniejszych krajów na świecie. Wszystko po to, by małymi kroczkami naprawiać to, co ojciec i jemu podobni zdążyli popsuć. Miała jasny, dobry plan.

Gdy była jeszcze licealistką, pojechała na wakacyjny wolontariat do sierocińca w Kambodży. Postanowiła tam powrócić. Ale tamten wyjazd był zorganizowany, a teraz kupiła bilet i sama przyleciała, bez żadnego zaproszenia. Wystarczyło kilka rozmów, by się zorientować, że w miejscu, w którym się znalazła, większość dzieci miała rodziców, tylko oddali je za odpowiednią opłatą, by przybysze z bogatszego świata mogli się nimi zajmować. Czasami w dobrej wierze, czasami licząc na edukację potomstwa, czasami odpowiednio namówieni i przekonani, nie mając pojęcia, na co się godzą. Przeciwnie do zarządzających siero-

cińcem – oni doskonale wiedzieli, co chcą uzyskać. Zależało im, żeby ich podopieczni byli jak najbardziej obdarci i zabiedzeni. Współczujący wolontariusze kupowali dzieciakom w zaprzyjaźnionych sklepach ubrania, zabawki, pomoce szkolne, a zaraz po ich wyjeździe wszystkie te rzeczy wracały do tych sklepów.

Mia Jacobee zobaczyła to wszystko na własne oczy. Zrozumiała, że została wmanipulowana w starannie zorganizowany amoralny proceder, do którego się w swoim czasie dołożyła. Było dokładnie tak, jak ostrzegal ją siwy, brodaty Polak, którego spotkała w Bangkoku. Miał rację! Ale wtedy ona nie chciała go słuchać. Obraziła się, i to śmiertelnie. Poprosiła nawet, by wysiadł z tuk-tuka, bo dalej chce jechać sama. Za bardzo przypominał jej ojca. Myślała o tym po raz setny.

Nagle poczuła silne szarpnięcie. Krzesło, na którym siedziała, zachwiało się. Szamocząc się z chustką na głowie, zwała się na ziemię, przyduszając nogę małego chłopca. Chudy dzieciak w poszarpanej, brudnej koszulce Emirate's Flay ciągle trzymał w rękach pasek od jej torebki. Mały złodziej musiał chwycić sznurkowy worek, nie widząc, że wcześniej noga plastikowego siedziska wplątała się w frędzle. Szarpnięcie spowodowało, że zwała się razem z krzesłem. Przytrzymała chłopca, chcąc z nim porozmawiać, ale zaczął się wic jak węgorz. Na chodniku leżało szkło i, wierzgając, rozciął sobie skórę na kolanie i wcierał w nią brud z ulicy. Mia Jacobee próbowała trzymać go mocniej, by przestał się rzucać i robić sobie krzywdę. Chciała zdezynfekować ranę, opatrzyć, a potem porozmawiać z rodzicami dziecka. Nie zdążyła. Nad jej głową stanęła khmerska dziewczyna i zaczęła nieprawdopodobnie wrzeszczeć na chłopaka, ciągnąc go za włosy do góry. Mia Jacobee odruchowo puściła jego nogę, a ten natychmiast uciekł. Uliczna pedicurzystka krzyknęła jeszcze kilka razy za chłopakiem, odgrażając się w niezrozumiałych słowach, po czym nachyliła się i pomogła jej wstać. Na koniec zaczęła zbierać z chodnika rzeczy, które powypadały z torebki.

Jeszcze miesiąc temu to Mia Jacobee zaczęłaby krzyczeć: że to nie jej potrzebna jest pomoc, tylko dziecku, które najprawdopodobniej zmuszone przez okoliczności uszkodziło się przy nieudanej próbie kradzieży. Że to ono potrzebuje wsparcia, a nie ona. Że system należy zmieniać... Ale teraz było to ponad jej siły. Popatrzyła na dziewczynę zbierającą jej rzeczy i rozplakała się na dobre. Zanosząc się płaczem, kucnęła, wytarła rękawem zasmarkany nos i zaczęła chować do torebki podawane jej przez Khmerkę przedmioty: płyn na komary, filtr przeciwsłoneczny, grzebień, spinkę do włosów... Jej uwagę zwrócił teraz zmięty kawałek rudego papieru, którego nie wyrzuciła wcześniej tylko dlatego, że akurat nie mogła znaleźć śmietnika. Z tego, co pamiętała, było to jakieś zaproszenie, ale nie zamierzała z niego korzystać. Zaczęła je czytać po raz drugi.

Po godzinie Mia Jacobee była już spokojna i miała cel. Patrzyła na swój plecak, który był właśnie przywiązywany do dachu szykującego się do drogi busika, oraz na swoje pomalowane na pomarańczowo paznokcie, z zadowoleniem podjadając zakupione na drogę smażone banany. W sznurkowej torbie miała jeszcze solidną porcję okry w tempurze, kilka pączków ze słodkiego ziemniaka i smażone warzywne spring rollsy z podwójną ilością słodko-kwaśnego sosu. Zajadała więc i po raz kolejny czytała starannie rozprostowane zaproszenie.

Wydrukowane było na grubym, ładnym papierze, w kolorze pasującym do treści, czyli w kolorze cynamonu.

*

W tym samym czasie młody porucznik Surasak Jintana nabrał pałeczkami pokaźną ilość makaronu z dzikiego ryżu i siorbnał zupę. Siedział w niewielkiej, prawie pustej restauracji i czuł, że jest obserwowany. Przed chwilą obsługująca go dziewczyna ustawiała przed nim miseczki i... prawie przewróciła się z wrażenia. Biegiem wróciła za kontuar i już po sekundzie zaczęła pisać do ucha przywołanej koleżanki. Porucznik Surasak Jintana jęknął pod nosem.

Jego kariera w policji przebiegała wprost odwrotnie do sukcesów zyskującego coraz większą popularność aktora telewizyjnego, do którego – zdaniem kobiet – był ładząco podobny. On sam miał na ten temat

inne zdanie, ale to nie miało większego znaczenia. Serial okazał się przebojem, co bardzo wyraźnie zaczęło wpływać na jego życie osobiste. Nic dziwnego. W miłosnej dramie śmiertelnie chory aktor, Joe Sukkasem, umierał przez kilkanaście odcinków, a żona szefa nie była jedyną kobietą, która chciała się nim zaopiekować. Najprawdopodobniej dlatego został oddelegowany do tej sprawy.

Teraz usiłował w spokoju zjeść, udając, że nie widzi starszej kucharki, która wybiegła z zaplecza zwabiona śmiechami młodych dziewczyn. Odwrócił się do nich plecami i doprawił kompozycję wywaru cukrem, octem i wędzoną pastą chili. Jadł, czując na sobie wzrok trzech kobiet. Ucieszył się więc, gdy zadzwonił jego telefon. Odebrał, słuchając kątem ucha.

- Tak... Pamiętam... - potwierdził, wrzucając do zupy poodrywane listki tajskiej bazylii. - Ta z tym Polakiem, który utopił się w rzece. Aha. Jakie zaproszenie? A... - prychnął, wycierając brodę. - Narkotyki? Nie narkotyki... to i dobrze - ucieszył się, dorzucając kielków. - Nie mieszamy się w sprawy farangów. Cudzoziemcy to nie nasza specjalność. Chcą się rozliczać ze sobą, niech się rozliczają - przerwał stanowczo. - Dobrze, mów...

Słuchając, chwycił pałeczkami wijący się makaron, wciągnął na raz pęk cienkich ryżowych nitek, nabrał łyżeczką wywaru i zaczął wysiorbywać jej zawartość, gdy nagle prychnął, opluwając pół stolika przed sobą.

- Ile?! - zapytał, przecierając twarz. - Dziewięćdziesiąt dziewięć milionów... - powtórzył to, co usłyszał. - Aha... - westchnął i rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku dziewczyn. Te również otworzyły usta z wrażenia. - Kto? Wymieniaj! - zażądał dosadnym tonem i słuchał z wyjątkowo skupioną miną.

Rozdział 3

Lorenzzo Capella

Lorenzzo Capella, niespełna trzydziestoletni Włoch z maleńkiej miejscowości nieopodal Palermo, wpadł do swojego pokoju hotelowego. Zamknął za sobą drzwi i po sekundzie, szarpiąc za klamkę, sprawdził jeszcze raz, czy aby na pewno są zamknięte. Oparł ciężką głowę o futrynę, przymknął powieki, otarł ręką perlący się na czole pot i odgarnął pozlepiane czarne kędziory. Uspokojony, tępo patrzył na wielką przeszkloną ścianę.

Widok na trzydziestomilionowy Bangkok zapierał dech. Morze światła na kilkunastu poziomach i wysokościach ciągnęło się po horyzont. Gigantyczne reklamy pulsowały bajecznymi wizjami, prezentując rajskie plaże, lśniące czerwienią auta, doskonałe twarze z oczami wielkości domów. Z tej wysokości ulice wyglądały jak rzeki, po których maleńkie samochody płyną nieprzerwanymi i niekończącymi się strumieniami. Patrzył i ani drgnął. Do czasu...

W kieszeni jego białych lnianych spodni zaczął wibrować telefon. Nie chciał odbierać. Zdjął z siebie kanarkową koszulę i zsunął z nogi jeden niebieski mokasyn, z drugiej nogi nie miał co zsuwać, bo stopa była bosa i brudna. Nie zwracał na to uwagi. Napił się wody z butelki, resztką oblał twarz i opadł na łóżko. Przykrył głowę poduszką. Nie pomogło. Już po sekundzie znowu miał pod powiekami, jak odkrawa maleńkie kawałki cabozzoli, rozsmarowuje gorgonzolę na cienkiej grzance, odłamuje kawałki pecorino Romano, kruszy parmigiano reggiano i to wszystko podaje wprost do ust rozanielonej dziewczyny. Ta rozchyła słodko wargi i degustuje włoskie sery, zachwycając się ich smakiem. Czasami śmiesznie krzywi nos, oblizuje usta, przeciera wargi koniuszkiem serdecznego palca. A on natchnionym głosem opowiada jej o każdym z podawanych serów: z jakiego są regionu, jak długo dojrzewają i z czym najlepiej smakują.

Miała na imię Wassenna. Poznał ją w restauracji, w której pracował. Była przepiękna. Nie mógł się doczekać, kiedy prześle ich wspólne zdjęcie. I o mały włos do tego nie doszło... I to dokładnie tego dnia! Od zawsze prześladował go pech. Gdyby przysłała, nie miałby po co wracać nie tylko do pracy w Bangkoku, ale i do Włoch.

Wpadł do łazienki i włożył głowę pod kran. Po wijących się strąkach kręconych włosów spływała woda, zalewając mu oczy. Widział w lustrze swoją minę i był przekonany, że była podobna do tej, jaką miał wtedy w recepcji, gdy ta śliczna dziewczyna zaproszona do pokoju pokazała swój dowód. Na zdjęciu z dokumentu widniała twarz młodego chłopaka. „Brat bliźniak?“, zaśmiał się. „Nie wiedziałeś?!“, zapytała Wassenna, gniewnie marszcząc czoło. Odnosił wrażenie, że powiedziała tonem o wiele niższym niż do tej pory. Spojrzał ponownie na zdjęcie. I znowu. I jeszcze raz i ciągle widział tam twarz chłopaka. W końcu zrozumiał. Zaczął się wycofywać, a potem uciekać. W drodze do drzwi swojego pokoju potknął się i rozpląszczył na glazurowej posadzce, jednak wstał równie szybko, jak się przewrócił. Biegł dalej przez środek lobby, nie oglądając się za siebie. Potrącił bagażowego, z nogi zsunął mu się mokasyn, nie wrócił po niego, gnał dalej...

Telefon zadzwonił po raz trzeci. Tym razem odebrał. I nie tylko dlatego, że ucałował porcelanową figurę stojącą w kamiennej wnęce pięćsetletniej ściany, przyrzekając na świętą Madonnę z Fiorentiny, że będzie odbierał.

- Lorenzitto, dlaczego ty nie odpowiadasz? - pytała rozeźlona matka.
- Byłem zajęty.
- Boże, do nocy? Żartowałam! Przyślij mamusi zdjęcie tej dziewczyny...
- Której? - wzdrygnął się.

– Nie wygłupiaj się! Przecież mówiłeś, że idziesz na randkę.

– Nie mówiłem!

– A... to twoi bracia mi powiedzieli – matka się zaśmiała. – Wiedzą, że muszą mieć na ciebie oko, bo jak ci włos z głowy spadnie... – Lorenzo zeszytywniał, po czym odruchowo zaczął oglądać się dookoła siebie.

– Są na Sycylii – stwierdził pytającym tonem.

– I co z tego – prychnęła dumna matka. – Oczy mają wszędzie.

– Dam sobie radę... – powiedział, postanawiając wyjechać z miasta chociaż na jakiś czas. Na wszelki wypadek zniknąć z tych oczu, które są wszędzie. Wysunął spod szafy walizkę.

– Nie martw się! Adwokat mówi, że już niedługo będziesz mógł wrócić do domu. Ugotuję ci coś dobrego. Może jednak przysłać ci mąkę? Tam na pewno takiej mąki nie mają? A oliwa? Oliwa jest? Dobra oliwa to podstawa... No to jak się nazywa ta dziewczyna?

– Nie pamiętam.

– Nie oszukuj. Dobrze, że poszedłeś na randkę. Wiem, że ci przykro. Biedactwo moje. Wczoraj był jej ślub...

– Nie jest mi przykro! – krzyknął, otwierając szafę. Przykro by mu było, gdyby ktokolwiek się dowiedział, że w dniu ślubu swojej byłej narzeczonej umówił się z dziewczyną, która w dowodzie była chłopakiem.

– Wiesz, że ta dziewczyna wstydu nie ma, by iść do kościoła w sukience bez pleców. Ledwo wytrzymałam. Gdzie tam temu dentyście do ciebie. Szkoda, że zabroniłeś braciom się wtrącać.

– Poszłaś tam?!

– Co mówiłeś?! Nie słyszę... Nie martw się, znajdziesz ładniejszą.

– Jasne – mruknął do siebie, składając ubrania w jak najmniejszą kostkę.

– I co z tego, że była Miss Sycylii... Wcale taka ładna nie była, ty jesteś przystojniejszy...

– Prosiłem, żebyście dali mi święty spokój! – krzyknął i otworzył sejf. Wyjął z niego paszport, pieniądze i drewnianą skrzynkę wielkości wypchanej aktówki.

– Tylko nie myśl, że masz pecha – przestrzegala zatroskana matka.

– Dlaczego mam tak myśleć?! Dlatego, że to był mój dentysta? – burknął Lorenzo Capella.

– Dobrze już – przytaknęła. – Wcześniej czy później poznasz kogoś, kto się mamusi spodoba. A ta z randki by się mamusi spodobała?

– Nie – wzdrygnął się, przypominając sobie wąskie biodra Wassenny, które rzeczywiście teraz wydały mu się za wąskie. – To skończone.

– Szkoda – westchnęła. – A policji powiedziałam, że wyjechałeś i pracujesz w restauracji w Ameryce. Niech tam szukają... Prezent od braci jeszcze masz? – zapytała matka w momencie, gdy otwierała skrzynkę.

W wyściełanych atlasem wnękach znajdowała się kolekcja noży. Były przepiękne. Ostrza z najszlachetniejszej stali, wzór z adamaszku Balbach, rękojeści z drzewa oliwnego, ręcznie wykonane w Maniago, w ponadstuletnim warsztacie Orivettiego. Długi, ostro zakończony nóż, idealny do cięcia. Drugi wystarczyło umiejętnie chwycić, by zamienić w mechaniczną kołyskę. Kolejnym z jubilerską precyzją dało się oddzielić mięso od skóry. Szpikulcem mógł się wbić na każdą głębokość...

– Wolałbym gitarę – westchnął Lorenzo, zatraskując wieko.

– Synu... przecież, wiesz, że ze względu na rodzinę lepiej trzymać się w cieniu... a nie pchać na afisz. A ta dziewczyna to taka ze skośnymi oczami, to jaka? – dopytywała matka przyciszonym głosem. – Przyznaj się, i tak będę wiedziała...

Oby nie, pomyślał, wyciągając z szuflady cynamonową kopertę zapraszającą do Cinamon Serenity Spa Resort na jakiejś bezludnej wyspie.

– Synku, a nikt cię o nic nie wypytywał?

– Nie – odpowiedział, przypominając sobie starszego, siwowłosego, brodatego Polaka, który wyglądał jak kapitan statków morskich i utopił się w rzece. Rozpoznał go ze zdjęcia w gazecie. To kolejny powód, by wyjechać na jakiś czas.

– Masz rację, nie ma co rozmawiać przez telefon... Bo mi się w końcu te telefony pomyła.

– Nie dzwoń do mnie w najbliższym czasie, będę poza zasięgiem – oświadczył zdecydowanym tonem.

Matka głośno protestowała, a Lorenzo rzucił mówiący aparat na łóżko, a sam patrzył na migający światłami Bangkok. Żał mu było wielkiego miasta, ale może taki jego pech, by przebywać tam, gdzie się wszyscy znają, gdzie wszyscy kochają się prawie tak samo mocno, jak chcą pozabijać. Znał małe miejscowości, a ta wyspa była bardzo mała. Poza tym kupił ukulele, będzie mógł ćwiczyć.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – zapytała Signora Capella.

*

Anna Strąg zostawiła w korytarzu spakowaną walizkę. Była gotowa do drogi. Przez szklaną ścianę zobaczyła swojego dyrektora. Siedział w jej fotelu z nogami na biurku.

– Dzień dobry, panie Sebastianie. Wypastować panu buty? – zapytała zaraz po wkroczeniu do pomieszczenia.

Dyrektor Sebastian Kirch poderwał się na równe nogi i błady jak ściana stanął obok fotela, wyraźnie zdziwiony jej obecnością.

– Przepraszam – jęknął. – Nie było pani od pogrze... Przepraszam, nie wiedziałem, że pani przyjechała – poprawił się, widząc lekki grymas na twarzy szefowej.

– Tak. To bardzo dobre wyjaśnienie... hm... że pan nie wiedział – stwierdziła i usiadła na wygrzanym fotelu, patrząc, jak zdenerwowany dyrektor przeciera blat mankietem białej koszuli. Otworzyła usta, aby to skomentować, ale machnęła ręką. Wyjęła długopis.

– Przygotowałem dokumenty... Czy na pewno chce pani to podpisać?

– A mam się czego obawiać? – zapytała, zerkając na upoważnienia, które dawały dyrektorowi sporą władzę.

– Nie, oczywiście, nie... – zaczął nerwowo zaprzeczać, wsuwając kartki do podpisu pod zawieszony w powietrzu długopis.

– A tu zostawiam zestaw testowy – pokazał na plik kartek na srebrnej tacy. – Jeszcze te nowe etykiety. Należy zatwierdzić ten projekt... jak uzgodniliśmy jeszcze przed...

Anna Strąg popatrzyła na kolorowe wydruki. Złote litery na czarnym lśniącem tle. Zapętlony w przenikających się esach-floresach napis prezentował się świetnie. Musiała to przyznać. Logo firmy Marcus Caviar jeszcze nigdy nie wyglądało tak dobrze... I jeszcze nigdy nie było jej to tak obojętne.

– Może pan tu zostać i zająć gabinet... pod moją nieobecność – stwierdziła, podpisując projekty. – Zdaje się wygodnie się panu siedziało – dyrektor nie odezwał się, próbując przełknąć ślinę. – Ale jeśli ma pan problemy z krążeniem, to... – kontynuowała w swoim stylu, spoglądając na zeszytniałego zastępcę, ale, ku swemu zdziwieniu, nie chciało się jej kończyć zdania. Zamilkła.

– Jak długo pani nie będzie? – zapytał dyrektor, przerywając niezręcznie przeciągającą się ciszę.

– Dokładnie tyle, ile potrzeba.

– O wszystko zadbam. Czy mam w dalszym ciągu opłacać rachunki z Tajlandii, czy sama pani się nimi zajmie?

– Nie, nie zamierzam zajmować się płatnościami – oświadczyła po chwili namysłu.

– Zrozumiałem...

Anna Strąg zdawkowo kiwnęła głową i poczekała, aż wyjdzie. Chciała jeszcze chwilę pobyc sama.

Ze srebrnej tacy wzięła jeden z dwóch małych szklanych słoiczek. Starannie zaprojektowane, grube szkło przypominające kryształ mieściło dokładnie taką ilość ikry, jaką powinno. Wybrała ziarna o prze-

kroju trzy przecinek dwa milimetra. Otworzyła leżący obok niewielki futerał z czarnej laki i wyjęła małą łyżeczkę z masy perłowej. Nabrała niewielką ilość. Włożyła do ust i ze skupioną miną czekała, aż ikra rozplynie się po podniebieniu, pozostawiając w ustach słony smak.

Oceniła go. Wysoko. Ale bez przyjemności.

A gdy z jej oka spłynęła stróżka łez wprost na zaciśnięte usta, zlizwała je, doprawiając kawior kolejnym słonym smakiem. Teraz było go za dużo.

Rozdział 4

Scott Whitus

Scott Whitus, trzydziestopięcioletni Brytyjczyk z Duraham, niewielkiego miasta w północno-wschodniej Anglii, stał przy kontuarze w portowej knajpce i przyglądał się kucharkom. Knajpka usytuowana była na wyspie Phajam, jednej z najdalej wysuniętych na północ tajskich wysp Morza Andamańskiego. W przejrzyste dni widać było wybrzeże sąsiedniej Birmy. Ta bliskość sprawiała, że zapleczka restauracji i hoteli okupowali Birmańczycy. Łatwo było ich rozpoznać, szczególnie kobiety. Miały na policzkach wielkie koła lub długie smugi, wymalowane sproszkowaną jasną pastą, ucieraną z drzewa Thanaka – dla urody i ochrony skóry przed słońcem.

W knajpce krzesła były nie do pary, stoły różnej wysokości, plandeka chroniąca przed słońcem dziurawa w kilku miejscach, ale mało kogo to obchodziło, klienci bardziej cenili sobie niewiarygodnie piękny widok na plażę, morze i przystań, no i wspaniałe aromaty, jakie unosiły się w pomieszczeniu. Zapach wody morskiej i wodorostów mieszał się z zapachem sosu rybnego, limonek, czerwonego curry, liści kafiru i świdrujących nos smażonych papryczek chili. Jedzenie było przepyszne i niedrogie. Nic więc dziwnego, że od rana do wieczora ściągało tu pełno ludzi. To miejsce wybrał także Scott, nie tylko z racji dobrego jedzenia. Za dwie godziny miał tutaj przybić do brzegu prom towarowy, na którego pokładzie planował dostać się na ląd.

Palcem pokazał kucharce wyblakłe zdjęcie birmańskiej sałatki ze sfermentowanymi liśćmi herbaty. Nie omieszkął przy tym złożyć rąk w tajskim geście Wai, który wykonał niezwykle starannie: dłonie jak do modlitwy, łokcie przy sobie, palce wyprostowane. Złożone ręce uniośł wysoko, tak że kciuki powędrowały prawie do wysokości nosa, i jednocześnie skinął głową, nie za mocno, by nie stracić kontaktu wzrokowego. Podziękował, choć doskonale wiedział, że w tajskim, zhierarchizowanym społeczeństwie takie gesty nie należą się ani kelnerkom, ani kierowcom, ani prostytutkom, ani nikomu, kto wykonuje zleconą pracę, a już na pewno przed jej rozpoczęciem. Ale był farangiem, cudzoziemcem i było mu wolno znacznie więcej. Mógł peszyć i rozbawiać kucharki do woli. Dlatego powoli podnosił głowę i z rozmysłem łypał oczami, szeroko się przy tym uśmiechając i pokazując rząd śnieżnobiałych zębów. Ale to nie jego uśmiech przykuwał uwagę kobiet. Przy każdej okazji przyglądały się jego błękitnym tęczęwkom, a małe dzieci – jeśli tylko miały sposobność – wkładały palce do oczu Scotta, by sprawdzić, czy aby na pewno są prawdziwe. Rzeczywiście miał niezwykle duże błękitne oczy, które wydawały się jeszcze większe na tle jego bladej, piegowatej twarzy, rzadniejących rudych włosów i rdzawego kilkudniowego zarostu. Po jego ubraniu widać było zamiłowanie do wschodniej kultury i lata spędzone w Azji Południowo-Wschodniej. Strój dziwaczny dla tubylców odbierany był jako egzotyczny przez europejskich turystów: wypłowiałe spodnie z szerokim pasem, opuszczonym krokiem i luźnymi nogawkami, biała koszula z orientalną stójką i drewnianymi guzikami oraz mnóstwo koralików, rzemyków, sznureczków na szyi, nadgarstkach i kostkach. Ostatnio w Bangkoku, gdzie wyrabiał wieszak, wzbogacił się jeszcze o nową małą z czarnych koralu, szamański pierścień z wielkim zielonym kamieniem i dwa nowe tatuaże na przedramieniu.

Przybycie do knajpki niebieskookiego chłopaka wywoływało uśmiech kelnerek i kucharek. On też się do nich uśmiechał, wylewnie dziękował i miał wrażenie, że jego sałatka ze sfermentowaną herbatą jest większa, ma więcej chrupkich dodatków i plasterków ogórka w dekoracji. Było to dla niego ważne, bo nie wiedział, czy tego dnia jeszcze coś zje. Ilość tajskich batów w jego kieszeni zmalała prawie do zera, a jeszcze musiał wydostać się z tej wyspy. Do hotelu nie miał powrotu, bo o ile żona właściciela była po jego stronie, o tyle już właściciel zdecydowanie nie. Pożegnał go wyjątkowo krótkim skinieniem głowy i nie powie-

dział ani słowa. Na ile znał Tajów, znaczyło to mniej więcej tyle, że ponowna próba powrotu do rozmowy będzie co najmniej nieelegancka. Natomiast jego innowacyjne zajęcia z autorskiej jogi przynosiły niewielki dochód, bo przychodziło niewiele osób, szczególnie po tym, jak jedna z uczestniczek nabawiła się kontuzji.

Teraz siedział w portowej knajpce, patrzył w błękitne morze i zastanawiał się, co mu przyniesie życie. Znudzony, sięgnął do płóciennego, poprzecieranego worka, w którym trzymał cały swój dobytek. Odpiął klódkę spinającą przewleczone przez metalowe kółka drut i wyjął złożoną na cztery przybrudzoną kopertę w pomarańczowobrazowym kolorze. Nie musiał jej otwierać, by znać treść wiadomości. Czytał już kilkanaście razy.

Obracał kopertę w rękach i patrzył na nią z takim samym niepokojem jak na swoją przyszłość. No bo co z tego, że potrafił perorować o wymianie energii, o świecie, który układa się, tak jak powinien się układać, o koherencji serca, magii wypowiedzanych życzeń..., skoro darmowe obiady zdarzają się bardzo rzadko, a jeszcze rzadziej są tak naprawdę darmowe. Nie wierzył, że ktoś tak po prostu go zaprasza. I z natury nie ufał ludziom. Odbył, co prawda, praktykę na kursie masażu w najstarszej szkole przy świątyni Wat Po w Bangkoku, ale to było ledwie kilkanaście godzin i więcej już nie próbował. O tych masażach mówił tylko temu Polakowi, z którym jechał do Bangkoku. A może komuś jeszcze powiedział?

Do restauracji weszła wysoka dziewczyna, stanęła pomiędzy stolikami i zaczęła się rozglądać. Miała łysą głowę, wielkie złote koła w uszach i niezwykle umięśnione ciało w odcieniu głębokiego brązu. Ubrana była w białą, obcisłą, sportową koszulkę na ramiączka, sięgającą najwyżej pępka, i lśniące czerwono-granatowe spodenki do uprawiania tajskiego boksu. Strój podkreślał jej muskulaturę i sportową sylwetkę. Na rękach, od nadgarstków po ramiona, miała wytatuowane gładkie i smolście czarne obręcze. Z odpowiednim makijażem i w innym stroju mogłaby wyglądać jak jakaś afrykańska królowa z hollywoodzkich filmów. Jej twarz rzeźbiły mocno zarysowane kości policzkowe, dumnie uniesiony podbródek i władcze spojrzenie. Sprężystość ciała wskazywała na szybkość, spodenki na biegiłość w sztukach walki, a spojrzenie na nieprzewidywalność.

Scott Whitus, którego postura przypominała raczej wygłodzonego jogina, przyglądał się jej z zainteresowaniem. W pewnym momencie zorientował się, że dziewczyna zmierza wyraźnie w jego kierunku. Szła, a jej spojrzenie mówiło: „Idę do ciebie. Ale nie ciesz się za bardzo”. Stanęła przy stoliku, rzuciła żółtą sportową torbę na ziemię, bez wysiłku odsunęła ciężkie drewniane krzesło i bez pytania usiadła naprzeciwko Scotta. W tym samym czasie kucharka postawiła przed nią talerz z kopsiastą górą sałatki. Dziewczyna wzięła leżący na stole widelec i nabrała dużą porcję. Zrobiła to, zanim Scott zdążył się zorientować, że to jego widelec i jego danie.

– Czy wiesz, że Birma jest jedynym krajem na świecie, w którym je się herbatę? – zapytała, rozgryzając chrupkie kawałki.

Scott prawie zakrztusił się własną śliną.

– Którą to herbatą podzielę się chętnie – wydukał, cedząc słowa. – Ale tylko wtedy, gdy ktoś mnie o nią poprosi – dodał, widząc, jak kolejna porcja znika w ustach ciemnoskórej dziewczyny.

– Nie umiem prosić – odpowiedziała, oblizując usta, a on wyciągnął rękę, chcąc odebrać swój sztuciec. Cofnęła dłoń, spojrzała na leżącą na stole rdzawą kopertę i błyskawicznym gestem wbiła w nią widelec.

– Skąd to masz? – zapytała, patrząc w zdziwione, niebieskie oczy.

*

Anna Strąg leciała do Tajlandii. Trzeci raz w życiu.

Pierwszy był wiele lat temu. Domek na plaży. Łóżko, piasek, morze, morze, piasek, łóżko. Było cudownie. Obiecali sobie to powtórzyć. Najpierw za rok, potem na dziesiątą rocznicę ślubu, potem na dwudziestą, trzydziestą, ale praca, interesy, stawy... Koralowych godów już nie było. Trzydziesta piąta rocznica ślubu nie nadeszła. Ona chciała rozwijać interes, on związać. Ona marzyła, by być największym producen-

tem kawioru w Europie, on pragnął jeździć po świecie z bagażem podręcznym. Każde dostało to, co chciało. Ona uruchamiała kolejną produkcję, on od roku był w podróży. Rozwiedzeni, dzwoniли do siebie i rozmawiali częściej niż przez ostatnie lata małżeństwa. Ona wysyłała mu czarne złoto pakowane do małych słoiczek, a on jej piasek i ręcznik suszący się pod palmą. Ona zdjęcia z wigilii pracowniczej, on przypadkowo poznanych ludzi. Umawiali się, że nawet zrobi sobie zimową przerwę i do niego przyleci. Zarzekała się, że będzie mogła urwać najwyżej tydzień...

Nie myślała, że to będą tylko dwa dni... tyle wystarczyło, by zorganizować transport jego zwłok.

Teraz był ten trzeci raz.

Westchnęła, zasuwając przesłonę samolotowego okienka w klasie biznes premium. Wyjęła notes i zaczęła rysować plan. Cinamon Serenity Spa Resort. Idealne miejsce. Osiem bungalowów... Jeden skrajny dla Węgierki, zaraz za nią dla Australijki, w środku Włoch. Anglik i Niemka obok siebie...

Z planowania wyrwał ją głos młodego stewarda, który przyniósł drinka.

– Mai Tai – dla pani.

Anna Strąg popatrzyła na wysoką szklanekę. Zabełtała metalową słomką.

– Nie uwierzyłbyś, że kupiłam bilet tylko w jedną stronę. Nie... nie wrócę, póki tego nie wyjaśnię... Póki winni nie zostaną ukarani... To ci mogę obiecać...

– Czy chce pani zamówić coś jeszcze? – zapytał zdezorientowany steward, nie będąc pewnym, czy słowa płynące z zaciśniętych ust starszej, siwowłosej, eleganckiej pani są skierowane do niego czy do pustej przestrzeni, w którą patrzy.

Rozdział 5

Anabell Seseke

Wiedziała, jakie wywołuje wrażenie na ludziach. Gdziekolwiek się tutaj pojawiała, wszyscy na nią patrzyli. Trochę ją to wkurzało, ale przyzwyczaiła się. Ale jeśli ktoś patrzył zbyt długo, reagowała. Nie bała się konfrontacji. I taktykę wyprzedzającego ataku stosowała często. Ta trzydziestodziewięcioletnia Niemka, Anabell Seseke, nie zamierzała też patyczkować się z chudym Anglikiem z rzęsami jak u lalki.

– To skąd to masz? – powtórzyła pytanie. Scott Whitus oniemiałym wzrokiem patrzył na powyginane szpikulce aluminiowego widelca, które natrafiły na szparę w stole, wcisnęły się w nią i tylko tym sposobem przetrwały. Wyciągnął sztuciec i przysunął talerz do siebie.

– A niby dlaczego miałbym ci odpowiedzieć – odparł po chwili. – Czyżby dlatego, że jesteś przesadnie miła? – dodał, na wszelki wypadek zasłaniając ręką swoje jedzenie.

Anabell Seseke wypięła klatkę piersiową, naprężyła mięśnie i nachyliła się w jego kierunku.

– Posłuchaj, joginie, uważnie – syknęła. – Odbędziemy wspólnie długą, bardzo długą podróż. Razem – oświadczyła, zaplatając ręce na piersiach.

Scott Whitus powoli odzyskiwał równowagę.

– Zdaje się, że cała przyjemność po mojej stronie – stwierdził, wzdychając.

– Nie interesuje mnie twoja przyjemność. Ktoś już za nas zdecydował wcześniej.

– Nie przypominam sobie, aby nasze drogi się kiedyś krzyżowały. Ani w tym, ani w żadnym wcześniejszym życiu – stwierdził Anglik, rozgryzając prażone nasiona, które trafiły do jego ust wraz z poszatkowanymi warzywami i liśćmi sfermentowanej herbaty. – Zapamiętałbym taką kobietę... – dodał po chwili, mrugając gęstymi rzęsami. Anabell Seseke bezwiednie wstrzymała oddech i naprężyła mięśnie. – Czuję pokłady agresji, dorównujące złożom kamieni szlachetnych w Birmie – stwierdził spokojnym głosem, jedząc dalej.

– To ci przypomnę. Byłeś na dworcu autobusowym w Bangkoku. Przybyłeś razem z takim starszym, siwym Polakiem z brodą. Szukaliście taksówki, by się dostać na Rambuttri. Też jechałam w tę stronę. Zapropnowałeś, byśmy pojechali razem i podzielili koszty na trójkę, a gdy dojechalśmy, machnąłeś ręką i uciekłeś.

– Pomyliłaś mnie z kimś – oświadczył, głośno przelżykając.

– Nie pomyliłam! – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Chcesz, żebym ci zwrócił za czyjąś taksówkę? Naprawdę? Bo jeśli istnieje cień szansy, że się mylisz, to pomyśl, jakie to głupie. A myśląc o tym, zajmij jakiś inny stolik.

– Niestety, nawet jeśli ty to nie ty – prychnęła, kręcąc z powątpiewaniem głową – to nasze drogi skrzyżują się po raz drugi.

– Pragnąłbym z całych sił, ale nie sądzę – oświadczył z obojętną miną.

– Też się cieszę – odparowała Anabell, odchylając się na krześle. – I powiem ci coś jeszcze. Po twoim wygłodniałym wzroku, twoim obiedzie, twoim życiowym pakunku... – prychnęła, wskazując ręką na wytarty worek, który przy jej torbie wyglądał szczególnie żałośnie – to nie jedziesz speedbotem do Ranongu, tylko czekasz na wolny prom towarowy. Nie masz się co spieszyć. I tak zdążysz na ostatni nocny autobus do Bangkoku. Potem weźmiesz pierwszy do Tratu i dalej prom też towarowy. Bo musisz przejechać...

– Kim ty jesteś?

Anabell Seseke była w Tajlandii czwarty miesiąc, zamierzała zostać jeszcze kilka. W Berlinie wraz ze współnikami prowadziła zajęcia z kick-boxingu i dorobiła się własnego klubu. Szło nieźle, ale poróżniła się z partnerem i całą krajową federacją. Doszło nawet do rękoczynów. Sprzedała więc swoje udziały i postanowiła zacząć wszystko od nowa. Z inną sztuką walki. Padło na tajski boks. Najpierw była w Chiang Mai, potem chwilę w Bangkoku. Na wyspie zdążyła wziąć kilka lekcji i obserwować przygotowania do wielkiej gali z udziałem wielu zawodników w kilku kategoriach, od najmłodszych i najlżejszych do starszych i cięższych. Usilnie starała się pokłócić z promotorem zaaranżowanych walk. I nie chodziło o to, że zaczynała się od bardzo małych chłopców, którzy kopią się kolanami w podbrzusze i robią to nie na żarty. Wprost przeciwnie – podziwiała ich szybkość, spryt i obycie w ringu. Swego czasu tłumaczyła temu siwemu Polakowi, że zanim jeden z drugim osiągnie pełnoletniość, będzie miał tych walk chyba ze sto. I to wszystko wśród puszczalek, krzyczącej publiczności, ryku trenerów, wrzasku zagrzewających do walki hazardzistów, zakładów przyjmowanych do ostatniej chwili.

Na gali nie podobało się jej, że przy wadze do trzydziestu dwóch kilo szanse zawodników nie były równe, jeden był o co najmniej cztery kilo cięższy od drugiego. Chłopak, który lepiej wyprowadzał natarcia, bardziej kontrolował grę, zadawał szybsze ciosy, nie ustrzegł się błędu i został znokautowany. Próbowła interweniować. Najpierw ją uprzejmie zbywano i poproszono, żeby opuściła ogrodzony teren. Ale tak samo jak niełatwo wyprowadzić Tajów z równowagi, tak niełatwo było wyprosić Anabell Seseke skądkolwiek. Za którymś razem przelało się nagabywanym organizatorom. I to wszystkim. Wściekły był prezydent federacji, właściciel ringu, szef Boksing Clubu, promotor walk, szef wioski i nawet sam chłopak, który ocknął się po nokaucie i nie za bardzo wiedział, co się dzieje. Jednego z nich tylko popchnęła... to wystarczyło, by wszelkie obietnice, jakie składała na przymusowej terapii, na którą skierowano ją jeszcze w Niemczech, musiała złożyć ponownie.

Niechęć co do jej obecności na wyspie Phajam nie byłaby powodem, by wyjeżdżać, jednak sytuację zmienił list, który wsunięto pod drzwi jej bungalowu. W dokładnie takiej samej kopercie, jaką obracał teraz w rękach szykujący się do drogi Anglik. Identyczny kształt i kolor. Identycznie wykaligrafowane litery.

– Skąd ją masz! – powtórzyła pytanie, patrząc w jego chabrowe oczy.

– Widzę, że nie udzielił ci się wakacyjny nastrój ogólnoludzkiej otwartości – oświadczył Scott, który zdążył już ochłonąć. – Ani nie przywykłaś do wschodniej powściągliwości w ferowaniu ocen. Żałuj – podsumował, nabierając widelcem kopiastrą porcję sałatki, ostentacyjnie włożył do ust i międlł w policzkach z wyraźnym zadowoleniem.

– Skąd ją masz? – Anabell jeszcze raz pokazała palcem na rudą kopertę.

– Jeśli planujesz odbyć podróż tym samym promem... – zaczął, oblizując usta – i z jakiegoś powodu w tym samym kierunku... – kontynuował, wyraźnie odzyskując pewność siebie – to jest nad nami ogromny nieboskłon, pomieścimy się. Tymczasem przy tym stoliku chciałbym zostać sam. Oczywiście, jeśli pozwolisz. Pytam, ponieważ nie odważę się ci sprzeciwić – stwierdził, wyszczerzając zęby w szerokim uśmiechu. – Ten, który się odważył, pewnie już nie żyje – dodał, ścierając palcem z talerza resztki oleju przesiąkniętego smakiem chili, czosnku i kwaskowatą nutą sfermentowanych liści herbaty.

Anabell Seseke zamarła. Rzeczywiście, ktoś, kto się ostatnio jej sprzeciwił, nie żyje. Ale czy to jej wina? Otrząsnęła się na samo wspomnienie.

– Skąd ją masz? – Nie ustępowała.

– A niby dlaczego miałbym ci odpowiedzieć? – zapytał ponownie Scott. Bardzo spodobało mu się wprowadzanie jej z równowagi. – Czyżby dlatego, że od razu cię polubiłem?

*

W tym samym czasie Fabienne Chomjan wróciła od fryzjera. Siwe, krótkie włosy przycięła, a grzywkę urozmaiciła fioletowym pasmem. Była zadowolona. Chciała zobaczyć to jeszcze raz. Weszła do swojego

mieszkania i zatrzęsa się z zimna i złości. W apartamencie mogło być szesnaście stopni. Wprawdzie była Francuzką z podalpejskiej miejscowości, ale przez większość swego ponadsześćdziesięcioletniego życia mieszkała w Tajlandii. Aktualnie na trzynastym piętrze apartamentowca z widokiem na Chao Phrayę, potężną rzekę, do której brzegów przylepił się Bangkok. Przeszła do salonu, z przyzwyczajenia pogłaskała stojącą na półce szklaną rzeźbę w kształcie wieży Eiffla i ruszyła na taras. Już z daleka widziała swojego męża.

Drobnej postury, szczupły Tajlandczyk o cienkich siwych włosach spiętych w króciutki kucyk siedział z podwinętymi nogami, jedną rękę opierając na kolanie wystającym z rozcięcia w sarongu. Tradycyjna męska spódnica z tkaney w drobne wzory tkaniny, którą osłaniał dolną partię ciała, nijak się miała do białej rozchełstanej koszuli i rozciągniętego krawata.

– A ty nie jesteś w pracy? – zapytała Fabienne tonem, jaki ma prawie każda żona, która chce zaprzeczyć dokładnie temu, co widzi.

– Jestem – usłyszała lakoniczną odpowiedź i nie patrząc na niego, zgarnęła pilota ze stolika i weszła do środka, by wyłączyć klimatyzację. Po chwili była z powrotem na tarasie i zadała kolejne pytanie:

– Nie uważasz, że to jednak dziwne, że ona tu przylatuje i chce wynająć nasz Cinamon Serenity Spa Resort? Stoi pusty, może przyjeżdżać, ale o co chodzi? – pytała, zamykając wielkie drzwi. – Nie mam nic przeciwko temu, ale... Anna była zawsze taka przewidywalna... Zmieniła się po śmierci Martina. Nie myślałam, że zrobi to na niej takie wrażenie. Przecież byli rozwiedzeni. Pogrzeb też już był...

– Nie mów nic o śmierci i pogrzebach, kiedy uruchamiam nowy biznes – jęknął Kay.

Fabienne przystanęła zdziwiona. Znała większość z przesądów, w jakie wierzył jej mąż. Rzeczywiście dla wielu osób mówienie o śmierci przynosiło pecha w nowym biznesie, więc nie zdziwiła się prośbą, ale zdecydowanie zaciekawiał ją ton głosu męża, a jeszcze bardziej roznoszący się dookoła niego zapach. Podeszła i spojrzała. Kay ledwo podniósł przymknięte powieki, a po jego ustach błąkało się coś na kształt uśmiechu.

Rozpoznała ten zapach, ale dopiero teraz zobaczyła wielkiego skręta w palcach opuszczanej ręki.

– Co to jest? – zapytała, choć nie trzeba jej było tego tłumaczyć.

Kay pokręcił głową i uśmiechnął się, unosząc jednocześnie prawą brew i prawy kącik ust.

– Mówiłem ci, że jestem w pracy. Sprawdzam nowego dostawcę – wyjaśnił, wzruszając ramionami.

Fabienne chwilę milczała, po czym wyciągnęła rękę:

– Daj, też sprawdzę – stwierdziła, siadając naprzeciwko. Odruchowo planowała również usiąść po turecku, ale szybko z tego zrezygnowała. Minęło parę kilogramów od czasu, kiedy przychodziło jej to z łatwością.

– A gdzie ona teraz jest? – spytał Kay, przekazując jej tłące się papierosa.

– Chyba właśnie leci – odpowiedziała po chwili, wypuszczając z ust wielką, gęstą, białą chmurę.

Rozdział 6

Simon Holemans

Popatrzył na setki bąbelków z tlenem, które szybko rozproszyły się i uleciały w błękitną toń. Zerknął na zegarek. Jeszcze kwadrans. Wystarczająco dużo czasu na przesadzenie kamiennej gałązki trzymanego w rękę niebieskiego staghorna. Upatrzył miejsce dla odłamanego fragmentu koralowca, szybko zrobił otwór w skale, przytwierdził żyjątko i przekazał mu w myślach życzenia pomyślnego wzrostu. Potem w towarzystwie kilku ciekawskich rybek popłynął dalej.

Simon Holemans, sześćdziesięciodwuletni Belg, uwielbiał nurkować i robił to przy każdej nadarzającej się okazji. Teraz minął dwa wielkie różowe koralce, wyglądające jak ludzkie mózgi z pofałdowaną korą. Opłynął kolonię różnobarwnych gąbek i zielone koralowce, przypominające wielkie rozpląszczone grzyby. Kiwnął ręką w kierunku przydaczni. Gigantyczna małża w półmetrowej muszli ani drgnęła.

– Nie stań się wielką mydelniczką ani małym zlewem – poprosił przeredzony gatunek, który na szczęście był już pod ochroną.

Opłynął skałę, kiwając do łypiącej okiem żaglicy. Zobaczył nawet małego węża morskiego, ale ten uciekł, nim zdążył mu się przyjrzeć. Zamachał jeszcze kilka razy płetwami. To był piękny dzień dla nurka. Promienie słońca drżały, a woda w Morzu Andamańskim była spokojna i przejrzysta. W końcu dopłynął i chwycił się przytwierdzonego do podłoża rusztowania-kratki, jaką tworzyły połączone niebieskie, plastikowe rurki. W wystających kolankach sterczały koralowce. Kamienne, jelonkowate gałązki miały już po kilkanaście centymetrów wysokości. Pamiętał, jak je sadił. Były wtedy tylko pojedynczymi koralami, które odłamały się w czasie burzy, a teraz wyrosły na tyle, że zaczęły się kręcić między nimi małe rybki.

Żał mu było rozstawać się teraz z tym wszystkim. Ale skoro potwierdził swoją obecność, to musiał.

Wyplłynął na powierzchnię w małej zatoczce na tajskim wybrzeżu, nieopodal Malezji. Dokładnie w czasie nawoływania muezina do modlitwy. Śpiew dobiegał z pobliskiego meczetu. Kiedy tylko zobaczył właścicielkę domków, wypiął się przesadnie. Starszą, dystyngowaną Suraję zawsze rozśmieszała pokaźny, piwny brzuch w opiętym stroju. Odwracała głowę i głośno chichotała pod nosem. Tym razem jednak się śmiała, tylko przeganiała kręcące się pod jej nogami dwa psy. Simon Holemans wiedział doskonale, że nie jest zła na psiaki, tylko na niego. Bo wyjeżdża. Miał przecież wynajmować bungalow przez cały kolejny sezon. Nie chciała słuchać tłumaczeń. Dąsała się od tygodnia, choć mimo naburmuszonej miny, zerkała na niego. Z żalem.

Na dzień jego wyjazdu Suraja wybrała odświętny hidżab, co nie uszło uwadze Simona Holemansa. Suknia była nowa, a starannie zawiązaną chustkę upięła szpilkami z pokaźnymi rozmiarów perłowymi łepkami. Nowe szpilki z ozdobnymi łepkami, odświętna zapinka, pod chustą wyżej upięta fryzura. Całości dopełniała duża broszka pod szyją. Simon Holemans uśmiechnął się. Chyba jednak chciała, żeby dobrze ją zapamiętał.

Swego czasu był belgijskim policjantem, niesłusznie wydalonym ze służby, za to słusznie przywróconym po długim procesie z wyrokiem uniewinniającym. Sprawiedliwy sąd nakazał belgijskiemu państwu, żeby przeprosiło i wypłaciło mu odszkodowanie. Jednak żaden sąd nie miał takiej mocy, by przywrócić wiarę w wykonywany zawód. A przede wszystkim w ludzi, z którymi współpracował. Wynajął więc swoje mieszkanie w Brukseli i bez większego żalu zamienił garnitur na rozdeptane klapki, przestając być detektywem ze stołecznego miasta.

Tutaj mógł pić piwo o każdej porze i nurkować do woli. Nauczył się też uśmiechać. Nie tak krzywo pod nosem, nie ze sproszonego dowcipu, nie z kabaretu, tylko tak zwyczajnie – do siebie i do ludzi. Jak już się

nauczył, to mu się to bardzo spodobało. Zapuścił więc brzuch, wąsy, a długie włosy zaplatał w warkocz. Na nos wkładał najtańsze plastikowe okulary, ostatnio bardzo oldschoolowe, w kolorze bananowym. Przytył w pasie i na twarzy.

Nie tęsknił do starego życia.

Do czasu, gdy otrzymał zaproszenie.

Było enigmatyczne i ewidentnie podejrzane. Zaciemniało wiele spraw, starając się ukryć prawdziwe motywy. Uznał, że musi chodzić o Polaka. Poznał go w Bangkoku i tylko jemu mówił o swojej próbie hodowli nowego gatunku koralowców, a one właśnie zostały wymienione w zaproszeniu. Polak zginął w dość dwuznacznych okolicznościach. Jego ciało znaleziono rano w wodach rzeki Chao Phraya. Simon Holemans oglądał zdjęcia w internecie. Utopił się człowiek, który opowiadał mu o znalezisku wielkości kurzego jajka... przywiezionym z Birmy. Birmy, gdzie się wydobywa na wielką skalę jadeity, rubiny, szafiry i szmaragdy. Na domiar złego rozpytywał o szlifierza. Przypadek? Mało prawdopodobne, a w połączeniu z kopertą w kolorze cynamonu – wcale.

Simon Holemans myślał o tym cały wieczór i pół nocy. Gdy rano się obudził, zaproszenie leżało na tarasie obok przewróconej, niedopitej puszki z piwem. Zamoczyło się, więc zaczął je suszyć. Nim wyschło, potwierdził swój udział. Nawet przed sobą nie chciał się przyznać, że zachował się jak bloodhund. Zapach przestępstwa unosił się w powietrzu. Może nawet morderstwa! Które było... albo będzie...

Spakował upstrzoną niezliczoną ilością lotniskowych nalepek walizkę i zanim rozległo się kolejne wezwanie do modlitwy, opuścił wybrzeże południowej Tajlandii.

*

W tym samym czasie młody porucznik Surasak Jintana usłyszał gong ręcznie rozhuśtanego dzwonka i zapowiedź przyjazdu pociągu. Schował grubą teczkę do torby. Śledztwo w sprawie śmierci Polaka zamknięto. Śmierć uznano za przypadkową. Marcin Strąg wpadł nocą do rzeki i się utopił. Dojrzeli go rano goście wycieczkowego statku Chao Phraya Princess, którzy zamiast podziwiać hangar na królewską łódź, zobaczyli dryfujące zwłoki mężczyzny, oplecione kłaczami lilii wodnych.

Śmierć Polaka rzeczywiście mogła być przypadkowa. Jednak nie wszystkich to przekonało, o czym porucznik dowiedział się z zupełnie innego źródła. Na zlecenie kogoś z Polski wszczęto prywatne śledztwo, angażując dużą międzynarodową agencję detektywistyczną, a przede wszystkim jej tajski oddział, który nie istniałby, gdyby nie współpracował z tutejszą policją i wojskiem. Zaskakujących informacji udzielił również informator z chińskiej dzielnicy. Całą sprawą zainteresował się bowiem niezwykle poważny gracz, powiązany z chińską triadą handlarz i kolekcjoner kamieni Li Pangyu, czyli Gruby Jadeit, a to już znacznie poważniejszy przeciwnik niż garstka podejrzanych, którzy zostali wysledzeni przez prywatną agencję detektywistyczną.

Rozdział 7

Tadeusz Napierała i Nejm Ry-Di Wong-Wai

Simon Holemans dotarł w pobliże dworca autobusowego Ekkamai w Bangkoku. Powietrze było ciężkie i duszne. Wilgotność pewnie podobna do tej na wyspie, ale bryzy brak. Do odjazdu nocnego autobusu do Trat pozostało dużo czasu. Postanowił więc zjeść jeszcze tutaj Pad thaja, jednego z najlepszych w całym kraju. Stał oparty o ścianę i patrzył na ulicznego kucharza rozstawiającego swoją wieczorną restaurację. Zajmowała fragment szerokiego chodnika tuż przy ruchliwej dwupasmowej ulicy. Wózek z ladą, butlą gazową i wielką patelnią już czekał na uruchomienie. Starszy mężczyzna ze skupieniem rozkładał metalowe nogi plastikowych stolików. Z chwilą, gdy dostawiał małe krzeselka, zaczęła tworzyć się kolejka.

Nie tylko Simon Holemans wiedział, że ten uliczny kucharz jest mistrzem w swoim fachu. Jego Pad thaj był najprostszym z możliwych wariantów – składał się tylko z makaronu ryżowego, jajek, kostek tofu, kiełków, chili i orzeszków. Ale ta prostota w połączeniu z perfekcją w smażeniu i dodawaniu własnej pasty z tamaryndowca i kilku kropel tego i owego sprawiała, że Pad thaj smakował wybornie.

Stanął i z podziwem obserwował, jak kucharz wrzuca składniki, potrząsa rozgrzaną patelnią, energicznie miesza metalową łopatką i odsuwa na boki przysmażone produkty. Robił to z taką powagą, że Simon Holemans nie mógł oderwać od niego wzroku. Obrócił się, dopiero gdy usłyszał rumor wywracanego stolika.

Chudy, na oko sześćdziesięcioletni mężczyzna w koszulce HC Barcelona szedł pod rękę z młodą Tajką i zahaczył ciągniętą walizką o metalowe nogi.

– Kurwa! – zaklął pod nosem, szamocząc się z walizką, która szarpnięta, przewróciła również stołeczek. Szybko podniósł jedno i drugie, po czym wykonał kilka przeproszających gestów w kierunku kucharza. Ten spojrział zza chmury dymu z patelni i kiwnął głową ze zrozumieniem, po czym powrócił do smażenia.

Mimo że koszulka, jak też użyte słowo wskazywałyby na Hiszpanię, to Simon Holemans doskonale wiedział, że ma do czynienia z Polakiem. Nie tylko dlatego, że na plecach koszulki było nazwisko piłkarza Lewandowskiego. Bez większego trudu rozpoznał polskie przekleństwo i polski akcent. Jeszcze pracując w belgijskiej policji, miał sporo do czynienia z przybyłymi w latach dziewięćdziesiątych Polakami. Jedni rozrabiali, inni ciężko pracowali. Jednych aresztował, a inni układali mu glazurę w łazience.

Kiedy Simon Holemans odstał swoje w kolejce, wziął swój talerz z makaronem, usypaną górką zmiażdżonych orzeszków ziemnych, płatków chili i ćwiartkami limonki i ruszył do stolika, przy którym zostawił walizkę. Polak stanął nieopodal, dyskutując z dziewczyną. Usiadł więc tak, by móc się im przyjrzeć. Zgiełk ulicy nie pozwolił na podsłuchanie tego, o czym mówią, ale patrzeć mógł do woli.

Mężczyzna miał siwe, rzadkie i starannie zaczesane do tyłu włosy. Fryzura go postarzała, ale ciało utrzymywał w doskonałej formie. Cienka warstwa skóry powlekała wyżyłowane, twarde mięśnie. Wyglądał na człowieka, który nie chodzi na siłownię, ale jeśli tylko zechce, podrzuci dowolnie wskazanego kulturystę do góry. A zesmagana wiatrem twarz świadczyła o tym, że swą tężyźnię może zawdzięczać przede wszystkim ciężkiej pracy fizycznej, i to w zmiennych warunkach atmosferycznych.

Tajlandka była wyjątkowo urodziwa. Mogła mieć zarówno dwadzieścia pięć, jak i trzydzieści pięć lat. Nie potrafił tego ocenić. Co chwila odgarniała ciemne, długie, z modnie rozjaśnionymi końcówkami włosy, które plątały się pod wpływem lekkich podmuchów wiatru lub przekręcania głowy to w jedną, to w drugą stronę. Kolorowa letnia sukienka, której dekolt i ramiączka ozdabiały paseczki koronkowych kwiatków, sięgała kolan i podkreślała jej kształtne łydki. Drobne stopy otulały zgrabne kłapeczki na małym obcasie z przezroczystej masy imitującej szkło. Widać było, że dziewczyna jest w wakacyjnym nastroju.

Siwiejący mężczyzna rozplęwał się na jej widok, czemu trudno się dziwić. Patrzyli na nią także inni mężczyźni i zerkali kobiety. Polak słuchał jej uważnie, przestępując z nogi na nogę i radośnie kiwając się na boki. W końcu coś ustalili. Dziewczyna ruszyła, wskazując ręką na rozświetlone centrum handlowe po drugiej stronie ulicy.

– Tylko się nie spóźnij! – krzyknął w jej kierunku. – Tu będę czekał! Zjem coś! – dodał i, ku zaskoczeniu Simona Holemansa, rzucił na koniec kilka słów po tajsku, które wyraźnie rozbawiły dziewczynę i przykuły uwagę kilku zdziwionych Tajów.

Mężczyzna zaczął się rozglądać za miejscem i Simon Holemans szybko machnął do niego, wskazując stołeczek naprzeciwko siebie.

– Mówi pan po tajsku? – zagadnął zaciekawiony Simon Holemans.

– Parę słów – potwierdził Polak.

– Parę to znam ja. Tajski jest trudny.

– Trudny, nietrudny – wzruszył ramionami zadowolony mężczyzna. – Na języki to ja mam swoją metodę. Wystarczy się uczyć pięciu słów dziennie, po roku człowiek zna już ich tysiąc osiemset i można się dogadać. Tak to ja się nawet paru języków nauczyłem – oświadczył z niekłamaną dumą, wyciągając z przytwierdzonej do paska szaszki plik pogniecionych kartek: kilka potwierdzeń zakupu biletu i jedna rdzawa koperta. Belg uśmiechnął się w duchu. Intuicja podpowiadała mu, że nie będzie jedynym gościem Cinnamon Serenity Spa Resort, ale nie liczył, że tak szybko spotka kogoś innego.

– Nocny autobus? – zapytał Belg, pokazując na bilety. Polak przytaknął, rozprostowując pogniecione kartki. – Też nim jadę – oświadczył Simon Holemans, nadziewając na widelec parę wstążek makaronu.

– To się dobrze składa – Polak ucieszył się i dodał: – To skoczę po piwo, bo on tu nie ma – pokazał na kucharza. – Mamy trochę czasu. Chce pan? – Belg kiwnął głową z zadowoleniem. – Chang? – zapytał, pokazując na koszulkę Belga z nazwą browaru i dwoma słoniami. Simon Holemans przytaknął.

Kiedy wrócił, postawił na stoliku dwie duże puszki zimnego piwa i się przedstawił:

– Tadeusz Napierała z Polski. Mówią na mnie Tadziu. Tadziu Napierała.

– Simon Holemans z Belgii. Mówią na mnie Simon.

– Imię francuskie, nazwisko walońskie... – zdziwił się Polak, czym zdecydowanie zaskoczył Belga. Rzeźwiście, miał rację.

Bardzo szybko okazało się, że łączy ich znacznie więcej, niż można było przypuszczać. Przez ponad dziesięć lat Tadziu mieszkał w Brukseli, i to w tej samej co Simon dzielnicy. Byli więc poniekąd sąsiadami, co przypieczętowali belgijskim toastem. Polak pracował również w Anglii, a obecnie zarabia w Norwegii – zawsze jest tam, gdzie więcej płacą. Wykonuje ciężką i trudną pracę. Nie wystarczyła cała szerokość chodnika, by pokazać, jaką największą szybę wprawiał w okno biurowca i przy jakich przedsięwzięciach brał udział. Opowiadał chętnie i entuzjastycznie, emanując radosnym optymizmem. Po półgodzinie Simon znalazł życiorys Polaka, z mnóstwem szczegółów.

Tadziu Napierała wyjechał z niewielkiej miejscowości, zostawiając żonę z małymi dziećmi. Zarabiał dobrze. Przesyłał im coraz więcej pieniędzy, ale odwiedzał ich coraz rzadziej. Uderzył się w piersi, mówiąc, że święty na tych robotach nie był, ale jak się okazało, żona jeszcze bardziej grzeszyła. W końcu się rozwiedli, dzieciaki się poobrażały. Początkowo smutki topił w alkoholu, potem się ogarnął i zaczął pracować na własną rękę. Pojawiły się dobre pieniądze, ale i samotność. Tak dotkliwa, że aż ścisnęła w dołku, czego nie omieszkał zademonstrować, uderzając się zaciśniętą ręką w mostek. I wtedy nastąpił przełom w jego życiu. Ktoś mu powiedział: „Tadziu, jedź do Tajlandii. Nie będziesz się nudził”.

I Tadziu się nie nudził.

– Przyjeżdżam na trzy miesiące w roku... – kontynuował opowieść – ale nie tylko to, co tam sobie myślisz – zaśmiał się, mrużąc oczy i odstawiając pusty talerz. – Biorę wędki i łowię, bez opamiętania. Codziennie.

– Przy okazji złowiłeś piękną dziewczynę... – zagadał Simon, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o towarzysze jego podróży.

– To ona mnie złowiła – oświadczył z zadowoleniem, przegarniając siwe włosy. – Jak się tylko dowiedział, że mam zaproszenie na tę wyspę, to powiedziała, że do walizki mi się schowa. Że muszę ją zabrać, bo tam obok, na Ko Mak, aktorzy z telewizji przyjeżdżają. Ja jej na to, że zaproszenie jest na Ko Tan. Stwierdziła, że to blisko, prawie to samo. No... i nie trzeba mnie było długo namawiać – uśmiechnął się, drapiąc wierzchem dłoni czubek nosa. – Choć trzeba będzie trochę pokombinować.

Simon znał parę polskich imion, kilka przekleństw i jedno słowo: „kombinować”. Zapamiętał je przede wszystkim dlatego, że tłumacz towarzyszący mu w przesłuchaniach Polaków wielokrotnie wyjaśniał znaczenie tego jednego dość pojemnego wyrazu.

– A dlaczego kombinować? – zagadał Simon, próbując dowiedzieć się czegoś więcej.

– Bo muszę ją na tę wyspę przemyścić – szepnął, nachylając się do Belga.

– Przemyścić? – zdziwił się Simon.

Tadeusz Napierała pospieszył z wyjaśnieniami. Miał zaproszenie, ale tylko dla jednej osoby. Uczciwie zapytał mejlowo, czy może wziąć osobę towarzyszącą, ale klient, jak to określił Polak, okazał się mało sympatyczny i odparł, że nie ma takiej potrzeby, by ktokolwiek z nim jechał... Jednak Tadeusz taką potrzebę miał i nie zamierzał słuchać kogokolwiek ani tym bardziej prosić drugi raz. Postanowił zadziałać po swojemu. Skoro klient płacił za domek, to na pewno jest tam takie łóżko, na którym jego dziewczyna się zmieści. Chciał zrobić jej przyjemność i ją zabrać, jeśli tak bardzo chciała. W razie czego się dopłaci i już.

– Nie takie rzeczy się kombinowało – skwitował, puszczając oko. – Zresztą dla takiej dziewczyny!

– A co to za klient? – zapytał Simon w możliwie najbardziej neutralny sposób, tak by zbyt wcześnie nie okazało się, że ich wspólna podróż nie skończy się na nocnym autobusie.

– Dokładnie nie wiadomo, o co chodzi – stwierdził, spoglądając na zegarek. – A jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze – oświadczył i dopił resztkę piwa z puszki. – A jak o pieniądze, nie moje, bo to ja mam je pod kontrolą – powiedział, wskazując na saszetkę ciasno zapiętą wokół pasa. – Zresztą to nie miliony – zaśmiał się i rozejrzał dookoła. – Musi chodzić o to, co usłyszałem i co udało mi się zrozumieć. Nawet kolor z tego zaproszenia się zgadza – oświadczył, unosząc wskazujący palec. – I gdyby jeden Polak zrozumiał to, co ja zrozumiałem, pewnie jeszcze by żył – dodał prawie szeptem, rozglądając się na boki.

Simon Holemans był piekielnie ciekawy, co Tadeusz Napierała usłyszał i czego ten Polak nie rozumiał. Był pewny, że wie coś bardzo ważnego. Nachylił się i już chciał zapytać, jednak nie zdążył, bo zza rogu wyszła dziewczyna, na której widok Polak zerwał się z krzesła tak energicznie, że znowu je przewrócił. Simon chwycił resztkę swojego piwa, bo też by się rozlało.

– Jak miałbym jej nie zabrać! – wykrzyknął i wyszedł dziewczynie naprzeciw.

Simon jęknął z zawodu. Cokolwiek Tadeusz miałby mu do powiedzenia, to wiedział, że prędko się tego nie dowie.

– Też jadę na tę wyspę – przyznał się, próbując przyciągnąć uwagę Tadeusza, ale nie miał szans.

– Świetnie – skwitował Polak, ale nic już więcej nie dodał, rzucił się w kierunku nadchodzącej dziewczyny i już po chwili przedstawiał z dumą swoją towarzyszkę.

– Nejm Ri-Di Wong-Wai. Krócej Nejm. Nejm to jej prawdziwe imię. Naprawdę. Jak ją poznałem, pytam: *What is your name?* A ona, że Nejm. To ja: *Ale your name?* Ona, że Nejm. To ja jeszcze raz. A ona znowu... – opowiadał, zaśmiewając się i spoglądając to na Simona, to na dziewczynę. – *Ale your name?* Nejm! I jak tu się nie zakończyć?! – skwitował opowieść, obrzucając ją spojrzeniem z góry na dół. Przyciągnął do siebie i głośno pocałował w policzek.

– Simon Holemans – powiedział Belg i się uśmiechnął.

Uwolniona z objęć Tajka spojrzała w jego kierunku. To kilkusekundowe spojrzenie wystarczyło, by wiedział, że ma przed sobą doświadczoną kobietę, która może wygląda na dwadzieścia pięć lat, ale ma ich tro-

chę więcej i na pewno zna swoją wartość. Dziewczyna poświęciła Belgowi zaledwie kilka sekund, uśmiechając się tyleż ładnie, co krótko. Następnie szybkim ruchem głowy wskazała Polakowi budynek dworca, oświadczając, że musi iść jeszcze do toalety. Tadeusz Napierała zareagował natychmiast. Chwycił dziewczynę za rękę, jednocześnie szarmanckim gestem odebrał jej bagaż.

*

Tymczasem na piętro sklepu z herbatami docierał stłumiony jazgot bangkockiego Chinatown. Kakofonia dźwięków tworzyła szum, który kontrastował z łagodnymi nutami chińskiego fletu. W pokoju panował lekki półmrok. Podwieszony na suficie wiatrak mieszał zapach kadzidełek, drewna, perfum, kotów i jedzenia.

Potężny Li Pangyu siedział na wielkim łóżku z bogato rzeźbionym drewnianym zagłówkiem. Jego rozlewające się ciało wtapiało się w niezliczoną ilość czerwonych, zdobnie haftowanych poduszek. Nikt nie miał pojęcia, ile waży. Obok niego stało kilka wag, które pokazywały dziesiątą część grama, ale żadnej takiej, która ważyłaby od dwustu kilo w górę. A miał zapewne grubo ponad to. Ledwo mieścił się w drzwiach. Od dwóch lat nie widział swego sklepu z frontu. Nie widział też potrzeby, by go oglądać. Przy wejściu sprzedawano tanie mieszanki turystom i mało wymagającym klientom, dopiero w głębi sklepu stały lodówki, w których przechowywano wysokiej jakości białe herbaty. Ale to i tak nijak się miało do tego, co ukrywał na zapleczu. Najlepsze liście najlepszych gatunków świata Li Pangyu miał zawsze pod ręką. Jednak i to było tylko jego hobby.

Rodzina Li Pangyu mieszkała w Bangkoku od dwustu lat. Należała od pokoleń do jednej z chińskich triad, które kontrolowały handel w całej dzielnicy. Swego czasu walka o interesy z konkurującą rodziną sprawiła, że wolał nie wychodzić na zewnątrz. Prowadził biznes ze swego pokoju, do którego zaczęto dostarczać coraz większe góry jedzenia.... I to było przyczyną tego, że Li Pangyu na swoim prawdziwym, gromadzonym od pokoleń majątku leżał. I to dosłownie.

Osiem rzędów małych szufladek, po osiem w rzędzie, wypełniało skrzynię, a ta wmontowana była w podstawę łóżka. Można było ją wysunąć, uruchamiając mechanizm ukryty na środku ogromnego legowiska. I to wiedząc, gdzie dokładnie nacisnąć. Szufladki były wypełnione jadeitami w kolorze wiosennych liści, rubinami zwanymi gołębią krwią, szmaragdami, między którymi była również ogromna padparadza. Żeby okraść pana Li Pangyu, trzeba by było go zabić albo podnieść – ani jedno, ani drugie nie było łatwe. Chińczyk właściwie nie ruszał się z łóżka. Z reguły leżał w jedwabnym szlafroku na czerwonych poduszkach, a wokół niego koty – wszystkie ubrane w starannie wykonane, nad wyraz fikuśne ubranka: kaftany muszkietarów i suknie dam ich serca, łapki wciśnięte w falbaniaste rękawy. Stroje sięgały ogona i były zakończone sterczącymi kryzami i kołnierzykami. Tak ubrane leżały lub paradowały po łóżku.

Pan Li Pangyu właśnie głąskał białą kotkę w turkusowej sukience, gdy rozległ się dźwięk dzwonka. Przyciągnął ręką telefon umieszczony na harmonijkowym wysięgniku. Wyprostował mały palec zakończony dwucentymetrowym paznokciem i puknął opuszką w ekran.

– Dobrze, że cię w końcu słyszę – powiedział. – Może nasza przyjaźń rozkwitnie, a mój gniew uleci jak woń nocnych kwiatów o wschodzie słońca. Kto wie... – ziewnął, głaszcząc białą kotkę w sukience. – Tak, tak... Dziewięćdziesiąt dziewięć to moja szczęśliwa liczba. Dziewięćdziesiąt dziewięć milionów to też moja szczęśliwa liczba, tylko większa – dodał. Mrużąc oczy, słuchał dalej.

Po chwili kot z białymi długimi wąsami w czerwonym kaftanie i koronkową kryzą wokół szyi otarł się o jego rękę. Li Pangyu wyciągnął mały palec i podrapał go paznokciem za uchem, po czym znudzonym wzrokiem spojrzął na ekran telefonu i zakończył rozmowę, mówiąc:

– Jeśli stracisz ją z oczu... to ja ci te oczy wydłubię... i każę zjeść.

Rozdział 8

Anna Strąg

Fabienne Chomjan osłoniła ramiona batikowym szalem. Siedziała już drugą godzinę na tarasie piętra apartamentowca w Bangkoku. Zapadała noc, zrobiło się chłodniej. Łodzie przestały przemierzać rzekę w tę i z powrotem. Spacerowe stateczki zawijały do swoich przystani. Coraz mniej światła rzucało błyskające, ruchome smugi na wody Chao Phray'i.

Francuzka po raz kolejny pozazdrościła siedzącej naprzeciwko Annie Strąg sylwetki i eleganckiej czarnej koszuli z cienkiego lnu, i tego, że jej kołnierzyk sterczał wokół szczupłej szyi. Podziwiała również wielki bursztyn, który wisiał na grubym łańcuchu i wypełniał dekolt. Kiedy wyraziła swój podziw dla pięknego bursztynu Anny, została obdarowana jeszcze większym okazem.

– Ze znanej ci Secret Gallery, przy bursztynowej ulicy w Gdańsku. To prezent ode mnie – wyjaśniła Anna, wręczając Fabienne bursztyn wyjątkowej urody, z zatopionymi fragmentami roślin.

– Złoto z zimnych bałtyckich wód – zachwyciła się Fabienne, doceniając wartość podarunku, który natychmiast zawisł na jej szyi.

Pierwsza butelka wina znikła bardzo szybko. Po grzankach zostały tylko okruchy, a po kawiorze umazane szklane naczynie pływające w roztopionym lodzie. Wspominały stare czasy i młodość. Ich przypadkowe spotkanie w Turcji, szaleństwa podczas wspólnej podróży drogą lądową do Indii, atak malarii, haszysz tak dobry jak nigdy przedtem i potem policję w Nepalu, i włożenie nóg do indyjskiej świętej wody w sadzawce, i ucieczka tak szybkiej jak ówczesny rekord świata w biegu na sto metrów. Wymieniły się również informacjami o bieżących problemach w interesach. Anna opowiedziała o chorobie w jednym ze stawów pełnych jesiotra, Fabienne wtajemniczyła ją w kolejny interes Kaya – budowę sieci sklepów z marihuaną, która właśnie została w Tajlandii zalegalizowana. Sklepy miały wyglądać jak laboratoria, a młode sprzedawczynie jak laborantki, tylko że w minifartuchach. Susz kilkudziesięciu gatunków planowano przechowywać w gigantycznych słojach i maleńkich fiolkach, z opisami tak szczegółowymi jak recepty. Miks nowoczesności ze szczyptą orientalnej tradycji, jak wyjaśniła. Pośmiały się, wspominając, jak to w ich czasach za skręta w kieszeni na lotnisku można było dolecieć do pobliskiego więzienia, i to na wiele lat. Kay przewidywał, że obostrzenia w innych krajach też złagodnieją i sieć będzie mogła rozwijać się również w Europie. Zamierzał być na ten czas przygotowany.

Wreszcie nadszedł czas na właściwą rozmowę.

– Przenieśmy się, tam będzie nam wygodniej – zaproponowała Fabienne, wskazując na wbudowaną w ścianę kompozycję z kanap i poduszek, kwiatów i drzewek w donicach, świeczek i zwisających, nowoczesnych lampionów.

Anna wzięła swój kieliszek z resztką wina, torbę i ruszyła za koleżanką.

– A teraz powiedz... Po co ci ta wyspa? Dlaczego chcesz tam jechać? – spytała Fabienne.

– Twój mąż pytał? – Anna poprawiła poduszkę za plecami.

– Nie – zaprzeczyła Fabienne. – On się nad tym nawet nie zastanawiał. Przecież go znasz. Do tej pory wspomina rejs po Mazurach, który nam zorganizowałaś. A poza tym jest Azją. Dla niego sprawy duchowe są znacznie bardziej oczywiste niż dla mnie. Uznał, że potrzebujesz pożegnać ducha, który widocznie błąka się wokół ciebie i daje ci odczuć swoją obecność. A skoro potrzebujesz do tego jakiegoś rytuału, nie zamierza ci tego utrudniać. Zresztą nie chciał o tym rozmawiać. Powiedział, że mówienie o śmierci w trakcie rozpoczynania nowego interesu przynosi pecha i nie chce ryzykować. Sama rozumiesz.

– A ty o co chcesz zapytać?

– Wiesz... my jesteśmy z bliższego sobie kręgu kulturowego... i ja nie rozumiem – przyznała się, szeroko rozkładając ręce. – Owszem, wiele lat przeżyliście razem, to twój były mąż. Rozumiem. Reszta to papiery. Ale nie wiem, po co ci ludzie i te domki. Nie to, że nie chcę ci ich dać, stoją puste. Ja po prostu się martwię – Fabienne sięgnęła po butelkę i nalala wina do kieliszków.

Anna upiła mały łyk, po czym rozejrzała się wokół siebie. Jej wzrok padł na doniczkę z wysypanymi białymi kamykami. Zagarnęła pełną garść. Z torebki wyjęła rudą kopertę, a z koperty zdjęcia. Bez słowa zaczęła rozkładać fotografie na stojącym przed nimi stoliku. W taki sposób, w jaki układała kołowego pasjansa. Każde ze zdjęć przyduszała kamykiem. Z każdego uśmiechał się Martin Strąg, marszczył oczy, krzywił nos, wyginał głowę, robił szczeniackie miny. Na każdym był z inną osobą. Prawie na wszystkich wyciągał przed siebie rękę, robiąc selfie.

Na pierwszym Martin siedzi przy stoliczku obok ładnej czarnowłosej dziewczyny w czapeczce z daszkiem. Popijają coś z małych czarek.

– To Węgierka, instagramerka – wyjaśniła Anna.

– Ja tego zupełnie nie rozumiem. Jak oni to robią? Też próbowałam. Kupiłam nawet sobie pięć tysięcy obserwujących, ale potem mi się nie chciało tego prowadzić – paplała Fabienne. – Myślisz, że Martin z nią...? – roześmiała się, ale gdy zobaczyła minę przyjaciółki, szybko zakryła ręką usta. – Przepraszam.

– Nie szkodzi.

Następne zdjęcie przedstawiało Martina w towarzystwie dziewczyny w okularach o lekko pucułowanej twarzy i różowych policzkach. Jadą tuk-tukiem, w tle ruchliwa ulica.

– Też miła – Fabienne znowu się uśmiechnęła, ale spojrzenie Anny natychmiast zgasiło jej uśmiech.

– Przecież go znałaś. Nie uganiał się za małodętami. Zwyczajnie lubił młodych ludzi.

– Tak – odchrząknęła Fabienne. – Ale nie uważasz, że to dziwne?

– Nie – skwitowała Anna. – A to Australijka – kontynuowała prezentację – wolontariuszka, córka właściciela jakiejś kopalni.

– O! Niektórzy to mają start.

– A to Niemka. Kickbokserska – powiedziała Anna, wykładając kolejną fotografię. Na zdjęciu jest łysa, ciemnoskóra dziewczyna, władczo odchylająca głowę. Martin stoi obok, markując ciosy pięścią. Jak na swoje lata był w świetnej formie, ale i tak wygląda przy niej jak jej dziadek. Fabienne przesunęła wzrok na chłopaka o bladej skórze i rudawym zaroście.

– Ale ten ma rzęsy! – skomentowała.

– Scott Whitus.

– Wielu takich spotkałyśmy swego czasu – pokiwały jednocześnie głowami, patrząc na strój i wygląd Anglika. Zdjęcie zostało wykonane na wielkim parkingu autobusowym na tle wejścia do olbrzymiej jadłodajni.

Na kolejnej fotografii nieco speszony Włoch, Lorenzo Capella stoi przed wejściem do baru go-go. Następne przedstawia Martina z Polakiem, z którym radośnie się stukają puszkami z piwem, jeden trzyma Changa, drugi Singhę. Na ostatnim zdjęciu Martin fotografuje się ze zbliżonym wiekowo Belgiem z długimi włosami, na tle salonu masażu tajskiego, są ubrani w jednakowe stroje.

– Ten to widać się zapuścił – skwitowała Fabienne, patrząc na Simona Holemansa, przy którym Martin Strąg wyglądał jak model w starszym wieku, reklamujący eleganckie marynarki. – Pełno tu takich rozlazłych emerytów – pokręciła głową z niesmakiem.

– Kiedyś musiał dobrze wyglądać, ale pewnie tak dawno, że sam o tym zapomniał. To były policjant – dodała Anna.

– No tak – odezwała się Fabienne po dłuższej chwili. – Nie chcę być wścibska, ale co konkretnie zamierzasz? – zapytała już prosto z mostu. – Wytłumacz mi, bo nie wiem, co mam myśleć. Te dziewczyny i ci mężczyźni, kim oni są?

– Ludźmi. Po prostu ludźmi, których spotykał po drodze – stwierdziła Anna i zaczęła powoli tłumaczyć.

Wyjaśniła, że pragnie spędzić czas z najbliższymi znajomymi jej tragicznie zmarłego męża. Zamierzała zorganizować spotkanie, które pozwoli należycie go powspominać i pożegnać w sposób, który przyniesie jej ukojenie. Chce zwyczajnie posłuchać, co o nim myśleli. Co mówił. Jaki był w swoich ostatnich chwilach. Zapewniała, że potrzebuje do tego odosobnienia, by nic nie zakłócało atmosfery, którą miała nadzieję stworzyć. Żadnych postronnych osób. Tylko oni. Tylko ci, którzy pojawili się przy nim tuż przed śmiercią. Czyli kiedy był taki szczęśliwy jak na tych zdjęciach. I kiedy wszystko jej opowiadał, przesyłał te fotografie, dzwonił, by mówić o spotkanych ludziach. Po głębokim namyśle uznała, że niezamieszкана wyspa w zatoce tajskiej, z nieczynnym ośrodkiem, nadawała się do tego idealnie. Przede wszystkim dlatego, że wszystkie te osoby przebywają na terenie Azji Południowo-Wschodniej i zapewne nie przyjadą w najbliższym czasie do Polski, a już na pewno nie wszyscy razem. Łatwiej było ich zaprosić i spotkać się z nimi tutaj. W ten właśnie sposób chce uczcić pamięć o swoim byłym mężu.

– Tylko to mi pozostało – zakończyła. – I jestem mu to winna.

– Też powinnam z tobą pojechać – stwierdziła Fabienne, wycierając ręką łzy z oczu. – Ale mamy inne plany. Musimy być we Francji, chrześniak się żeni i... Nie jedziemy na długo, wiesz, jaka jest moja rodzina...

– Nie tłumacz się, proszę – ucięła Anna. – I tak jestem wam wdzięczna.

– No dobrze... – odetchnęła Fabienne. – Czyli, jak zrozumiałam, zamierzasz zorganizować taką tropikalną stypę? – Anna przytaknęła z lekkim uśmiechem, który równie dobrze mógł przypominać skrzywienie ust. – Szkoda, że wyjeżdżamy, pomógłbym ci udekorować lobby na ich przybycie – westchnęła. – Ciekawe, co by było najodpowiedniejsze... – zaczęła się zastanawiać w momencie, gdy na tarasie pojawił się Kay. Na widok siedzących kobiet uśmiechnął się serdecznie. Złożył ręce i głęboko się uklonił.

– Wiek ci służy – powitała go Anna. – Wyglądasz jak projektant mody, a nie współwłaściciel sieci ekskluzywnych restauracji w Bangkoku, nieruchomości na kilku wyspach, udziałów w paru liniach autobusowych i promowych – wymieniała z uśmiechem, widząc zadowolenie na twarzy przybysza. – Kto by pomyślał?

– Wolałbym wyglądać jak mędrzec, ale dobre i to – zaśmiał się Kay, przyglądając włosy zaczesane w cienki, zawinięty kucyk. Rozpiął guzik białej, sztywnej koszuli ze stójką i dotknął swego amuletu ze znakiem węża. – Dobrze cię widzieć, Anno – dodał, podchodząc do półki, na której stał czysty kieliszek.

– Dziękowałam już Fabienne. Tobie też chcę podziękować za tę przysługę – powiedziała Anna.

– Nie musisz – szybko uciął, nalewając sobie wina. – Wysłałem już kogoś, by posprawdził elektryczność, udroźnił kanalizację, ogarnął pokoje, ale nie gwarantuję jakości – przestrzegł, popijając wino. – Zdasz sobie sprawę, że to nieużywane miejsce? I że nikogo tam nie będzie? Oczywiście motorówka przyplynie w każdej chwili, ale...

– Już mówiłam... poradzę sobie – przerwała Anna.

– Mam nadzieję – uśmiechnął się i usiadł na jednej z poduszek. – Nie chodzi mi o to, by odwieść cię od twego pomysłu, a raczej uświadomić, że tropiki to nie Kraina Wielkich Jezior w klimacie umiarkowanym. Dżungla rośnie znacznie szybciej i agresywniej niż wasz mazurski las i... – przerwał, patrząc na stolik ze zdjęciami.

– Płakać mi się chce... – wtrąciła się Fabienne. – To taki wspaniały projekt. Kay, potwierdź! Czy wiesz, że Jong Jong, nasz architekt, pracował teraz przy wieżowcu w Singapurze? Tam ma być ogród. Co ja mówię, ogród! Całe piętro ma być tropikalnym lasem! Górski wodospad ma płynąć przez kilka kondygnacji. Wyobrazasz to sobie? Jakiz piękny projekt dla nas zrobił! I co z niego zostało...

Kay odwrócił głowę od porozkładanych zdjęć i chciał odstawić kieliszek, ale zrobił to tak niefortunnie, że kieliszek spadł na ceramiczne kafle posadzki i kryształ rozłupił się na wiele kawałków.

– Przepraszam. Nie chcę słuchać o tym architekcie. Od razu przypomina mi się, ile musiałem za to zapłacić – chrząknął Kay. – Wybaczenie, mam jeszcze jeden telefon do wykonania. – Anno, rano kierowca zawiezie cię na lotnisko. Niestety, nas już nie będzie.

– Ty musiałeś zapłacić? – obruszyła się Fabienne.

– Poradzę sobie. Zostawię porządek – obiecała Anna.

– O to nie musisz się martwić. Portier pomoże ci z walizkami. Dobranoc. Nie będę wam przeszkadzał. Uważajcie na szkło – dodał, wychodząc.

– Naprawdę nie musisz się martwić – potwierdziła Fabienne. Odczekała chwilę i dodała ściszym głosem: – Wyślę kogoś do sprzątnięcia. I jak znam życie, mnichów też.

– Po co?

– Żeby sprawdzili, czy nie ma już tam żadnych duchów – Fabienne machnęła ręką. – A przy okazji odprawili modły.

– Obrzucił się? – zapytała Anna, patrząc na rozlane wino i rozbity kieliszek.

– Nie. Mówiłam ci, że nie lubi mówić o zmarłych. Rano się posprząta – dodała. – To chyba na szczęście. A przede wszystkim znak, żeby kłaść się do łóżka – stwierdziła, zerkając na płamę i stłuczone szkło.

– Masz rację – potwierdziła Anna.

– Poczekaj, już wiem, co bym przygotowała na ich przyjazd. Kwiaty plumerii. Po prostu. Rośnie tam, wystarczy, że pozbierasz z ziemi – dodała, kiwając głową. – Porozrzucałabym je wszędzie. Tyle lat tu mieszkam i ciągle się nimi zachwyam. Oczywiście białą, klasyczną odmianą, tą z żółtym środkiem. Tych pięć płatków, tak idealnie ułożonych, z takim obłędnym zapachem, szczególnie nocą.

– Tak. Pięknie pachną – przytaknęła Anna, zgarniając ze stolika porozkładane zdjęcia. Schowała je do torebki i zamyśliła się. – A wiedziałeś, że nie wytwarzają nektaru? – powiedziała po dłuższej chwili.

– Nektaru? – spytała Fabienne zdziwiona. – Jakiego nektaru? – powtórzyła, przyglądając się Annie, która stała nieruchomo, wpatrzona w pustą przestrzeń.

– Kwiaty plumerii – odpowiedziała. – Nie wytwarzają nektaru, to tylko upajający zapach, którym wabią motyle. Nie dają nic w zamian.

– Co ty powiesz?! – wzruszyła ramionami Fabienne. – Tym bardziej je lubię.

*

Kay Chomjan jadł poranną zupę i przeglądał folder z zestawem laboratoryjnych szkieł.

– Jesteś spakowana? – zapytał, odkładając katalog na stół.

– Prawie – ziewnęła Fabienne, która wkroczyła w jedwabnym szlafroku z gepardem na plecach.

– Przepraszam, że się wczoraj ulotniłem... – powiedział, bo nie do końca był pewien, czy jego żona jest śpiąca, czy obrażona.

– Nie szkodzi – machnęła ręką Fabienne.

– Czyli jak to mówiłaś? Ona chce zaprosić osoby, z którymi Martin widział się przed śmiercią? A powiedziałaś jej, że ten jej mąż był u nas i opowiadał niestworzone rzeczy? – zapytał, mieszając w garnku ryż w wieprzowym wywarze.

– Chyba żartujesz?! – Fabienne podniosła wzrok i popatrzyła znad okularów tkwiących na czubku jej nosa. – Przecież nie chciał, żebym jej mówiła.

– Aha – kiwnął głową, odkładając pustą miseczkę. Fabienne skrzywiła się.

– Wiesz, że u nas to bardzo ważne spełniać ostatnią wolę zmarłego – poinformowała z protekcjonalną miną.

Kay spojrział na żonę i zapytał, patrząc jej prosto w oczy:

– Skąd wiesz, że to była ostatnia?

Fabienne uciekła wzrokiem.

- Czy ty znowu nastawiłeś tę klimatyzację? Czy ja mam żyć w zamrażarce? Zaraz będziesz miał zimę! I dlaczego rozmawiasz o zmarłych przed otwarciem tej sieci? Nie wiesz, że to przynosi pecha - wstała i wyszła.

Kay nie pytał już o nic. Poszedł do pokoju. Otworzył szklaną gablotę i z szafki wyjął drugi amulet. Zawiesił go na szyi. Uznał, że dwa to lepiej niż jeden. Następnie zapalił kadzidełka na domowym ołtarzyku i bardzo nisko pochylił głowę.

Wieczorem polecili w Alpy.

Rozdział 9

Motyle na gwoździu

Po rzadko uczęszczanej przystani w mieście Trat kręciło się zaledwie kilka osób.

Szefowa przystani, odpowiedzialna za sprzedaż biletów i odprawę pasażerów, rozsiadła się obszerną pupą na małym krzeselku i siorbiąc przez słomkę słodki napój, spoglądała w niebo. Na chmury patrzył też mały, puszysty piesek, który wylegiwał się na biurku, obok kasetki z pieniędzmi.

Czekający na przystani Simon Holemans nie omieszkiał odnotować, że piesek został gustownie ubrany. Miał ozdobną obrózkę i landrynkowy sweterek naciągnięty na puszysty kark. Szefowa przystani nie bez powodu ubrała pupila. Temperatura spadła o kilka stopni, zachmurzyło się i zaczął wiać wiatr. Tego niewielkiego spadku temperatury Belg, jak i większość przybyszów z chłodnej Europy, mógł nie zauważyć, gdyż dla niego i tak było bardzo ciepło. Jednak rzeczywiście coś się zaczęło zmieniać. Na niebie pojawiły się pierzaste chmury, wzmógł się wiatr i zawirował piasek na ulicy. Poturlała się leżąca na ziemi puszcza po coli, a z drzewa spadło trochę liści. W jednej chwili zapachniało wodorostami, błotnistym podłożem namorzynowego lasu, smażącym się olejem kokosowym i kwiatem plumerii, choć drzewo to nie rosło w żadnym widocznym miejscu. Kolejny silny podmuch trzasnął wiekiem metalowej kasetki, strasząc psa, który zerwał się i zaczął szczekać na skrzynkę.

– Dragon Wind – stwierdziła szefowa, mieszając słomką w kubku.

Powiedziała to trochę do siebie, a trochę do zbliżającego się Tadeusza Napierały z Nejm Ry-Di pod ręką.

Nejm Ry-Di odgarnęła targane wiatrem włosy i nachyliła się nad stolikiem szefowej przystani. Zaczęła coś do niej mówić, a kobieta marszczyła czoło, zerkając podejrzliwie to na Polaka, to na Tajkę.

– Smoczy wiatr – powtórzyła, próbując wyłowić słomką żelowane kwadraciki. Wyraźnie chciała zakończyć rozmowę, ale Nejm nie zamierzała odpuścić.

Simon Holemans przyglądał się tej scenie z rosnącym zainteresowaniem. Polak stał obok dziewczyny i próbował nasłuchiwać, ale ilekolwiek by znał tajskich słów, to na pewno nie wystarczyłyby na zrozumienie toczących się pomiędzy kobietami negocjacji. Zrezygnował więc, odsunął się i z większej odległości podziwiał sylwetkę swojej dziewczyny. Kobiety skończyły przerzucać się argumentami, a zadowolona Tajka szepnęła coś do ucha Polaka. Lekko się zdziwił, ale bez komentarza wyciągnął z saszetki portfel i zapłacił. Miał kwaśną minę, ale szybko został nagrodzony cmoknięciem w policzek. Dziewczyna zatrzymała ręką zdelowany motorek z naczepą i odjechała.

– Nie takie rzeczy się kombinowało – oświadczył Polak z dumą, podchodząc do Belga. – Może będzie szybciej niż my. Załatwiłem jej własnego speedbouta – dodał z miną doświadczonego organizatora. – Z innej przystani.

Simon spojrzął na niego z powątpiewaniem. Nie chciało mu się wierzyć, by dla jednej osoby pragmatyczni Tajowie uruchamiali jednocześnie dwie szybkie łodzie z gigantycznej mocy silnikami, które zużywają nieprawdopodobne ilości benzyny. Podejrzewał, że rozsądna dziewczyna sama sobie zorganizowała małą łódź w cenie motorówki i Polak będzie musiał zaczekać na nią, a nie odwrotnie. Nie zamierzał jednak drażnić tego tematu, chciał jak najszybciej wrócić do przerwanej wcześniej rozmowy, by dopytać, co takiego usłyszał Polak, co zrozumiał i dlaczego to mogło komuś zaszkodzić.

Niestety, nie udało się porozmawiać z Tadeuszem Napierałą, bo odkryty pojazd przywiózł kolejnych pasażerów: dwie dziewczyny i jednego chłopaka. Z otwartej naczepy pierwsza wyskoczyła Luzi Lu. Zrobiła to z lekkością i sprężystością małej kauczukowej piłeczki. Stojąc na ubitej ziemi w lekkim rozkroku, poprawiała sztywny daszek małej czarnej czapeczki, ścisnęła gumkę kucyka wystającego znad paska regulującego

szerokość i poprawiła słoneczne okulary na nosie. Miała na sobie krótką sukienkę imitującą umaszczenie kotów, a wokół nadgarstka zaplecioną smycz, do której podpięty był duży złoty telefon na złotym sznurku. Po krótkiej chwili wzięła telefon do ręki i zaczęła kręcić wideo z samą sobą. Po niej z naczepy wytarabaniła się Mia Jacobee, trzymając w ręku mały foliowy woreczek z nadzianymi na patyczki kwadracikami zgrillowanego tofu.

– Na pewno nie chcesz? – spytała Włocha. – I jeszcze raz przepraszam, trochę trzęsło – dodała, patrząc na wielką pomarańczową plamę na ubraniu Lorenzo Capelli. Chłopak spojrział na upačkaną koszulę i odwrócił głowę z niesmakiem.

Kierowca zdjął z dachu walizki. Ta, którą postawił pod nogami Luzi Lu, sięgała jej do pasa. Simon Holemans pomyślał, że dwie przylegające do siebie plastikowe skorupy z powodzeniem mogły posłużyć za wanianki dla dzieci w wieku przedszkolnym. Walizka obleczone była w chroniący ją materiał, a suwaki spięte solidną kłódką. Simon uśmiechnął się do swoich myśli. Jego bagaż był pięć razy mniejszy, a zapięcie zdezelowanej walizki miało staromodny szyfr, który już dawno nie działał.

Z kolei plecak, który wylądował pod nogami Australijki, wyglądał jak długa, ponaciągana sznurkami parówka, natomiast Lorenzo Capella wyszedł z naczepy z własną torbą w ręku i futerałem w kształcie małej gitary.

Szefowa przystani, widząc przybywających podróżnych, zażądała od wszystkich biletów.

Pierwszy swoją rudą, pofałdowaną kopertę wyjął Simon Holemans. Położył na stół wyblakłą kartkę, na której ciągle były plamy po rozlanym piwie. Szefowa przystani wzięła, po czym zdecydowanym gestem nabiła ją na ponaddziesięciocentymetrowy gwóźdź wystający z drewnianej deseczki. Druga była Mia Jacobee. Przez dłuższą chwilę gmerała w sznurkowej torebce i w końcu wyjęła pognieciony papier. Nie zdążyła go nawet rozprostować, bo szefowa chwyciła kartkę, rzuciła na nią okiem i też nabiła na gwóźdź. Lorenzo Capella niepewnie podawał swoje zaproszenie, zastanawiając się, czy powinien się z nim rozstać, ale widząc wyciągniętą rękę szefowej przystani i jej zniecierpliwioną minę, w końcu je oddał, a właściwie dał sobie zabrać z ręki.

– Pamiętam takie gwóźdźe w kasach – skwitował Tadeusz Napierała, podając swój bilet. – I komu to przeszkadzało – dodał, wzruszając ramionami.

Luzi Lu z pewnego dystansu przyglądała się technice archiwizowania biletów. Powoli wyjęła swoje zaproszenie. Kopertę i kartkę obfotografowała dokładnie z każdej strony i dopiero wtedy oddała bileterce, a ona nabiła oczywiście kartkę na gwóźdź.

– Jeszcze dwie – oświadczyła grupce patrzących po sobie osób. – Siedem – powtórzyła, pokazując liczbę palcami. Tego też nikt nie skomentował. – Jeszcze dwie osoby – chrząknęła i usiadła, dając tym samym do zrozumienia, że wcześniej nic nie odpłynie. Coś, co było oczywiste dla szefowej przystani, nie było już takie klarowne dla biorących udział w przeprowadzie.

– A jeśli nie przyjadą? – zmartwiła się Mia Jacobee. – Możemy jechać sami? – zapytała, zerkając na Włocha, który po raz kolejny odwrócił głowę. – Bo jeśli nie dojadą... – szefowa wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nie zwykła się martwić przyszłością.

Po chwili zza zakrętu wyłonił się pick-up, unosząc tumany kurzu. Zahamował. Gdy zakręcił, wszyscy zobaczyli dwie osoby siedzące na pace. Z pojazdu wyskoczył kierowca. Po otwarciu klapy pokazały się długie, lśniące nogi Anabell Seseke. Wskoczyła ze sportową torbą w ręku, wyprostowała się, pokręciła szyją i zrobiła kilka ruchów rozciągających ciało. Po niej zszedł Scott Whitus, wyraźnie czekając, aż Niemka się od niego oddali, potem zsunął z paki worek spięty drutem.

– Zdążyliśmy! – zawołała Anabell Seseke, patrząc na wpatrujące się w nich osoby. – Cudem złapaliśmy tego kaskadera – dodała, pokazując palcem na dumnego kierowcę.

– Przyjechaliście stopem? – zainteresowała się Mia Jacobee.

– Tak – odburknął Scott Whitus.

– Aha – westchnęła Australijka. – To taka inspirująca forma podróżowania. Nie wiem, dlaczego ciągle nie mam odwagi – stwierdziła, płacząc palcami sznurki przy swojej torbie. Scott Whitus odwrócił się tyłem do Anabell Seseke i spoglądając z ukosa na Australijkę, podszedł do niej.

– Odwagę masz. Ona jest w tobie. Musisz ją tylko w sobie odkryć – uśmiechnął się. – O! Gdzieś tam... – pokazał palcem wskazującym na serce. – Wystarczy poszukać – powtórzył, po czym zarzucił worek na plecy i ruszył przed siebie.

– To może najpierw poszukaj drobnych w kieszeni, bo ten facet czeka – warknęła Anabell, zastępując mu drogę. – Umówiliśmy się – syknęła. – Więc może zajrzyj w głąb otworu w spodniach, który nazywa się kieszenią. W sercu raczej pieniędzy nie znajdziesz – zasugerowała, nadymając usta.

– Ty się umówiłaś – burknął Scott.

– Dobra, zapłacę za ciebie. Ponownie – podkreśliła zdecydowanie donośnym głosem, tak że usłyszeli prawie wszyscy. – Doliczę do nocnego autobusu. I tylko dlatego, że wiem, że więcej nie masz.

– Nie prosiłem cię. Ale teraz uprzejmie proszę, abyś zmieniła żerowisko. I dodam tylko, że w przeciwieństwie do ciebie umiem podróżować bez pieniędzy – syknął w jej kierunku, odwracając się na pięcie.

– Bez swoich to wiem – burknęła Anabell.

Scott zatrzymał się.

– Gdyby nie twoja negatywna energia, dotarłbym również i tu. Niewiele o tym wiesz, ale człowiek ma wiele do zaoferowania drugiemu człowiekowi. Ekwiwalentna wymiana może odbywać się bez przrzucania się banknotami.

– Też tak uważam – pisnęła Mia Jacobee i aż złożyła ręce, żeby zaklaskać.

– Podróżowanie bez pieniędzy, to znaczy... – syknęła Anabell, pokazując na siebie, ale nie zdążyła rozwiniąć swojej myśli. – Na czyj koszt?

– Teraz na twój. Ponieważ to ty się do mnie przyczepiłaś, a nie ja do ciebie – powiedział Scott.

Anabell Seseke stanęła z rękami bojowo wspartymi na biodrach.

– Bilety! – zażądała szefowa przystani, przerywając toczącą się rozmowę. – Smoczy wiatr – dodała z poważną miną, zdejmując ze stołu pieska, który zaczął szukać miejsca do obsikania.

Zaferowany rozmową Simon Holemans dopiero teraz zauważył, że włosy z luźno związanego koka na czubku głowy dziewczyny mówiącej z australijskim akcentem rozwiały się na tyle mocno, że musiała je zamotać ponownie. Plastikowy kubek zsunął się z biurka, kask zawieszony na rączce zaparkowanej przy przystani vespy kołysał się na boki, a on musiał zdjąć z nosa bananowe okulary, gdyż zrobiło się w nich za ciemno.

– Bilety! – powtórzyła kobieta tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Anabell Seseke sięgnęła do zawieszonej na szyli saszetki i bez słowa wyjęła z niej wodoodporny foliowy woreczek, a z niego precyzyjnie złożyła na cztery ruda kartkę.

Anglik zanurzył rękę do głębokiej kieszeni i wyciągnął dżgany widelcem papier. Podawał go w chwili, gdy szefowa przystani nadziewała na gwóźdź zaproszenie Anabell Seseke. Ten widok lekko go zahipnotyzował. Równej wielkości kartki dość charakterystycznego koloru trzęsły się na wietrze niby przebite szpilką motyle. Trzepotały jak żywe stworzenia. Zrobił krok w tył. Szefowa przystani zaśmiała się nerwowo i zaczęła powtarzać coś po tajsku. Słuchał, ale cofnął się jeszcze bardziej. Odwrócił się i spojrzał na wpatrzoną w niego resztę.

– Bilet! – wrzasnęła zniecierpliwiona kobieta, patrząc, jak Scott przyciska rudą kartkę do piersi.

Simon Holemans uważał, że w szefowej przystani tkwią pokłady cierpliwości głębokie jak ocean. I zapewne należała do osób, które niczego nie próbują rozwiązać na siłę. Kierowała się zasadą, że czasami warto przeczekać, a problem rozwiąże się sam. I machnąc ręką na zupełnie niezrozumiałe zachowania farangów, którzy awanturują się z nieznanymi jej powodów. Ale teraz nie było czasu na czekanie. Albo speedbout wypłynie za chwilę, albo wcale. Wiało coraz mocniej.

– Czy ktoś tu wie, o co chodzi? – zapytał Scott Whitus, stając tyłem do szefowej i przodem do patrzących na niego ludzi.

– Ja udaję się do Cinamon Serenity Resortu – stwierdził Włoch.

– Ja też, ja też, ja też... – odezwali się kolejno wszyscy.

– W jakim celu?! Po co? – zapytał Scott Whitus, ustawiając się bokiem do szefowej przystani, która próbowała wyciągnąć mu papier z ręki. – Wakacje, urlop?

– Ja mam sesję promocyjną – warknęła Luzi Lu. – A ty płyn albo nie! Nie zamierzam na ciebie czekać. Za chwilę będzie porządnie wiać i wszyscy się porzygamy – stwierdziła rzeczowo. – Nie chcę być zielona przez cały kolejny dzień.

– A widziałaś chociaż stronę tego resortu? – zapytał Anglik.

– Resortu nie widziałam, ale zdjęcia satelitarne tak – oświadczyła, unosząc bardzo wysoko podbródek. – Jest wyspa. Jest plaża. Jest ultrabiałą piasek. To mi wystarczy. Niektórzy muszą pracować – prychnęła.

Anabell Seseke uśmiechnęła się, z aprobatą kiwając głową, i zrobiła krok w jej kierunku.

– I nie boisz się? – zapytał niezrażony Anglik.

– Ja się niczego nie boję – oświadczyła Węgierka z wyższością, zadzierając głowę.

– Ja też pracuję, jakbyś chciała wiedzieć. Z duchem i materią, ale... – Scott nachylił się nad nią, tak by spojrzeć prosto w jej oczy – ...wolę pracować z dwiema nerkami niż jedną, a może żadną. Słyszałem o takich historiach – oświadczył, a Mia Jacobee zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

– Człowieku! – wtrącił się Polak. – W takich Indiach czy Bangladii to biedni ludzie sami je sprzedają. Nie potrzeba tyle zachodu. Ja mam wycenić okna, a moja dziewczyna mówi, że na wyspę obok przyjeżdżają gwiazdy z tajskiej telewizji. To by się z takimi rzeczami nie babrali.

– A jeśli to nerki dla gwiazd z telewizji? – zapytał Anglik.

– Bilet! Bilet, bilet, bilet! Biiiilet! – Szefowa przystani nie wytrzymała, a jej nieoczekiwana nerwowość udzieliła się pieskowi, który zaczął szczekać na Anglika. Ten mocno się wystraszył i zamachnął nogą tak, że prawie kopnął psa. Australijka szybko przykucnęła.

– Ja mam zająć się ochroną przyrody... – zagadała Mia Jacobee, głaszcząc pieska. Szefowa przystani nachyliła się, wyrwała jej puchową kulkę z rąk i posadziła na swoim biurku, odgradzając pupila całym swoim ciałem.

– A znasz się na tym? – zapytał Scott.

– Jestem z wykształcenia geologiem...

– Z doświadczeniem? Co robiłaś? Konkretnie?! – pytał dosadnie, nie zwracając uwagi na łamiący się głos dziewczyny.

– Szybko się uczę i mam dobrą motywację – oświadczyła Mia, ale powiedziała to tonem, któremu daleko było do pewności siebie.

– Do czego masz motywację? Do wszystkiego? – Scott nie przestawał.

– To była bardzo personalnie skierowana prośba... – odpowiedziała Mia głosem, który drżał. Jasne było, że jeszcze dwa takie pytania i dziewczyna się rozplacze.

– Pewnie jak wszystkie inne – wzruszył ramionami Anglik. – Nie dziwi was to? – zwrócił się już do wszystkich.

– Człowieku, przestań robić problemy – wtrącił się Polak. – Zawsze się taki znajdzie – jęknął, przewracając oczami. – Na każdej wycieczce.

– A nie czujesz, że tu śmierdzi! – stwierdził Scott, machając głową na boki. – Do widzenia państwu.

– A właśnie, że płyniesz – warknęła Anabell, która do tej pory się przyglądała, a teraz podeszła i zdecydowanym ruchem wyrwała rudą kartkę z zaciśniętej ręki Anglika. – Przypominam ci. Masz pracować i oddać to, co ci do tej pory pożyczyłam. Sam to zadeklarowałeś – oświadczyła i zamachała kartką w uniesionej wysoko ręce.

– Czyli że mam tam zajmować się masażem? – jęknął Scott, próbując wyrwać bilet z rąk Niemki.

– Nawet gdybyś go zabrał – Anabell wymachiwała kartką nad jego głową – i zjadł, to gwarantuję, że go z ciebie wyciągnę.

– Mamy to wszystko robić... w nieistniejącym resorcie? – spytał, rezygnując już z odebrania Niemce biletu.

– Może dlatego, że ma dopiero zaistnieć – wzruszyła ramionami Węgierka. – I właśnie my mamy go wypromować.

– W sprzyjającym klimacie... – do rozmowy próbowała włączyć się Mia Jacobee. – W zrównoważonym kontekście... dbając o dobro wszystkich...

Scott Whitus popatrzył na Australijkę i pokręcił tylko głową. Odwrócił się, poszukując innej osoby, która mogłaby potwierdzić jego wątpliwości.

– A pan? – zapytał Belga, patrząc na niego jak na ostatnią deskę ratunku.

– Ja sadzę rafę koralową – wyjaśnił Simon Holemans w najbardziej prostoduszny sposób, na jaki było go stać.

– O! Jak wspaniale! Jak cudownie! – zachwyciła się Australijka. – Mam znajomych, którzy też to robią... – dziewczyna wyraźnie się rozpromieniła.

Szefowa portu nabiła na gwóźdź ostatnią, podaną przez Anabell Seseke kopertę, a Anglik skulił się tak, jakby ktoś uderzył go w brzuch.

– Czy wy nie rozumiecie, że to jakaś pułapka? – Scott Whitus próbował mówić, ale nikt go nie słuchał. Wszyscy poszli w wyznaczonym przez szefową przystani kierunku. Wszyscy oprócz Anabell Seseke, która czekała z założonymi na piersiach rękami.

– Panikarz – prychnął Polak.

– Jeżeli nie popłyniesz, to zgłoszę na policję, że mnie okradłeś – oświadczyła, gdy tylko Anglik podniósł głowę. – I wiem, że mówię to śmiertelnie poważnie – ostrzegła.

– Za tysiąc batów? – zapytał Scott. – Nikt się tym nie zajmie...

– Chyba że coś ci tam jeszcze znajdą – stwierdziła Anabell. – A mam pewność, że mogą już cię znać – dodała, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła sprężystym krokiem w kierunku motorówki.

Scott Whitus bezsilnie uderzył ręką w biurko szefowej. Przestraszony piesek znowu zaczął szczekać. Anglik nachylił się nad nim, wyszczerzył zęby i też zaczął warczeć. Zwierzę skuliło się, skomląc. Prezentacja sił na nic się zdała, bo znowu spojrzał na gwóźdź i trzepoczące kartki.

Odwrócił głowę i powłócząc nogami, ruszył za resztą.

*

Łódź zniknęła z horyzontu, gdy na przystani pojawił się porucznik Surasak Jintana. W policyjnej koszuli i spodniach. Z plecakiem i krótką bronią w kaburze. Zdążył jeszcze zatrzymać szefową przystani, która dojadając lodowego hot doga, wsadziła psa do koszyka umocowanego przy kierownicy różowej vespy. Na jego widok kobieta zamarła, a trzy kulki łodów wpakowane w podłużną pszenną bułkę utknęły w połowie drogi do jej otwartych ust.

Porucznik zapytał o możliwość dotarcia na wyspę. Kobieta patrzyła na niego i odezwała się dopiero po dłuższej chwili. Przepraszającym głosem zaczęła wyjaśniać, że właśnie przyszedł komunikat o wstrzymaniu ruchu wszelkich jednostek pływających. Wyjaśniła to, trzymając bułkę w rękę i nie zwracając uwagi na to, że po nadgarstku cieknie jej lodowa stróżka.

– Ostatnia łódka właśnie odpłynęła – powiedziała przejętym głosem. Wyjaśniła, że teraz musi rozmawiać z wojskiem. – Ostatni raz, kiedy zaczęło tak wiać, turyści czekali dwa tygodnie na łódź. Awanturowali się, jak to tylko farangowie potrafią. W końcu ruszyła po nich wojskowa amfibia, bo inaczej się nie dało. Może i tym razem trzeba będzie wzywać pomoc?

Porucznik podziękował za wyjaśnienia. Miał jeszcze kilka pytań, ale postanowił dać zjeść kobiecie lody. Bo ta ciągle tkwiła z ręką zawieszoną w powietrzu, z czego był zadowolony piesek zlizujący ciekący ulepek. Pożegnał się.

– Czy mogę zapytać... – wybąkała na koniec. – W którym serialu gra pan policjanta?

Rozdział 10

Kilwater

Speedbout uderzał o fale jak o beton i pędził w kierunku nowej wyspy, pozostawiając za sobą wściekle spieniony ślad. Luzi Lu zaczęła robić się zielona, Scott Whitus był już blady. Mia Jacobee żałowała, że jadła, bo cała zawartość paczki prażonych groszków wysypała się na ziemię. Tadiusz Napierała podłożył sobie pod głowę wolną kamizelkę i przysypiał, objając się miarowo. Lorenzo Capella trzymał na kolanach torbę, zaciskając kurczowo palce na małym futerale. Anabell Seseke siłowała się z własnymi nadgarstkami, a Simon Holemans patrzył w granatowe wzburzone morze i tak samo jak cała reszta starał się odtworzyć w pamięci to, co wiedział o miejscu, do którego zmierzali. Potrafił nie widzieć swojej komórki przez kilka dni, ale od kiedy dostał zaproszenie, rzucił się do przeszukiwania internetu. Nie przypuszczał, że spędzi godziny przed wyświetlaczem, zainteresowany malutką wyspą i rodzajem piasku na plaży.

Mia Jacobee też wiedziała, że na rozlicznych wybrzeżach Tajlandii występuje każdy rodzaj piasku. Piasek wiele mówił o podłożu, historii wód przybrzeżnych, skorupiakach żyjących teraz i przed milionami lat. Wielka różnorodność i wielkie bogactwo. Nietykalne bogactwo! Dlatego oburzyła się nieprawdopodobnie, czytając, że na wyspę, na której wybudowano Cinamon Serenity Spa Resort, dostarczono setki worków piasku z Dubaju. Taką samą informację, rozpowszechnioną w formie sensacyjnej atrakcji, znalazła Anabell Seseke. Wkurzyła się, że wymieniono piasek na jego bardziej ekskluzywną wersję, czyli bielszą. A wszystko po to, by stworzyć oryginalną i niepowtarzalną plażę dla niewielkiego, ultraluksusowego resortu, o czym czytał Scott Whitus. Na wyspę sprowadzono również dorodne palmy kokosowe. Podobno z Kambodży. Wraz z nimi specjalistów z Wietnamu do przesadzania tak dużych drzew. Powstał też spektakularnie długi pomost, rekordowy w tej części Zatoki Tajlandzkiej. Jednak informacji o właścicielach Anglik nie mógł znaleźć. Lorenzo Capella przeczytał gdzieś, że to kaprys córki jakiegoś wysoko postawionego oficera policji, która miała zamiłowanie do ekstrawaganckiego designu i wielkie marzenie, by pojawić się w branżowym piśmie. Mówiono również, że jedna ze stacji telewizyjnych planowała realizować tu światowej klasy reality bikini show, w którym wiele... bardzo wiele miało się dziać właśnie na piasku.

Luzi Lu przeczytała wszystko, co można było znaleźć. Nawet to, że w barze poustawiano już butelki z alkoholem z całego świata, a w lodówce słoiczki z kawiozem. Pierwszymi gośćmi miały być gwiazdy telewizji i YouTube'a. Otwarcie jednak odwołano. Przynajmniej tego dowiedziała się z relacji jednego youtubera. Chłopak podejrzewał, że w piasku zaległy się miliony pcheł piaskowych i żaden olej kokosowy przed nimi nie chronił. A do dżungli nie dało się wejść, bo żyła w niej większość gatunków tajlandzkich węży, w tym dziesięć najbardziej jadowitych. Podejrzewał, że odkryto jakiś nowy gatunek pająka lub skolopen-dry, z większą ilością nóg i jadu w aparacie gębowym. Akurat tym Luzi nie zaprzętała sobie głowy.

Tadeusz Napierała usłyszał od swojej Tajki, że, według rybaków, na Ko Tan mieszka demon. I jest tak ohydny, że nawet najbardziej paskudne larwy na niego rzygają, a ludzie zwyczajnie nie wytrzymują widoku tej brzydoty. Podobno ci, którzy pracowali na wyspie, zobaczyli go i uciekli w pław, bo zwariowali. Luzi Lu to też nie przeszkadzało.

Simom Holemans był niezwykle ciekawy, co z tego okaże się prawdą i kto tak naprawdę ich tu zaprosił. Jak na razie tylko jedno było pewne: motorówka dobijała do najdłuższego pomostu, jaki widział, a nad niewielką wyspą ciągle świeciło słońce. Wszyscy wychylili się, by zobaczyć wybrzeże. Wszyscy oprócz Luzi Lu, która siedziała z opuszczoną głową i trzymała przed sobą foliowy woreczek.

– Wszystko u Ciebie dobrze? – zapytał ją Simon Holemans.

– Właśnie się dowiedziałam, że nie trawię orzeszków – odpowiedziała mu, próbując nie patrzeć na foliówkę.

– Ale tu pięknie! – wykrzyknął Polak, wyciągając głowę.

Belg wychylił się mocniej i gdy zobaczył dno, pokiwał głową. W przejrzystej wodzie widać było całe ławice małych i większych rybek, które dla zabawy zaczęły płynąć wraz ze zwalnającą łódką. Zobaczył też głązy wulkaniczne wystające z wody, które musiały być świetnym schronieniem dla nieznanym mu gatunków. Nie mógł się doczekać, by zanurkować i na nie popatrzeć.

Dobijali. Szare wypłowiałe deski pomostu zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Dno schodziło bardzo, bardzo łagodnie. Simon Holemans obstawiał, że w porze odpływu jeszcze z dwieście metrów od brzegu woda sięga kolan. Należało bardzo uważać, by nie utknąć na mieliźnie lub nie zakopać się w piachu. Kapitan o tym wiedział, więc asekuracyjnie zacumował w najodleglejszym punkcie i chciał jak najszybciej pozbyć się pasażerów. Wspólnie z pomocnikiem zaczął wyrzucać na pomost skrzynki, paczki i poukładane na dziobie walizki. Nie reagował na pytania Anglika, który usiłował się dowiedzieć, kiedy motorówka przyplynie znowu i czy stanie się to jutro rano.

W dostarczonych paczkach Lorenzo Capella dojrzał karton spaghetti, opatrzone etykietą znajomej mu marki makaronu. To go wyraźnie uspokoiło. Pokazywał wszystkim i mówił, że skoro jest włoski makaron, to znaczy, że na wyspę dotarła cywilizacja. Luzi Lu była innego zdania. Patrzyła w telefon i widziała brak zasięgu.

Po wyładowaniu wszystkiego i wszystkich kapitan motorówki nawet nie machnął ręką, tylko uruchomił silniki, po kilku sekundach nadał im moc i uderzając o fale, odpłynął w kierunku granatowej toni i ciężkich kotłujących się chmur.

– Ucieka przed burzą – skwitował Tadeusz Napierała, którego bardziej zainteresowała konstrukcja pomostu. Oparł się o barierkę, potrząsnął nią i kilka razy podskoczył. Całość zatrzęszczała.

Scott Whitus zaczął krzyczeć, chwytając się poręczy:

– Co ty, człowieku, robisz?!

– A co? – zapytał Polak i podskoczył raz jeszcze.

– Zwariowałeś?!

– Wygląda na to, że nikt tu po nas nie przyjedzie – westchnęła Mia Jacobee.

– To co, będziemy czekać?! – wykrzyknął Polak. – Idziemy! – dodał, pomagając Węgierce taszczyć walizkę.

– Może zabierzemy ze sobą te kartony i skrzynki – powiedział Simon Holemans, zastanawiając się, czy nie powinni wziąć chociaż po jednym pudełku. Ale dosyć szybko zorientował się, że tym każdym mógłby być on sam. Wziął tylko makaron i ruszył za resztą.

– Cudowne wybrzeże! – zachwyciła się Australijka. – Jak opisać taki kolor? – zapytała, patrząc na zieleń wody na tle białego piasku.

– To szmaragdy rozpuszczone w mleku – stwierdził Lorenzo Capella.

– Jak poetycko! – zachwyciła się Mia Jacobee.

– E tam. Włochom to się wszystko z jedzeniem kojarzy – skwitował Polak.

*

Anna Strąg patrzyła, ukrywając się za pióropuszem palm sięgających tarasu nad hotelowym lobby. Podmuchy wiatru odgarniały jej krótkie, srebrnosiwe włosy. Łopotwały na wietrze czarne, szerokie spodnie i tunika przypominająca kimono o nie mniej szerokich rękawach. Stała z kamienną twarzą i przesuwała lornetkę o milimetry.

Długo czekała, zgadując. Kto wyjdzie pierwszy? Kto jak będzie szedł? Kto będzie patrzył prosto przed siebie, a kto rozglądał się na boki? Kto z kim się zna lub kto zdążył się już zapoznać? Kto będzie paradował,

unikając kontaktu, a kto będzie usilnie szukał towarzystwa? Kto dużo mówił, a kto dużo słuchał? Wiedziała, że gdy tylko zacznie ich obserwować, zobaczy te wszystkie szczegóły niemal jednocześnie. Zawsze tak było. Czy tego chciała, czy nie. Czasami wystarczył rzut oka, by wiedziała, kto jest ambitny, kto nie. Kto bezwzględny, a kto podporządkowany. Kto gwałtowny, kto opanowany. Kto kogo zdradza. Rozpoznawała to wszystko po spojrzeniach, gestach, zachowaniu, a czasami nie potrafiła wyjaśnić, skąd wie, ale wiedziała. Zamierzała umiejętnie wykorzystać dar obserwacji i uruchomić największy talent – zarządzanie ludźmi.

Teraz po kolei rozpoznawała osoby, na które padał krzyżyk wyznaczający ostrość widzenia lornetki.

Będą tańczyć, jak im zagram!, pomyślała, widząc, jak schodzą z pomostu.

Część II

SMOCZY WIATR

Rozdział 11

Perypetie

Ania Strąg nie wykluczała, że na wyspie może przebywać paskudny demon, tak paskudny, że larwy na niego rzygają. Ani tego, że pęki jadowitych węży zamieszkują dżungłę pośrodku wyspy Ko Kham. Ani że odkryto tam najbardziej jadowity, nieznanego gatunku skolopendry. Pojęcia też nie miała, czy w najmniejszym z miękkich białych piasków zagnieździły się pchły piaskowe. Nie znała żadnego generała, szejka, producenta telewizyjnego, gwiazdy rocka, reggae czy opery mydlanej, ale – co najważniejsze – od lat znała właścicieli wyspy i mniej więcej wiedziała, co się stało z inwestycją pod nazwą Cinamon Serenity Spa Resort.

Była to zwyczajna samowola budowlana. Model biznesowy właścicieli był skuteczny, choć sama nigdy by się na coś takiego nie odważyła. Jak dotąd nie podejmowała zbyt dużego ryzyka. Planowała długo i skutecznie, rozważała korzyści i straty. I zgarniała zyski małą łyżeczką, nie przestając nią mieszać. Tajsko-francuskie małżeństwo, mimo że było w podobnym wieku, decydowało o swych przedsięwzięciach w odmienny sposób. Zazwyczaj spontanicznie. Mieli sen, przecucie, kaprys czy zasłyszana informacja. Sprawdzali wróżbę, a potem działali. Z reguły w stary, wypróbowany, funkcjonujący na całym świecie sposób. Zaprzyjaźniali się z jakimś lokalnym politykiem, wojskowym czy wpływową rodziną, pertraktowali i rozpoczynali budowę. Potem uzyskiwali wszystkie możliwe pozwolenia. Z reguły się to udawało. Niekiedy jednak obstawiali złego konia i pojawiały się mniejsze lub większe problemy – przychyłność jednych nie korespondowała z interesami drugich. Kiedy powstawał Cinamon Serenity, jeden z regionalnych wódatarzy poczuł się wyraźnie pominięty w pertraktacjach, niedoceniony. I nagle zaniepokoiła go ingerencja w dziką przyrodę Tajlandii. Zakwestionował więc wszystkie wydane wcześniej pozwolenia i wstrzymał budowę. Sprawa trafiła do sądu.

Tyle dowiedziała się Anna Strąg od Fabienne i Kaya Chomjan. Małżeństwo utrzymywało, że rozwiązanie tego problemu jest na dobrej drodze, o czym mieli zapewniać wróżbici, adwokaci i kilku polityków. Do tego czasu nie chcieli przyjeżdżać na wyspę, by nie drażnić lokalnych władz, a przede wszystkim nie psuć sobie humoru. Podejrzenia Kaya były w pełni uzasadnione. Miejsce dziczało. Dżungla odbierała, co swoje, powoli wchłaniając rajskie wybrzeże, które wykarczowano, by postawić domki, lobby, basen i całą potrzebną infrastrukturę. Chcąc to utrzymać, należałoby codziennie walczyć o wyrwany dziękij wyspie skrawek ziemi. Pilnować, by kokos nie zamienił się po dwóch sezonach w bujną, chwiejącą się na wietrze wiecheć. Żeby opadające na ziemię wielkie liście migdałowców nie przykryły grubą warstwą białego piasku, a dziko żyjące zwierzęta trzymały się na wyznaczonej odległości, unikając ludzi. Widziała już stado małych małp, które całą rodziną podchodziły pod sam pomost, rozbijając muszle o kamienie i jedząc wydłubane małże. Kolejny nieczynny sezon i lobby, domki, basen, bary popadną w ruinę.

Ale to nie była jej sprawa. Miała swój plan i dostała dokładnie to, czego chciała – czas i odpowiednie miejsce. Przysięgła sobie, że dowie się, co się tak naprawdę stało z Martinem, i była zdeterminowana, by tej przysięgi dotrzymać. Bez znaczenia, czy to niebezpieczne, w co się zamiesza, i ile pieniędzy straci. Zawsze dążyła do wyznaczonego celu, zawsze doprowadzała sprawy do końca. A teraz cały jej świat zawęził się do tej jednej myśli: kto i dlaczego zabił człowieka, którego nazwisko ciągle nosi.

Rozwikła tę zagadkę i odpowiednio ukarze mordercę.

Opracowała schemat działania. I była w trakcie jego realizacji. Ściągnęła tu wszystkich, którzy kontaktowali się z Martinem przed jego śmiercią. I wiedziała, że ktośś z nich spotkało się z nim tuż przed tym, jak znaleziono go unoszącego się w mętnej wodzie pośród pływających w rzece lilii wodnych i śmieci. Poli-

cja uznała utonięcie za nieszczęśliwy wypadek. Ambasada przychyliła się do ustaleń policji i nie zamierzała nalegać na wznowienie śledztwa. Jedni i drudzy zasłaniali się koniecznością pozyskania jakichś nowych dowodów. Jedni i drudzy przestali również odpowiadać na jej mejle. Zaczęła dzwonić do ambasady, ale powiedziała o kilka słów za dużo, i w końcu zablokowali jej telefon. Uruchomiła znajomości, ale efektem były zbywające ją komunikaty. Zatrudniła prywatną, międzynarodową agencję detektywistyczną, która wystawiała niebotyczne rachunki, a jedyne, co ustaliła, to aktualne adresy wskazanych przez nią osób. Ale ani oni, ani policja nie potrafili powiązać ich z morderstwem. Jej wątpliwości odczytywano jako frustrację samotnej kobiety, która z niezrozumiałych powodów awanturuje się o byłego męża. Anna Strąg nie zamierzała nikomu tłumaczyć, że nie potrafi pogodzić się z tą śmiercią, chce tę sprawę rozwiązać do końca i dopiero wtedy spokojnie zaśnie.

Nie godziła się też z przedstawioną przez policję wersją wydarzeń. Utopił się, bo zasłabł, albo wpadł do rzeki, bo się potknął. Wiedziała, że to bzdura, a przede wszystkim czuła to, pamiętając strzępki prowadzonych z nim rozmów. Prawie zawsze odbierała telefony, choć dzieliła ich duża różnica godzin – u niego było późne popołudnie, u niej zaczynało dopiero świtać, u niego wieczór, u niej środek dnia. Kiedy była w pracy, słuchała jednym uchem, czytając w międzyczasie mejle od ichtiologów, dystrybutorów, dostawców. Bywała podenerwowana i czasami poirytowana jego ekscytacją. Jej stawom groziła zaraza, a on mówił o zachodach słońca i wszystkim, co mu się przydarzało. Słuchała opowieści o poznanych ludziach, nie czując potrzeby zapamiętywania ich nazwisk. Nie prosiła, żeby powtórzył, gdy czegoś dobrze nie dosłyszała.

Nie zainteresowała się też wyjątkowym znaleziskiem, które odkrył albo dostał w prezencie. Pamięta tylko, że kurtuazyjnie zapytała, co to jest. Odpowiedział, że takiej biżuterii jeszcze nie miała, że będzie ozdobą jej kolekcji, jeśli tylko będzie ją stać na odkupienie. Kiedy powiedział, że przewidział zniżki dla byłej żony, zaśmiała się i zapytała, co z tego będzie miał. Usłyszała: szczęście, sławę, uznanie. Ot, takie pogaduszki, do których nie przywiązywała większej wagi. Kiedyś przysłał antyk wytworzony w czasach panowania Xi Jinpinga, a nie za którejś tam dynastii. Przestrzegła go przed kupowaniem podejrzanych wyrobów ze skóry, kości czy czegoś, czego nie będzie mógł przywieźć ani przysłać pocztą. Z reguły słuchał jej rad. Tym wyjątkowym znaleziskiem był bardzo podekscytowany. Pamięta, że nawet ją coś zaniepokoiło, ale nie mogła sobie przypomnieć, co to było. Miała wtedy pilną rozmowę na drugiej linii, dzwonił ważny specjalista. Zbyła go. Pamięta, jak Martin pomachał jej z ekranu telefonu stojącego na podpórce, mówiąc, że ma kluczowe spotkanie z jedną z osób, o której ostatnio rozmawiali. „Masz ją na zdjęciach”, dodał, robiąc przy tym komicznie tajemniczą minę. Nie roześmiała się, nie miała nastroju do żartów, przed nią leżało sześć różnych ekspertyz dotyczących plamek na skrzylach. „Do usłyszenia”, powiedziała.

Miała nadzieję porozmawiać z nim następnego dnia, ale jedyne, co rano usłyszała, to głos sekretarki z ambasady w Bangkoku.

*

Sebastian Kirch wysiadł ze służbowego samochodu i rozejrzał się po królestwie, w którym rozpoczął rządy. Pierwsze, co zobaczył, to była noga operatora wózka widłowego, oparta o parapet niskiego okna.

– Wypastować panu buty? – zapytał, zaglądając za róg budynku. Operator pospiesznie skinął i uciekł, przysyłając palcami tłącego się papierosa. Sebastian Kirch pokręcił głową.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – powiedziała nowa sekretarka i podsunęła mu wydruk mejla. – To z Bangkoku. Rachunek. Przekazać księgowości?

– Nie – odpowiedział po dłuższym zastanowieniu. – Proszę mi go dać. Zerknę – dodał, biorąc papier do ręki.

Wszedł do swojego pokoju, rozsiadł się w fotelu i po raz kolejny zaczął czytać znaną w szufladzie umowę z firmą detektywistyczną, której nazwa pisana była w dwóch językach: angielskim i tajskim.

– To też trzeba zmienić – mruknął pod nosem, popatrzył w okno i położył nogi na biurku.

Rozdział 12

Cinamon Resort

– O kurwa! – przeklął Tadiusz Napierała, schodząc z pomostu, i z wrazenia odstawił trzymaną nad głową walizkę. – Przepraszam za mój francuski – dodał pospiesznie.

Nie było za co przeproszać, bo tylko Simon Holemans dosłyszał przekleństwo wyrażające szczere zdziwienie i wydawało mu się ono w pełni zrozumiałe, zważywszy na widok, jaki się przed nimi roztaczał.

Zeszli z pomostu i zatrzymali się przy niewielkim barze, który zapewne kiedyś witał drinkami nowo przybyłych gości, ale nikt ich nie witał, a bar zdążył obrosnąć firankami pnączy. Wiotkie gałęzie przeciskały się pomiędzy półkami, na których sterczały zakurzone i dopite do połowy butelki z rumem, whisky i polską wódką. Za ladą wyrosła pokaźnych rozmiarów roślina. Jej gałęzie były tak rozłożyste, że sześciocentymetrowe pająki zdążyły utkać płachty sieci i spokojnie czekać na swoje ofiary. Najdziwniej wyglądały stojące przy barze dwa rżące, elektryczne wiatraki. Nie miały kogo chłodzić, a przede wszystkim nie były podłączone do prądu, jednak działały, obracając się z dużą prędkością, napędzane wiejącym od morza wiatrem. W obudowy z przerdzewiałych już drutów wplątały się fragmenty wypłowiałych świątecznych girland. Uniesione wiatrem, powiewały niczym meduzy płynące przez ocean powietrza, trzepocząc w rytm kręcących się łopatek. Kompozycję jak z apokaliptycznych filmów uzupełniał neon, który miał obwieszczać huczne świętowanie Nowego 2563 Roku. Litery zszarzały, a trójka się urwała i wisiała na kablu. Od trzech lat, jak zdążył policzyć Simon Holemans, odejmując europejski rok od tajskiego kalendarza, który popychał tutejszy świat o pięćset czterdzieści trzy lata do przodu, zaczynając liczyć czas od śmierci Buddy.

Dla dopełnienia obrazka na kontuarze ciągle kiwała się mordka chińskiego plastikowego kota, który skrzypiąc, podrygiwał łapkami unoszonymi przez wiatr. A za barem leżał styropianowy bałwan – zaklinował się o przewrócone krzesło i postukiwał bananowym nosem z plastiku o posadzkę.

Bar stał lekko w bok od głównej ścieżki, którą ktoś zdążył zamieść. Ale zeszkłe liście trafiły wprost do nieczynnego basenu. W wizji architekta i właścicieli był przedłużeniem plaży, a napełniony wodą, łączyłby się z widokiem morskiej toni. Ale teraz na mozaice z niebieskich i turkusowych kafelków leżały tylko suche liście, trochę jednorazówek i puszek.

– Szkoda, że nie jest napełniony – stwierdził Tadiusz Napierała, opierając się o basenową drabinkę. – Popluskalby się człowiek z... dziewczyną – dodał, puszczając oko w kierunku Simona Holemansa.

– Tak, bardzo chętnie wzięłabym prysznic – stwierdziła Luzi Lu, patrząc na zardzewiałą deszczownicę, którą trzymała w ręce syrena wsparta na rybim ogonie. – Wyglądam jak ona – dodała, patrząc na odłóżkę od jej ciała płaty farby.

– Nie jest tak źle – próbowała pocieszyć ją Mia Jacobee.

– O czym wy w ogóle mówicie! – wykrzyknął Scott Whitus, który od pewnego czasu kręcił się w kółko. – Czy tylko mi się wydaje, że występuję w jakimś filmie? Przecież to wygląda jak scenografia jakiegoś horroru. Tu muszą być kamery! – wykrzykiwał do momentu, w którym nie podeszła do niego Luzi Lu.

– Myślisz, że ktoś to może nakręcać? – zapytała z poważną miną.

– Może wystąpimy w reality show? – Tadiusz Napierała zaśmiał się. – Czy ktoś podpisywał jakiś regulamin bardzo małym druczkiem? – pytał, rozglądając się dookoła.

– Niczego nie podpisywałem – stwierdził Lorenzo Capella.

– Ja też nie – powiedziała Mia Jacobee.

– Jaki regulamin?! – wykrzyknął Anglik. – O czym wy mówicie?! Ktoś nas tu zwabił! I jeśli coś nakręci, to nasze powolne konanie... albo spektakularny koniec.

– Nie znam większego tchórze od ciebie – prychnęła Anabell Seseke, choć nie przestawała rozglądać się wokół siebie, stojąc na lekko ugiętych nogach, gotowa do skoku lub ataku.

– Tu chyba nikt nie mieszka – stwierdził Lorenzo Capella. – Za dużo tu roślin... Za mało ludzi – dodał niepewnym głosem.

– Kiedyś przyroda i tak to wszystko pochłonie. – Mia Jacobee pokiwała głową. – Dżungla upomni się o swoje i mam nadzieję, że natura wygra tę walkę. Jestem przekonana, że człowiek będzie jedynie malutkim zdjęciem w albumie ziemi. To pocieszające...

– Zależy kogo – jęknął Lorenzo Capella, odwracając się od Australijki. – Może ktoś jest w restauracji?

– Chyba nikt się nie obrazi, jak zrobimy sobie powitalnego drinka – zaproponował Tadiusz Napierała, wskazując butelki. Nie czekając na zachętę, wszedł za bar.

– Uważaj na pająki – jęknęła Anabell Seseke.

– Nie są groźne – stwierdził rzeczowo Simon Holemans. – Dla człowieka oczywiście – dodał.

– Piwa nie ma. A nawet jakby było, to ciepłe. Bezpieczniej drinka wypić.

– To ja może campari soda – zdecydował się Lorenzo Capella. – Albo jakiś inny aperitif. Przed kolacją.

– Chyba by należało zapłacić – wtrąciła Niemka.

– Do płacenia zawsze się ktoś znajdzie – uśmiechnął się Polak. – Przyjdzie, to zapłacimy. Ja stawiam, żeby było wiadome – oświadczył z dumą.

– To dla mnie rum – Scott Whitus pokazał na zakurzoną butelkę z piratem na odklejającej się etykiecie, a Anabell Seseke przekręciła oczami, tak że pokazały się w nich same białka.

– Dobrze ci robi – skwitował Polak. – Ale tu raczej kieliszków i szklanek nie znajdę – oświadczył, wyciągając jeden zszarzały pokal, w którym kilka cykad dokonało swego żywota, a jedna się jeszcze ruszała. – Chodźmy do środka – pokazał na budynek resortowego lobby. – Tam się czegoś poszuka – dodał z przekonaniem. Wyszedł zza lady, ale po chwili cofnął się i zabrał jedną butelkę polskiej wódki. – Pokażę Nejm – szepnął do Simona Holemansa, który kiwnął głową ze zrozumieniem. Puścił dumnego Polaka przodem, a sam obejrzał się za siebie.

Wyspa pozostawała jeszcze w słońcu, ale już prawie cały pomost w cieniu. Fale stały się coraz większe. Wiał coraz mocniejszy wiatr. Trzepotały wzorzyste spodnie Mii Jacobee. Luzi Lu musiała trzymać czapkę za daszek. Prostowały się loki na głowie Włocha. Jedynie Anabell Seseke szła wyprężona jak struna, a wiatr opływał jej obcisły strój i łusą głowę, trzęsąc złotymi kołami w uszach.

– Ciekawe, o której dotrze Nejm – zastanawiał się Tadiusz Napierała, spoglądając na Belga.

Simon Holemans powątpiewał, by ktoś przy zdrowych zmysłach odważył się teraz płynąć, ale nie zamierzał mówić tego Polakowi.

Ruszyli w kierunku nowoczesnego budynku, który swą architekturą nawiązywał do chat zbudowanych z połączonych ze sobą bambusów. Z tym, że w gigantycznej skali. Z daleka widać było kontuar pustej, otwartej recepcji, która, na tropikalną modę, nie potrzebowała zewnętrznych ścian. Rytm pali podtrzymujących sufit pokrywał się z odległościami między posadzonymi przed wejściem palmami kokosowymi. Ich rozłożyste gałęzie kiwały się na wszystkie strony, szeleszcząc ostrymi liśćmi. Bujały się również wielkie, zawieszane pod wysokim sufitem ażurowe lampy z trawy ryżowej, podobne do plecionych koszy rybackich. Jedna się urwała i turlała po podłodze. Simon Holemans przyduśił ją kłapkami i już chciał się zgiąć, by ją chwycić, gdy poczuł szarpnięcie. Zdziwił się, bo myślał, że idzie ostatni. Odwrócił się i zobaczył rękę trzymającą jego łokieć i przerażone niebieskie oczy.

– A tobie naprawdę nie wydaje się to dziwne? – powiedział Anglik.

– Wydaje – odpowiedział Simon Holemans, zdejmując z nosa plastikowe bananowe okulary. – Ale nie ma co tu stać. Zaraz zacznie padać – dodał, ruszając przed siebie.

Za plecami usłyszał powolne kłapanie japońskich ociągającego się Anglika, które po chwili zagłuszyły krzyki.

- O Boże!
- Kurwa! Co tu jest grane!
- O matko!
- Tatusiu! Zabierz mnie stąd.
- Tu też nie ma zasięgu!

*

Potężny Li Pangyu leżał na swoim łóżku oparty o jedną z kilkunastu czerwonych jedwabnych poduch. Dwie kolejne miał pod łokciami i łydkami. Patrzył na wyświetlacz umieszczonego na wysięgniku telefonu i słuchał ze znużoną miną, obracając w palcach niewielki kamień. Ani rozmówcy, ani słuchaczowi nie przeszkadzały mocno stłumione, choć przeraźliwe odgłosy piszczącego kota. Reszta poprzebieranych kotów spała, nerwowo przechadzała się w poprzek wielkiego łóżka lub ocierała o leżące cielsko, próbując wymusić pieszczoty.

- Jaki wiatr? - pytał Chińczyk znużonym tonem. - Nie lubię nie wiedzieć, co się dzieje. Bardzo nie lubię... - oświadczył i ostentacyjnie odwrócił głowę, bawiąc się trzymanym w ręku szafirem o rzadkiej barwie.

Paparadza oznacza kolor kwiatu lotosu. Swego czasu widział w tym rzadkim kamieniu znacznie więcej niż kwiat, którego barwa przechodzi od bladego różu po intensywny pomarańcz. Widział kolor wschodów i zachodów słońca. Różowożółty świt budzącego się dnia i płonący pomarańczami spektakl przed nocą. Wartość tego kamienia przewyższała cenę rubinów, szmaragdów czy diamentów. Ale nie na to chciał patrzeć.

- Przekaż ode mnie wiadomość - odezwał się po chwili. - Jeśli się nie pokaże z tym czymś, na czym mi naprawdę zależy... Słyszałem, że oczy najlepiej smakują z sosem tysiąca wysp. Ale nie jestem pewien... Opowie mi. Najwyżej drugie spróbuje z czymś innym. Też to zapamiętaj. Dobrze ci radzę - dodał i zakończył rozmowę, pukając opuszką palca w ekran telefonu.

Cisza, która zapadła, wydobyla stłumione piski, które się teraz nasiliły.

Li Pangyu odwrócił się w kierunku zagłówek łóżka i dźgnął palcem w oko wyrzeźbionego nietoperza. Przeturlał się na bok, a wtedy ze środka legowiska wysunęła się kwadratowa część, która pozostawiona w tej pozycji mogłaby służyć jako stolik. Ale Chińczyk nacisnął jeszcze głowę wyrzeźbionego królika i kwadratowa część uniosła się wyżej, zostawiając pośrodku lukę. Ze środka wybiegła biała kotka w sukience w żółte prążki i falbanki. Musiała przyciąć łapę, bo utykała przy każdym kroku, miażdżąc żałośnie. Po chwili z dziury wysunęła się skrzynka z małymi szufladkami. Otworzył jedną z nich i włożył Paparadzę. Potem otworzył kolejną i popatrzył na inne szafiry o barwie nieba przed burzą. Zamknął. Otworzył kolejną z jadeitami w kolorach wiosennych liści. Potem z rubinami o barwie świeżej i zastygłej krwi. Potem zamknął wszystkie otwarte przegródki i otworzył jedną małą szufladkę. Była pusta, a mimo to wpatrywał się w nią najdłużej.

Z przeciągającego się zamyślenia wyrwało go głośne miauknięcie żalącej się kotki, która siedząc w kącie, próbowała wylizać przytrzaśniętą łapę.

- O widzisz! - Li Pangyu popatrzył na kicię. - Nie powinnaś tam wchodzić. Ostrzegałem! I patrz, co się stało... Zniszczyłaś sukienkę - dodał, widząc kokardkę, która oderwała się od kołnierzyka i rozerwała nastrozony tiul.

Rozdział 13

Galeria śmierci

Pierwsze, co zobaczyli Scott Whitus i Simon Holemans, wbiegając do wielkiej sali, to pięć osób kręcących się w kółko. Wszyscy z zadartymi głowami wirowali w różnym tempie. Wyglądali jak zaczarowani lub jakby grali w jakiejś nowoczesnej sztuce. Patrzyli na nich jak na wariatów, ale po chwili kręcili się tak samo.

Sala była przeszklona i wyjątkowo wysoka, prawdopodobnie miała służyć za miejsce spotkań, popołudniowego drinka, szybkie przekąski w klimatyzowanym pomieszczeniu. Całą jedną ścianę wypełniało gigantyczne malowidło przedstawiające syrenę i innych bohaterów tajskiego folkloru. Ale ani spektakularne przedstawienie pełne bajkowych postaci, ani widok za oknem na wzburzone morze nie przyciągały niczyich spojrzeń. Cała siódemka patrzyła w górę.

Z sufitu ozdobionego gąszczem pozwiązanych ze sobą bambusów zwisały wielkie lampy uplecione z trawy ryżowej. Kształtem i wzorami nie różniły się od tych wiszących w pustej recepcji. Ale do tych ktoś podoczepiał zdjęcia w różnych formatach – od wielkości zeszytu szkolnego do plakatu teatralnego. Było ich kilkadziesiąt. Na każdym powtarzała się twarz lub cała postać starszego siwego mężczyzny. Na każdym był w innej sytuacji: z aparatem fotograficznym w drewnianym czólnie, w otoczeniu nepalskich dzieci przy studni, o poranku w tropikalnym lesie, idący przez wiszący most w górach, mieszący świerzcze w wielkiej patelni, w kasku na ringu bokserkim, przed posągami Buddy w geście przywołania ziemi na świadka, w stroju nurka z butlą i na kolorowej desce surfingowej. Pełen życia starszy pan, o pogodnej twarzy, przeważnie roześmiany, cieszący się podróżowaniem i poznawaniem nowych ludzi. Całą siódemkę poznał na pewno. Każdy z nich miał również swoje zdjęcie w jego towarzystwie i rozpoznawał siebie lub resztę.

– Złe ujęcie – pierwsza odezwała się Luzi Lu i pokazała palcem na siebie w czapeczce. Siedziała przy małym stoliku z siwym mężczyzną, na tle zatłoczonej ulicy. – Zawsze uważałam, że to mój gorszy profil. Nie życzę sobie, żeby ktoś to powieła! – dodała ze złością. – Mój wizerunek to własność mojej firmy i nie użyczam go nikomu bezpłatnie! Czy ktoś mógłby to zdjąć? – zapytała Węgierka, wyszukując wzrokiem Polaka, ale ten wpatrzony był w swoją podobiznę.

– Świeć, Panie, nad jego duszą. A światłość wiekuista... niechaj mu świeci na wieki – wyszeptał po polsku, żegnając się, a wszyscy spojrzeli na niego, bo brzmiało to jak dziwny zaklinający rzeczywistość szelst.

– Nie mogę na to patrzeć. Jest tu jakaś drabina? – dopytywała się Luzi Lu.

– O tam – pokazała Australijka.

– Niech tam spoczywa w pokoju – dodał Polak i gdy się otrząsał, poszedł po opartą o ścianę drabinę, którą ktoś musiał odstawić zaraz po zawieszeniu zdjęć.

– Czy wiecie, ile tuk-tuków jeździ po Bangkoku? Też nie wiem. Ale to bardzo niekorzystne dla środowiska – oznajmiła Mia Jacobee drżącym głosem. I dlaczego ja tu wiszę? – dopytywała się coraz bardziej płacliwym tonem.

– Był w świetnej formie – skwitowała Anabell Seseke, patrząc na siebie i siwego mężczyznę. – Mówiłam mu o nowej szkole, którą chcę otworzyć. Też chciał zacząć trenować... Trudno uwierzyć, że nie żyje.

– Przechodziliśmy akurat tamtędy ulicą – odezwał się Lorenzo Capella, chrząkając. Nie tak trudno było dojrzeć neon baru go-go za ich plecami.

Scott Whitus patrzył na swoje zdjęcie z nocnego parkingu autobusowego, na którym wydaje się posiłki opłacone w bilecie.

– Czy to przypadek, że spotkałam cię na dworcu autobusowym w towarzystwie tego pana? W dalszym ciągu chcesz zaprzeczać, że go nie znałeś? – syknęła Anabell Seseke.

– Nie powiedziałem, że go nie znałem – wydukał Anglik. – Powiedziałem, że nie znam ciebie – warknął w kierunku Niemki.

– Jeszcze śmiesz zaprzeczać?!

Simon Holemans nie mógł przestać patrzeć na swoją podobiznę. Nie dlatego, że dość śmiesznie wyglądali w takich samych płóciennych spodniach i koszulach, jakie dano im w salonie masażu tajskiego, ale patrząc, chciał sobie przypomnieć każdy fragment odbytej z nim rozmowy. Pamięta, że Martin wtedy mu zdradził, że przywiózł coś wartościowego z Birmy, pytał o szlifierza. Z kim mógł jeszcze o tym rozmawiać? Czyją wyobraźnię rozbudził? Czyją chciwość uruchomił? Ten ktoś jest wśród nich, tego był pewien. Tak samo jak osoby, która ich tu sprowadziła... Ale jaki ma plan?

Polak ustawił drabinę pod zdjęciem Luzi Lu i zaczął na nią wchodzić, wyciągając rękę, by zerwać wiszące zdjęcie.

– I co?! – wrzasnął Scott Whitus. Wszyscy obrócili się w jego stronę. – I co, myślicie, że wystarczy to zerwać i będzie po sprawie? To galeria śmierci! – krzyknął na całe gardło. – Jeden już nie żyje i zaraz wszyscy do niego dołączą. Jeden po drugim! I nikogo już nie będzie! I co tam sobie myślicie? Że po co tu jesteśmy? Żeby dbać o środowisko? – wskazał ręką na Mię Jacobee. Dziewczyna cofnęła się, przestraszona. –

Dalej jesteś taka odważna?! – odwrócił się i krzyknął do Anabell Seseke, która nerwowo przestępowała z nogi na nogę. – Teraz nic nie powiesz?! Nic?! – Niemka nie skomentowała. – A ty co?! – wykrzyknął w kierunku Luzi Lu. – Już się zajęłaś promocją?! Co, nie podoba ci się profil?! Ciekawe, jaki zrobią ci na nekrologu? A ciebie nic nie rusza?! – skierował wzrok na Simona Holemansa. – Dalej jesteś spokojny? Poczekaj, aż wypłyniesz brzuchem do góry. A ty módl się dalej, przyda ci się! – wrzasnął w twarz Polakowi i jęknął bezradnie, rozglądając się dookoła siebie.

Poszukał też wzrokiem Włocha, ale ten na niego nie patrzył. Lorenzo Capella kucnął na ziemi, zrobił tylko gest w kierunku wszystkich, każąc im czekać, i bez słowa rozsunął suwak swojej torby. Wyjął z niej drewnianą skrzynkę. Zrobił to z takim namaszczeniem, że przykuł uwagę nawet Tadeusza Napierały, który z drabiny patrzył, jak Włoch otwiera wieko. Po chwili wszyscy zobaczyli zestaw lśniących noży w wyścielanych czerwonym aksamitem przegródkach. Patrzyli oniemiałi.

– Na wszelki wypadek – powiedział, wyjmując nóż wyglądający jak tasak. Uniósł głowę i zobaczył, jak odsuwają się od niego na znaczną odległość. – Dla bezpieczeństwa – dodał i zatrzasnął wieko.

– Czekaj – poprosił Polak i głośno odetchnął. – Daj jeden, bo ten sznurek mocno trzyma – powiedział, stojąc na drabinie i szarpiąc wiszącym zdjęciem Węgierki.

Luzi Lu podeszła do Lorenzza Capelli i wyciągnęła rękę, a gdy ten niechętnie otworzył skrzynkę, bez pytania wyjęła dwa noże. Jeden długi, wyglądający jak sztylet szpikulec, wzięła sobie, a mały nożyk z krótkim ostrzem podała Polakowi. Szybko dołączyła do niej pociągająca nosem Mia Jacobee i zanim Włoch zdążył zaprotestować, wyjęła pierwszy z brzegu gruby nóż.

– Pożyczę na trochę... – szepnęła Mia przepraszającym głosem. – O, ten jest ładny.

Anabell podeszła zaraz za nią, musiała zdecydowanym gestem powstrzymać rękę Lorenzza, który zamierzał zatrzasnąć skrzynkę, i szybkim ruchem wyciągnęła wygięte ostrze z dwiema rączkami.

– Ciekawe, co trzeba będzie siekać? – zapytała samą siebie, sprawdzając opuszką palca ostrość krawędzi. Pokiwała głową z uznaniem, doceniając stal. Wnętrze skrzynki Lorenzza było już prawie puste, gdy Scott nachylił się nad zrezygnowanym Włochem. We wgłębieniu widoczna była ostatnia rączka. Chwycił za nią i wyciągnął... nóż do pizzy. Przez dłuższą chwilę trzymał przed sobą obracające się kółko-ostrze z falistą krawędzią i kręcił głową z niedowierzaniem.

Lorenzo wstał, podszedł do niego i chciał odebrać mu nóż, ale Scott się cofnął.

– Nie wierzę! – warknął. – Nie wierzę! Tym mamy się bronić przed jakimś psychopata?! Nie wierzę! Nie wierzę – powtarzał, potrząsając nożem. – Sam się potnę na porcje i podam na tacy! Tak! Właśnie tak! – wykrzykiwał. – Raz, dwa, trzy, cztery – liczył, ciachając powietrze, jakby rozcinał gigantyczną, wiszącą przed nim pizzę – pięć, sześć, siedem... Kto pierwszy do zapakowania w karton?! – krzyczał, szamocząc się. – No kto?! Ustawiać się w rzędzie! Po kolei! Kto pierwszy?!

Patrzyli w osłupieniu. Wcześniej Anglik panikował, a teraz popadał w histerię. Kręcił się i szamotał do czasu, gdy nie potknął się o stół i o mały włos nie upadł.

– Nie wierzę – jęknął i zrezygnowany opadł całym ciężarem na drewniane krzesło, które rozpadło się z hukiem, wylądował na ziemi, przewracając się na plecy, nóż do pizzy poleciał w kąt. Przez chwilę tak leżał, po czym wyciągnął spod pleców nogę od krzesła i zaniósł się śmiechem, śmiał się coraz głośniejszym i coraz bardziej upiornym. W końcu zaczął uderzać rękami i nogami o ziemię, kręcąc się jak chrząszcz i próbując się podnieść z leżenia do góry brzuchem. Jak rozhisteryzowane dziecko.

– Wszyscy tu zginiemy! Wszyscy! – wykrzykiwał. – Dziesięciu małych żołnierzyków! I nie było już nikogo! I nie było już nikogo! – powtarzał w kółko.

Mia Jacobee zdjęła okulary i kawałkiem koszuli zaczęła je nerwowo przecierać. Dopiero po chwili zorientowała się, że powinna przetrzeć oczy, które zalały się łzami. Zdenerwowany Polak chwycił za zdjęcie i szarpnął nim mocno, chcąc jak najszybciej zejść z drabiny. Fotografia Luzi Lu poleciała wprost do rąk Węgierki, a ta zaczęła ją ciąć nożem z niezwykłą zjadłością.

– Uspokójmy się – zarządził Simon Holemans, patrząc na rozgrywający się spektakl. – Natychmiast! – krzyknął, widząc, że na ten moment spokojnym tonem nie za wiele zdziała. – Przestańcie! Natychmiast przestańcie! Dosyć! – powtórzył z mocą, w której przebrzmiewał głos zdecydowanego policjanta, a nie zblazowanego ekspaty. Zadziało.

Scott Whitus ucichł, ale raczej zmęczony napadem histerycznego śmiechu. Podniósł się i usiadł na ziemi w kucki, zasłaniając twarz rękoma.

– Takie zachowanie do niczego nas nie zaprowadzi – ciągnął dalej Belg już spokojniejszym tonem.

– A co nas zaprowadzi do czegoś? – zapytał Anglik, nie podnosząc głowy.

– To właśnie należy ustalić. Jedno jest pewne, nie jesteśmy tu bez przyczyny. I choć, jak podejrzewam, nie znaleźliśmy się do tej pory, łączy nas postać tego starszego mężczyzny, Polaka, jak sobie przypominam, o imieniu Martin – wyjaśnił Simon Holemans.

– Martin, po polsku to Marcin – sprostował Tadeusz Napierała, odstawiając drabinę. – On się nazywał Marcin Strąg. Nie żebym go znał, tylko zapamiętałem, jak mi się przedstawił, a to nazwisko łatwo zapamiętać, bo ja lubię fasolę. Choć „Strąg” to nie fasola, tylko takie, jak to nazwać, naczynie, w którym fasola rośnie – próbował wyjaśnić, nie mogąc znaleźć właściwego słowa.

– Usiądźmy – zaproponował Belg. – Wymieńmy się informacjami i zbierzmy fakty. Usiądź, ale jak chcesz, to możesz kucać – zwrócił się do Anglika.

Scott Whitus podniósł głowę i zobaczył wyciągniętą w swoją stronę ciemnoskórą dłoń. Zdziwiony podniósł oczy. Nad nim stała Anabell Seseke i podawała mu rękę, aby mógł wstać.

– Serio? – zapytał, a ona przyjaźnie kiwnęła głową. – Czy ty się naprawdę nie boisz, że ktoś cię zabije? – zapytał zrezygnowanym głosem, podając jej dłoń. Anabell szarpnęła tak mocno, że Anglik błyskawicznie znalazł się nie tylko na nogach, ale dokładnie na wprost jej twarzy. Nos w nos.

– Ja się nie boję, że mnie ktoś zabije – szepnęła mu do ucha. – Ja się boję, że to ja zaraz kogoś zabiję. Szybciej, niż myślisz. Więc radzę ci, uspokój się!

Scott Whitus bezsilnie opadł na kanapę. Po chwili siedziała już cała reszta.

Simon Holemans chciał jak najbardziej metodycznie ustalić, co ten niewątpliwie groteskowy i niewróżący niczego dobrego performans może oznaczać. Wiedział, że Polak ma coś ważnego do powiedzenia. Tak samo jak prawdopodobnie wszyscy. Szkoda było czasu na kłótnie i ataki paniki. Ktoś myślał bardzo długo

i bardzo intensywnie. Miał plan, a oni znaleźli się właśnie w samym środku tej rozgrywki. I nie mógł wykluczyć tego, że byli celem.

– Przedstawmy się sobie jeszcze raz – zaproponował. – Kim jesteśmy? Co robimy? Z jakiego powodu tu jesteśmy? I powiedzmy sobie nawzajem, co o tym Martinie wiemy. Może to pomoże nam ustalić przyczynę naszego pobytu na tej pięknej wyspie i pozwoli ustalić jakiś sensowny plan działania.

– Ale nasze imiona już tu są – oświadczyła Mia Jacobee, pokazując palcem na ławę.

Na tacy leżało siedem kluczy. Do każdego przypięta była karteczka z imieniem, nazwiskiem i numerem pokoju.

– Myślicie, że ktoś tu jeszcze jest? – spytała szeptem Anabell Seseke, rozglądając się wokół siebie.

– Może nas obserwuje? – dodała wystraszona Mia Jacobee.

– Nie zgadzam się na nagrywanie mnie bez mojej wiedzy – oświadczyła Luzi Lu, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu ukrytych kamer.

– Ktoś tu przecież musi obsługiwać – rzeczowo stwierdził Lorenzo Capella. – Sprzątać, podawać posiłki...

– A widzisz tu kogoś takiego? Widzisz kogoś, kto by podawał posiłki? – jęknął Anglik. – Na razie karmią tu sztuką.

– Ale ktoś tu musi być! – stwierdził Tadiusz Napierała. – Zorganizował to, powiesił te zdjęcia, rozdzielił pokoje. Może poszukajmy.

– Nie powinniśmy się rozdzielać – przerwała mu Anabell Seseke. – Zróbmy sobie tu jakieś legowisko i czuwajmy na zmianę. Do czasu, gdy ktoś po nas nie przyplynie.

– No, nie przesadzajmy. Ja... – chrząknął Tadiusz Napierała, unikając spojrzenia Belga – to mam w planie dobrze się wypać – oświadczył, drapiąc się małym nożykiem za uchem.

– Zgadzam się z tobą – przytaknął Anglik. – Trzeba ustawić wartę. Uzbroić się – dodał, patrząc, że każdy oprócz niego ma w rękę jakiś nóż. Jego okrągłe ostrze leżało na podłodze. Chwilę się zastanawiał, a potem szybko wstał i zgarnął z podłogi nóż do pizzy.

– To dobry pomysł... – przytaknął Simon Holemans. – Może niezbyt dla wszystkich komfortowy, ale... – nie dokończył, bo gdzieś na zewnątrz rozległ się krzyk. Wszyscy poderwali się na równe nogi.

– Ktoś woła?

– Co?! Gdzie?!

– Nie wszyscy naraz!

– Zamknijcie się!

– Ciszej! To na zewnątrz.

– Ale gdzie? – mówili jednocześnie.

– Cisza! – rozkazał Simon Holemans.

Po chwili wyraźnie dało się usłyszeć powtarzające się słowo – „POMOCY!”. Wszyscy zastygli, oprócz Tadeusza Napierały, który najpierw podbiegł do szyby, a potem rzucił się w kierunku wyjścia.

Dźwięk był zniekształcony. Dobiał z zewnątrz, nie wiadomo z której strony, ale na pewno był to krzyk kobiety.

*

Na tarasie widokowym, jaki utworzył dach nad recepcją, powywracały się żeliwne krzeselka, stłukło się kilka żarówek w świecącej girlandzie. Przewód szurał po posadzce. W oddali pieniało się wzburzone morze. Wiatr targał gałęziami rozłożystych palm. Anna Strąg krzyczała i myślała, że nikt jej nie usłyszy.

Jak do tej pory była z siebie zadowolona. Wszystko szło zgodnie z planem. Zdążyła dotrzeć przed sprowadzoną na wyspę siódmką. Przejrzeć pokoje. Rozwiesić wielkie zdjęcia z pomocą dwóch członków załogi, za co ich sownie wynagrodziła. Na przybyłych chciała wywołać wrażenie i to jej się udało. Dała im

czas, by dokładnie się sobie przyjrzeni. Słyszała krzyki dochodzące z dołu i domyśliła się, że wszyscy wszystko już zobaczyli.

Czekała jeszcze chwilę, ciągle stojąc na tarasie. Zbierała siły, przywołując wspomnienia. Pomyślała o Martinie. Spojrzała w górę, chcąc wziąć głęboki, mobilizujący wdech, i... zamarła z otwartymi ustami.

Zobaczyła węża. Nadlatywał. Długi na ponad metr gad szybował, wijąc się w powietrzu. Wyglądał, jakby płynął. Głowę unosił prosto i wyginał ciałem niczym wstęgą trzymaną na niewidzialnym patyku. Widok był hipnotyzujący i niewiarygodny. To nie mogło być prawdziwe, ale było. Wąż przelatywał tuż przed nią i zaczynał obniżać lot. Opadając, sunął dokładnie w jej kierunku. Zaczęła cofać się coraz szybciej, wyginając tułów i odchylając szyję. Nagle zahaczyła o stojące za nią żeliwne, tarasowe krzeselko. Próbowwała złapać równowagę, ale się nie udało. Zrobiła o kilka kroków za dużo. Podcięte nogi poleciały do przodu, a ona do tyłu. Opadając uderzyła głową o kant metalowego siedziska. Siła uderzenia była tak duża, że nieprzytomnie runęła na posadzkę.

Ocknęła się po dłuższej chwili, choć nie miała pojęcia, ile czasu leżała. Minutę, pół godziny, może dłużej? Szumiało jej w uszach. Miała suchość w ustach i zawroty w głowie. Zaczęła się podnosić i poczuła nieprawdopodobny ból tuż nad karkiem. Chciało jej się wymiotować. Wsparła się na łokciu i podciągała dwoma rękami do pozycji siedzącej, gdy zobaczyła węża za krzesłem, metr od siebie.

A ja sądziłam, że potrafię zapanować nad tym wszystkim, pomyślała i zaczęła krzyczeć o pomoc.

Rozdział 14

Rajski wąż

Pierwszy na taras wpadł zziębnięty Tadeusz Napierała, bijąc rekord w bieganiu po schodach. Zobaczył siedzącą na ziemi kobietę o siwych włosach. Odetchnął z ulgą. Pochylił się, opierając o własne kolana, i ciężko oddychał, łapiąc powietrze.

– Tu! – krzyknął do pozostałych, gdy już mógł mówić. – Nic się pani nie stało? – zapytał po polsku, podchodząc do niej z wyciągniętą ręką.

Anna Strąg spojrzała ledwie przytomnym, zdziwionym wzrokiem. Polak próbował do niej podejść, ale zatrzymała go wyraźnym gestem. Przyłożyła tylko palec do ust, potem skierowała go na przewrócone, żeliwne, białe krzesło. Zza ażurowego oparcia widać było długi na czterdzieści centymetrów cienki ogon. Łuski układały się w czarno-biało-zielonkawę cętki tworzące wyraźny wzór. Ogon poruszał się nerwowo i rytmicznie, wijąc się po ziemi. Polak odskoczył jak oparzony, wycofując się pod drzwi.

– Wąż? – zapytał jeszcze.

Kobieta przytaknęła i rozłożyła ręce, pokazując mu prawdopodobną długość gada. Od dłuższego czasu siedziała w półpodpartej pozycji, tkwiąc między przewróconymi krzesłami, i bała się poruszyć. Krzesło, które się przewróciło, przygniotło nogawkę jej spodni. Mogłaby ją wyszarpać, ale nie była pewna, czy wąż nie wpełzł do nogawki i nie przeciągnie go na swoją stronę.

Po chwili na taras wbiegł Włoch z nożem w rękę. Za nim Belg, potem Anglik. Wszyscy utknęli tuż przy drzwiach, zatrzymani zdecydowanym gestem przez Polaka, który rozłożył ręce na boki, tamując ruch.

– Wąż – pokazał im ręką.

Scott Whitus się cofnął. Lorenzo Capella zastygł w bezruchu.

– Jaki wąż? – zapytał Belg.

– Długi – odpowiedział mu Polak. – Ma z półtora metra.

Simon Holemans ruszył, zdecydowanie wymijając próbującego go zatrzymać Tadzia Napierałę. Włoch i Anglik odsunęli się od drzwi, robiąc miejsce wchodzącym na taras dziewczynom. Wszystkie trzymały wyciągnięte przed siebie noże, każda na swój sposób. Węgierka sztywno niczym sztylet, Australijka, jakby miała za chwilę odkroić pomidora, a Anabell Seseke nad głową, gotowa do zamachu. Wszystkie opuściły jednocześnie ręce, widząc starszą, siwą panią.

– Ten wąż przyleciał – powiedziała Anna Strąg, pokazując palcem na niebo.

Tadeusz Napierała odwrócił się do współtowarzyszy i oznajmił przekonująco:

– Uderzyła się w głowę. Chyba jest w szoku. Nic dziwnego. Wąż – wyjaśnił, pokazując na poruszający się ogon. – Ostrożnie, nie radzę podchodzić.

– Ale on naprawdę przyleciał – jęknęła Anna Strąg.

– Bo to taki wąż – stwierdził spokojnym głosem Belg, zataczając kółko i podchodząc do gada na bliską odległość. – *Chrysopelea paradisi*, rajski wąż latający – wyjaśnił. – Znany pożeracz gekonów. I właśnie jednego je – dodał, podchodząc do Anny Strąg z wyciągniętą ręką.

– Nie jest groźny? – spytała Luzi Lu.

– Jest lekko jadowity, ale teraz i tak ma zajętą paszczę – odpowiedział Simon Holemans, pomagając wstać tkwiącej między krzesłami kobiecie.

– Ale jak on lata? – spytała zdziwiona Anabell Seseke.

– Potrafi spłaszczyć ciało w locie. Sunąc w powietrzu, może pokonać nawet dwadzieścia metrów.

– Nieźle – przytaknęła Niemka, spoglądając w niebo. Reszta podążyła za jej wzrokiem, patrząc z przerażeniem, jakby zaraz miał nadlecieć pęk węży.

Luzi Lu wzięła do ręki przewieszony przez ramię telefon, uruchomiła aparat. Zrobiła ukradkiem jedno zdjęcie Annie Strąg, po czym ruszyła w kierunku gada. Za nią poszła reszta. Tylko Scott Whitus stał w miejscu, nie spuszczać wzroku z kobiety, którą Simon Holemans przytrzymywał za ramię.

– Simon Holemans – przedstawił się.

– Anna Strąg – odpowiedziała mu, obmacując swoją głowę. Poczula coś i spojrzała na rękę. Na palcach było kilka plam gęstej krwi.

Simon Holemans obejrzał jej kark.

– Lekko rozciąłaś skórę. To nic poważnego – stwierdził, delikatnie ją dotykając. – Ale musiałaś mocno uderzyć. To będzie duży guz. Dobrze się czujesz?

– Nie wiem – odpowiedziała, spoglądając na Belga.

– Bo prawdopodobnie jesteś w szoku. Może miałaś wstrząśnienie mózgu. Powinnaś poleżeć jakiś czas... I musimy znaleźć coś zimnego.

– Kim ty jesteś!? – przerwał Scott Whitus, odpychając Simona Holemansa. – To wszystko twoja sprawa?!

– Uspokójmy się – zaproponował Simon Holemans, podchodząc do Anglika i próbując ugodowo położyć rękę na jego ramieniu.

– Nie uspokajaj mnie ciągle! – Scott Whitus strząsnął jego rękę ze swojego ramienia. – Nie chcę być spokojny! Spokojny stracę czujność. Kim ty jesteś?! – zwrócił się do kobiety. Nie zdążyła odpowiedzieć, bo dobiegły do nich rozentuzjasmowane krzyki.

– On je tego gekona! Już tylko nogi mu wystają! – zawołał Tadiusz Napierała, machając ręką i chcąc przywołać innych, by też zobaczyli. – Miesiąc będzie go trawił – pokiwał głową ze znawstwem.

– Przesuń się, to zrobię mu zdjęcie – zażądała Węgierka, kierując aparat na siebie i leżącego metr dalej węża. Jego głowa miała wzór z poziomych żółtych pasków i była teraz pięć razy szersza od tułowia. Z paszczy wystawały nogi i okazałych rozmiarów ogon. Chwycony płaz nie miał szans się wydostać, bo głowa i przednie nogi były już w przełyku. Wąż również nie mógł go wypluć, ale dzięki temu wydawał się bezpieczniejszy.

Lorenzo Capella chwilę patrzył, po czym otrząsnął się z obrzydzeniem. Podszedł do pozostałej trójki.

– A mówiłem, że jest tu ktoś z obsługi. Dzień dobry! – uśmiechnął się do Anny Strąg. – O której będzie kolacja? Czy tu trzeba coś samemu sobie kupić?

– Też jestem głodna – zawtórowała Mia Jacobee, która również przestała patrzeć na rozgrywający się dramat. Zastanawiała się, czy nie powinna ratować gekona, no ale jak, musiałyby najpierw zabić węża. – Jestem weganą – dodała szybko.

– Sera też nie? – spytał Lorenzo Capella, krzywiąc się.

– Też – oświadczyła z dumą.

– O czym wy mówicie?! Jaka kolacja?! Kim ty jesteś?! – wrzasnęła jeszcze głośniejsze Scott Whitus, patrząc Annie Strąg prosto w oczy.

– Nie krzycz na kobietę – wtrącił się nadchodzący Tadeusz Napierała. – Widzisz, że jest w szoku.

– Kolację, niestety, będziemy musieli zrobić sobie sami – powiedziała Anna Strąg, ponownie obmacując głowę. – Ale prawdopodobnie znajdą się wśród was dobrzy kucharze – spojrzała na Anglika, który przez cały czas wygrażał jej nożem do pizzy, teraz opuścił ostrze. – Cóż... prowiant dostarczono waszą łódką... Nie jestem pewna, czy będzie tam pizza, ale kto wie.

– Naszą łódką? – zapytało kilka osób jednocześnie.

– Wszystko? – dopytał Lorenzo Capella.

– Tak. Myślę, że nic innego tu...

- To trzeba się spieszyć, by je zabrać - przerwał jej Simon Holemans, patrząc na molo, wokół którego burzyła się woda, wzbierając coraz większymi falami.

- A nikt nie przyniósł? - zapytała Anna Strąg. - Obsługa miała...

- Spieszyli się, żeby przed tym smoczym wiatrem wrócić do domu - wyjaśnił Polak.

- Smoczym wiatrem? - zdziwiła się.

- Nie czas tłumaczyć - machnął ręką Belg.

- O nie! - wtrącił się Anglik. - Właśnie, że ja czekam na wyjaśnienia. Kim ty jesteś?! I czy ktoś tu jeszcze oprócz nas jest?! Mów! - nie dawał za wygraną, próbując stać jak najbliżej kobiety.

- Według mojej wiedzy nikogo oprócz nas tu nie ma... A ja nazywam się Anna Strąg i odpowiem na wszystkie pytania w swoim czasie.

- Właśnie teraz jest ten czas!

- Teraz jest czas, żeby ratować jedzenie - warknęła Anabell Seseke.

- Mogę nie jeść tydzień! - wrzasnęła jej prosto w twarz. - Mów, kim jesteś, kobieto!

- Najpierw znajdę apteczkę, a potem odpowiem na pytania. Taka będzie kolejność! - podkreśliła, patrząc Anglikowi prosto w oczy.

- Wszyscy na pomost! - krzyknął Belg, spoglądając z niepokojem w morze. - Jest przypyły i za chwilę... nie będzie co przynosić.

- Nigdzie nie idę! - wrzasnął Anglik. - Ktoś musi jej pilnować.

- Rzeczywiście, nie powinna być sama - zauważył przytomnie Belg. - Trzeba cię obserwować - zdecydował, patrząc na Annę Strąg. - Po wstrząśnięciu mózgu...

- I dobrze, że się ze mną zgadzasz - pospiesznie przytaknęła Anglik, złośliwie mrużąc niebieskie oczy. - Poczekamy sobie na dole i porozmawiamy - dodał.

Kobieta spokojnie skinęła głową i ruszyła w kierunku zejścia z tarasu.

*

Jeden z szefów działu wielkiej międzynarodowej agencji detektywistycznej zerknął na mejla z Polski i powiedział:

- No to możemy podrzec umowę z niejaką Anną Strąg - zamyślił się, patrząc z wysokiego piętra na chińską dzielnicę w Bangkoku.

Rozdział 15

Okulary

Simon Holemans szedł szybko, mimo że jego sylwetka nie wyglądała na sportową. Tadiusz Napierała ledwo dotrzymywał mu kroku. Za nimi podążała trzęsąca się z zimna Luzi Lu – obejmowała się ramionami, a próbując dorównać im tępa, stawiała dwa razy więcej kroków. Szybki, sprężysty chód tej drobnej dziewczyny podziwiał Lorenzo Capella, szedł za nią i nie zamierzał przyspieszać. Za Włochem dreptała Mia Jacobee, starała się go dogonić, ale co chwila musiała przystawać i poprawiać splątane wiatrem włosy, które zasłaniały jej pół twarzy. Peleton zamykała Anabell Seseke. Wciąż oglądała się za siebie, jakby jej zadaniem było kontrolowanie drogi odwrotu. Nagle zobaczyła, że Belg z Polakiem zaczynają biec. Zdziwiła się. Stanęła na skraju i wychyliła się, chcąc zobaczyć, skąd to nagłe przyspieszenie. Już po chwili wiedziała, co się stało.

Początek pomostu zaczynał znikać pod wodą. Fale wdzierały się na trap i pojedyncze spienione jęzory zlizywały z desek wszystko, co na nich stało.

Simon Holemans rzucił się w kierunku znikającego pod wodą kartonu, ale nie zdążył go chwycić. Nie udało się to również Tadiuszowi, który nie mniej ofiarnie porwał się na zjeżdżającą do morza skrzynkę. Oblewany falą od stóp do głów nie zapanował nad wyslizgującym mu się z rąk plastikiem. Skrzynka poszła pod wodę jeszcze szybciej niż karton. Po chwili wszyscy bezradnie patrzyli na unoszące się w oddali paczki z ekspresowymi zupami, które szczelnie zamknięte powypływały na powierzchnię i ruszyły w rejs po wzburzonym morzu. Reszta prowiantu poszła na dno.

– No to po kolacji – skwitowała Luzi Lu.

– Może morze wyrzuci to na brzeg – dywagował Tadiusz Napierała, przecierając mokre lysiejące czoło.

– Może... – pokiwał głową Belg. – Nie mamy co tu robić.

– *O mamma mia*, jestem taki głodny – jęknął Lorenzo Capella.

– Mam coś jeszcze – zaoferowała Mia Jacobee, wyciągając z kieszeni pumpiastych spodni nadgryziony baton, który nieco pokruszył się w kieszeni i przypominał spłaszczoną papkę. Chciała dać go Włochowi, zrobiła krok, ale kolejna z rzędu fala załazała pomost. Podmyte, wyslizgane klapki Australijki nie utrzymały jej w pionie. By się nie przewrócić, poleciała na Lorenzo Capellę, rozmazując trzymany baton na piersi Włocha, a dokładnie na jego koszuli.

– Znowu! – wrzasnął. – Przystań na mnie jeść! Przystań w ogóle jeść! – odepchnął Australijkę, której mokry kłapek, podmyty kolejnym bryzgiem, zsunął się z nogi.

Mia Jacobee runęła na pomost całym swym ciężarem. Ślizgając się po mokrej powierzchni, zjechała twarzą wprost w granatową, szalejącą kipieli. Simon Holemans w ostatniej chwili chwycił ją za nogi. Głowę miała już pod wodą, a ręce bezradnie młóciły morską pianę. Anabell Seseke skoczyła jak pantera i chwyciła ją za ramię. Wspólnymi siłami wyciągnęły ją z wody.

– Moje okulary – jęknęła, obmacując twarz. – Moje okulary – dodała płaczącym tonem, patrząc w morze. Po okularach nie było śladu.

Anabell Seseke pomogła jej wstać i przytrzymać spodnie, które pozbawione gumki opadały pod swoim ciężarem. Koszulka oblepiała piersi.

– Kolejny przyjemniaczek – syknęła Niemka w kierunku Włocha i zmarszczyła oczy jak dziki kot.

– Słabe – dodała Luzi Lu.

– Nieladnie – pokręcił głową Tadiusz Napierała.

– Przecież nie zrobiłem tego specjalnie – próbował się tłumaczyć Lorenzo Capella, ale patrząc na żalony widok ociekającej wodą i dezorientowanej dziewczyny i spojrzenia całej reszty wiedział, że jego tłu-

maczenie nie miało sensu.

– Nie mamy już po co tu stać – odezwał się Polak, przyglądając swoje zakola. – Za chwilę wszyscy będziemy mokrzy – dodał, patrząc na oberwaną chmurę. Przy porywistym wietrze deszcz zaczął padać prawie poziomo. – Pewnie Nejm dziś nie przyplynie – szepnęła do Belga. – I może to lepiej. Robi się niewesoło – dodał, mrugając porozumiewawczo.

Simon Holemans bez słowa przytaknął.

Mia Jacobee ruszyła z powrotem pierwsza, trzymając w garści opadające spodnie. Przez chwilę szła prosto, a potem dała po skosie i zmierzała wprost do morza. Zabrakło trzech kroków, by znowu wpadła do wody. W ostatniej chwili chwyciła ją Anabell Seseke.

– Uwważaj! Gdzie idziesz?

– Ja bez okularów nic nie widzę – jęknęła Australijka, pociągając nosem.

– To się mnie trzymaj – zaproponowała Niemka, obrzucając Włocha nienawistnym spojrzeniem.

Przytrzymywana Mia Jacobee szła bezradnie w jednym klapku, ociekając wodą, trzęsąc się z zimna i emocji. Jej palce kurczowo zaciskały się w pięści.

*

Porucznik Surasak Jintana zabił komara na policzku, po czym pomasaował ręką strapione czoło. Dotarł na wyspę Ko Mak znajdującą się najbliżej Ko Tan. Czterdzieści minut zwykłą łodzią, ale nawet ten krótki dystans był teraz nie do przebycia. Leżał więc na hamaku pod dachem małego komisariatu i wsłuchiwał się w spływające strugi deszczu, który miał padać co najmniej jeden dzień. Rozmyślał o sprawie. Przeczucował, że farangowie to piętzące się kłopoty, od których boli głowa, choć do tej pory sądził, że największym wyzwaniem jest Chińczyk. Teraz musi uważać nie tylko na Grubego Jadeita, ale i goszczących na wyspie. Jedna z tych osób jest prawdopodobnie znacznie bardziej niebezpieczna, niż to się mogło z początku wydawać. A na pewno podejrzana.

Przyglądał się paszportowym zdjęciom i po raz kolejny czytał akta sprawy. Dotąd zupełnie pominął pucołowatą blondynkę w okularach. Wydawała mu się niegroźną dziewczyną, taką, jakich pełno wśród samotnie podróżujących turystek. Tak myślał do czasu odebrania telefonu z dosyć zaskakującą informacją. Dzwonił jego szef. Z szefem kontaktował się z kolei jego szef, z jego szefem generał, a z generałem minister. To nadało sprawie zupełnie inny wymiar.

Z ministrem skontaktował się podobno ktoś z ambasady Australii, prosząc o natychmiastowe odesłanie do domu niejkiej Mii Jacobee. W Tajlandii raczej nic jej nie groziło, ale mogła nieopatrznie spróbować przekroczyć ponownie granicę z Kambodżą. Co było prawdopodobne, gdyż spora grupa turystów udawała się tam na jeden dzień, chcąc przedłożyć tajska wize turystyczną. Robili tak szczególnie ci, którzy przebywali we wschodniej części Tajlandii. Wiza dziewczyny kończyła się za dwa tygodnie i niewykluczone, że zrobi coś tak głupiego, a wtedy przez dłuższy czas nie mogłaby z Kambodży wyjechać. Była tam poszukiwana! Powód wydał się porucznikowi Surasak Jintanie wyjątkowo zaskakujący. Tę miłą młodą kobietę o lekko naiwnej twarzy posądzono o umyślne podpalenie biura jakiejś organizacji charytatywnej zajmującej się sierotami. Prawdziwość tej informacji nie była potwierdzona, ale komuś z Australii widać wyraźnie zależało, by nie musieć jej potwierdzać. Ojcem dziewczyny okazał się ktoś, komu udało się poruszyć sznurki w tajskiej policji. Ogólnodostępne informacje mówiły, że Peter Jacobee jest właścicielem kilku kopalni w Australii, a jego firma sprzedawała gigantyczną koparkę rodzimej kopalni w Chantaburii. Na tle samej łopaty sfotografowało się kilku generałów i paru lokalnych notabli z dziennikarzami włącznie. Prowadząc takie interesy, blisko do któregoś z ministerstw. Jedno było pewne: dziewczyna musi się znaleźć, a jej odnalezienie stało się teraz priorytetem.

Mógł ją aresztować każdy, ale porucznikowi Surasakowi Jintanie zależało, aby tym każdym był on sam. Chciał ją przesłuchać i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Nie potrafił powiązać ani dziewczyny, ani obecnego śledztwa z podpaleniem jakiegoś biura w Kambodży. Miał znajomego w Phnom Penh i liczył

na to, że od niego dowie się czegoś więcej. Ale na chwilę obecną wszyscy przebywający na wyspie byli w jakiś sposób powiązani ze sprawą wypadku w Tajlandii.

Z informacji, które udało mu się zebrać, wynikało, że Chińczyk nie szukał dziewczyny. Li Pangyu poszukiwał czegoś, o czym ona lub ktoś z pozostałej szóstki może wiedzieć. Do tej pory za głównego podejrzanego uważał Anglika. Typował go na kogoś, komu przylepiła się do rąk rzecz, której Li Pangyu tak bardzo pożałował. Musiało mu na niej wyjątkowo zależeć, bo Gruby Jadeit uruchomił wszystkich swoich informatorów, ryzykując, że któryś z nich doniesie również policji. Informator zapamiętał tylko liczbę dziewięćdziesiąt dziewięć milionów. Taka suma przykuła uwagę zwierzchników porucznika. Wydali więc rozkaz zajęcia się tą sprawą, a przede wszystkim dowiedzenia się, o jaką transakcję chodzi.

Na szczycie listy podejrzanych Surasak Jintana umieścił również Włocha. Głównie dlatego, że jego dwóch kuzynów poszukiwano międzynarodowym listem gończym. I mimo że Lorenzo Capella był niekary, to należało wziąć go pod uwagę jako pośrednika w nie wiadomo jeszcze jakiej transakcji. Były policjant z Belgii też był zaskakującą postacią w układance. Nie wspominając o kobiecie, która uruchomiła prywatnych detektywów z Bangkoku, by spróbowali wyjaśnić śmierć jej byłego męża. Europejka nie zdała sobie sprawy, że detektywi obligatoryjnie współpracują z policją i wojskiem, raportując o znacznie mniej ważnych zadaniach. Dziwne poszukiwania związane ze śmiertelnym wypadkiem obcokrajowca zgłosili i opisali ze szczegółami. W aktach pojawiła się również para biznesmenów, Fabienne i Kay Chomjan...

Było dużo wątków, których nie umiał połączyć.

Jak na razie wszystko wskazywało na to, że cała grupa, łącznie ze starszą kobietą, znalazła się na odciętej od świata wyspie. Rejsy w tej części morza były zakazane i nikt nie wiedział, jak długo będzie się panoszyć smoczy wiatr. Prognozy były optymistyczne, ale z prognozami nigdy nic nie wiadomo. Ostatecznie postanowił, że jeśli pogoda nie poprawi się przez dwa dni, poprosi wojsko o pomoc.

Poczuł, że zmarzł, i wszedł do środka. Był sam. Dwaj urzędujący w komisariacie policjanci udali się na imprezę w jakimś nowo otwartym resorcie, a tak naprawdę popatrzeć na celebrytów. Wyspa, na której wylądował, stała się ostatnimi czasy modna wśród gwiazd tajskiej telewizji. Dwóch młodych funkcjonariuszy przeglądało się w lustrze przed wyjściem i nie ukrywało, że chcieli zobaczyć aktorów i aktorki, którzy ze względu na pogodę mogą być wyjątkowo ubrani – najprawdopodobniej w ciepłe czapki, a co poniektórzy może nawet w futra. Sam słyszał takie plotki, kupując sattaje i mięsne kuleczki. Z obawy, że ktoś będzie się mu przyglądał, mocno nasunął daszek czapki i założył ciemne okulary. Nie pomogło. Siedząca na ławeczce staruszka przyglądała mu się, zadzierając głowę, i zalotnie się uśmiechała, pokazując bezzębną szczękę. Uciekł czym prędzej, błagając duchy przodków, by kariera aktorska jego rzekomego sobowtóra skończyła się szybciej, niż się zaczęła.

Rozdział 16

Więzy

Przemoczona szóstka dotarła do wielkiej, reprezentacyjnej sali, za lobby Cinamon Resortu, i przystanąła z wrażenia. To, co zobaczyli, zaskoczyło ich po raz drugi. Najpierw była to galeria portretu. Zdjęcia nie znikły, ale pojawił się jeszcze bardziej kuriozalny obrazek, który zamienił strefę wypoczynkową w salę tortur. Tadiusz Napierała przetarł oczy ze zdziwienia.

Na tle malowidła z syreną, w wielkim, bogato zdobionym fotelu z litego drewna siedziała Anna Strąg. Fotel przypominał tron. Za podłokietniki służyły dwa słonie z opuszczonymi trąbami, ażurowe zaś oparcie układało się w spiczastą płataninę stylizowanych pnączy. Anna Strąg tkwiła w nim spętana od stóp po szyję. Dookoła niej owijał się cienki kabel. Scott Whitus właśnie kończył swą pracę, odcinając nożem do pizzy przewód, na którym wcześniej wisiała lampa. Abażur udający rybacki kosz z trzciny pchnął za siebie. Plecionka poturlała się pod ścianę, odprowadzona wzrokiem przez wszystkich, którzy weszli do sali. Ponownie spojrzeli na związaną kobietę.

– Zwariowałeś?! – wrzasnął w końcu Polak, patrząc, jak Anglik zaczyna przywiązywać urwany przewód do drewnianej trąby słonia.

– Nie, nie zwariowałem – odpowiedział Anglik i z zadowoleniem zacisnął kabel, którym spętał szczuple łydki starszej kobiety.

– Uspokój się! – krzyknął Belg, zagryzając plastikowe ucho bananowych okularów słonecznych.

– Ile razy mam ci powtarzać?! Nie uspokajaj mnie ciągle! – wrzasnął Anglik, nerwowo zerkając na Annę Strąg, która w kompletnej ciszy przyglądała się procesowi obwiązywania.

Luzy Lu ściągnęła z głowy czapkę i zaczęła potrząsać kucykiem, strzepując wodę.

– Teraz ją zakneblujesz? – spytała z zaciekawieniem.

– Po co? – zdziwił się Scott Whitus.

– A po co ją związałeś? – zapytała Węgierka.

– A... – machnął ręką. – Nie chciała nic powiedzieć... Ale w końcu powie – dodał i przyklasnął w dłonie, patrząc z satysfakcją na dokonane dzieło.

– Wiesz co?! Weź coś na uspokojenie – wtrąciła się Anabell Seseke i ruszyła w kierunku swojej żółtej torby. Szybkim ruchem wyciągnęła z niej duży ręcznik i podała go Australijce, która już się nie trzęsła, a raczej telepała.

– Co się stało? – zapytała Anna Strąg, przyglądając się dziewczynie z opuszczoną głową i włosami, które ciężkimi strąkami opadały na twarz. Reszta też wyglądała żałośnie.

– To nie ty zadajesz tu pytania! – wykrzyknął Scott Whitus, kiedy kobieta wreszcie się odezwała.

– Co się stało? – powtórzyła spokojnie Anna Strąg, widząc, jak Australijka owija się puchatym ręcznikiem. Zauważyła również, że Włoch wyjął z torby swój ręcznik, ale ten był cienki i mały, złożył go więc z powrotem i schował, opuszczając głowę.

– Nic takiego – wzruszył ramionami Tadiusz Napierała. – Wpadła do wody dziewczyna – dodał, bezradnie rozkładając ręce.

– Jej okulary też tam wpadły – dodała Anabell Seseke.

– I cały prowiant... – podsumował Simon Holemans.

– Spłynął z mola – dorzucił Polak.

Po tej informacji Anna Strąg zmarszczyła czoło.

– Bardzo mi przykro, ale może jakoś sobie poradzimy... – zastanawiała się głośno i wydawała się tym rzeczywiście zmartwiona. Na przywiązanie do fotela reagowała z wyraźną obojętnością.

– O tak! Czyli wszystko jasne! – wykrzyknął Scott Whitus. – Nie ma tu co jeść! Z głodu zaczniecie skakać sobie do gardeł, a potem losować zapałkami, kogo pierwszego trzeba będzie poświęcić i skonsumować po kawałku. By nie umrzeć... z powodu okrutnej śmierci głodowej! Nie zdziw się, jak na ciebie padnie – krzyknął w kierunku Niemki, która przewróciła tylko oczami i prychnęła głośno:

– Bo ciebie to nawet przeżuć się nie da...

– Ej, ludzie, o czym wy mówicie! – Tadziu Napierała wznosił ręce do nieba. – Przecież w wodzie pełno ryb, a w lesie ptaków. Nawet małpy widziałem. Choć małpy to ja nie zjem – wzdrygnął się na całym ciele. – Obrzydliwy jestem. Ale takiego tukana nadziewanego mango... bym spróbował, pewnie smakuje jak kura – dodał, podchodząc do Anny Strąg. Idąc, wyjął z kieszeni mały nożyk. – Zjadłem kiedyś krokodyla. Na straganie był, z ogórkiem w otwartej paszczy, jak u nas prosię z jabłkiem, ale nie smakował jak prosię, tylko jak kura bardziej. Zaraz cię uwolnię – dodał już po polsku. – A ty nawet nie próbuj... – wycelował wyprostowany palec w kierunku Anglika, który pomimo ostrzeżenia chciał go powstrzymać.

– Zostaw ją! – wykrzyknął Scott Whitus, tarasując drogę.

Tadeusz Napierała westchnął głośno i zwyczajnie go odepchnął. Zdawało się, że lekko, ale Anglik wylał na tyłku i beładnie sunął po gładkiej posadzce z egzotycznego drewna prawie pod samą ścianę.

– W znowie są! W znowie! – wykrzykiwał Scott Whitus.

– Czy ty naprawdę drzysz przed starszą panią? – zapytała Anabell Seseke. – Przecież ona waży ze czterdzieści osiem kilo. Naprawdę trzeba ją związywać jak baleron jakiś? Przecież zaraz jej krew do stóp nie dotrze – dodała i popukała się w sam środek łysej czaszki. – Głupek!

– Tylko nie baleron, to bardzo zgrabna i szczupła kobieta jest – obruszył się Tadziu Napierała, zaczynając odwijać kabel.

– I co z tego, ile waży?! – jęknął Anglik, leżąc pod ścianą obok odciętego abażuru. – Co z tego?! Potrafiła to przywieźć! – pokazał na obrazki. – I przywiesić! Sprowadzić nas tu! Po co?! Wiesz, do czego może być zdolna! Nie masz pojęcia! Nie masz pojęcia, nie masz pojęcia...! – powtarzał, odpychając kosz, który po chwili przyciągnął, i zaczął nerwowo wydłubywać źdźbła uplecionej trawy.

– Tego właśnie powinniśmy się dowiedzieć – pokiwała głową Luzi Lu. – A jak będzie trzeba, to zamkniemy ją w jakimś pomieszczeniu. Na klucz. Wystarczy ci? – zwróciła się do Anglika, a ten, przeдрzeźniając ją, wykrzywił twarz i zamachał głową.

– Nie bój się – powiedział Tadeusz Napierała po polsku, obchodząc fotel dookoła i odwijając kabel.

– Czy wy nie słyszycie, że oni są w znowie?! – ponownie wrzasnął Scott Whitus, odrzucając trzymany w rękach abażur. – Czy ktoś z was to zrozumiał?! Przyznajcie się! – tym razem nikt nie wszedł mu w słowo i nikt mu nie odpowiedział. Anglik poderwał się z podłogi z triumfalną miną. – Wiedziałem!

– Powiedziałem tylko, żeby się nie bała – wyjaśnił Tadziu Napierała.

– Znasz ją? – zapytała Luzi Lu.

– Nie znam. Właściwie nie znałem, ale rozpoznałem – oświadczył, odwijając ostatnią pętlę, która z ramion przesunęła się na szyję. – Ze zdjęcia – dodał. – On cię musiał bardzo kochać. Chciał, żebym cię poznał. Żebym od razu wiedział, że to ty – oznajmił Tadziu Napierała lekko zamyślonym tonem, patrząc na porozwieszane zdjęcia. Mówił jak do starego przyjaciela. – Wiem, wiem... Tak, tak...

– Skąd ją znasz? – zapytał spokojnym głosem Simon Holemans.

– Mówiłem. Rozpoznałem ze zdjęcia – wyjaśnił Polak. – Pokazał mi je – dodał, patrząc na męczyznę z portretów. – Wiesz, takie zdjęcie w portfelu, za plastikową szybką – dodał i zamyślił się na dłuższą chwilę. – Na takim grubym papierze. Matowe, takie w krateczkę, jak przejedziesz palcem. Z fakturą. Takie jak kiedyś – westchnął, wspominając jakieś zamierzchłe czasy. – To nie to, co te zdjęcia w telefonie. Masz i nie masz. Gówno takie. Cieszysz się ułamek sekundy, a potem zapominasz. Palec i następne... Palec

i następne... – demonstrował przewijanie obrazków na ekranie, machając wolną ręką w powietrzu. – A na takie zdjęcie w portfelu to patrzysz za każdym razem, jak płacisz... i możesz też pokazać komuś... Zapamiętałem, bo Marcin pokazywał mi to zdjęcie, chociaż to jego była żona. Powiedziałem za dużo? – zapytał Annę Strąg. Zaprzeczyła. – No właśnie, bo po rozwodzie był. Jak ja. Z tym, że ja swojej byłej żony to nawet w pamięci komputera nie mam – oznajmił, zwijając energicznie spleątany kabel. – I mówił, że byłaś kobietą jego życia. Tak mi opowiadał, że aż się wzruszyłem – odłożył zwinięty kabel na stolik obok. – Ja to się cieszyłem, że moja wyszła za mąż drugi raz i teraz inny będzie się z nią męczył, bo strach był, że mi rękę w gips wsadzi i powie, żebym alimenty płacił do końca życia. Ona to za bardzo do pracy nie jest. Nie to co ty – westchnął Tadziu Napierała i wyciągnął dłoń w kierunku Anny Strąg, chcąc pomóc jej wstać, ale pokręciła przecząco głową.

– Tu zostanę – oświadczyła zdecydowanym głosem. – Też go kochałam – dodała, patrząc na porozwieszane zdjęcia, i szybko odchrząknęła, przywołując się do porządku.

Zapanowała cisza.

– To posiedź sobie. To odpowiednie miejsce, że tak powiem. Honorowe – stwierdził Tadziu Napierała.

– Dlaczego honorowe? – zapytał Scott Whitus.

– Dlatego, że sam ją tu posadziłeś! – wzruszył ramionami.

Rzeczywiście Anna Strąg siedziała na fotelu, który swą formą i wielkością przypominał tron. Szpic oparcia znajdował się dokładnie nad czubkiem jej głowy. Ręce idealnie wkomponowały się w wyrzeźbione podłokietniki. Smukłe, drobne dłonie leżały na gładkich słoniowych głowach, mankiety szerokich rękawów spływały na boki. Naszyjnik z wielkim mlecznym oczkiem zwisał z jej szyi i wyglądał, jakby był częścią królewskich regaliów. Jego reprezentacyjny charakter dodawał powagi czarnemu kimonu. Kobieta siedziała wyprostowana i spokojnym wzrokiem wodziła po wpatrzonych w nią twarzach. Co ciekawe, wszyscy odruchowo otoczyli ją, zachowując dość solidny dystans. Jakby byli na udzielonej audiencji. Malowidło, które znajdowało się za jej plecami, tylko podkreślało uroczystość całej sceny, nadając jej pałacowy charakter. Fotel nieznacznie zasłaniał siedzącą na kamieniu syrenę, za to grający na flecie chłopak w tajskim królewskim stroju był już całkiem widoczny i zdawał się grać, układając flet w kierunku fotela.

– I? I co w związku z tym, że go kochałaś? Miły starszy pan i co to ma z nami wspólnego? – zapytała Luzi Lu, przerywając ciszę.

– I w związku z tym tu was zaprosiłam... – zaczęła spokojnie Anna Strąg, opierając dłonie na głowach słoni. – Do resortu należącego do moich znajomych. Do Fabienne Chomjan, mojej koleżanki jeszcze z młodości, i jej męża Kaya – oświadczyła.

Luzi Lu wzięła telefon, po raz kolejny zobaczyła brak połączenia, ale zapisała informację.

– Zaprosiłaś... – prychnął Scott Whitus, zgromiony wzrokiem przez Anabell Seseke, która wyraźnie dała znać, że nie życzy sobie, by przerywał jej prychnięciami.

– Każdy z was przybył tu z własnej woli. Ale, oczywiście, zgadzam się z tobą – spojrzała na Anglika. – Transakcji, w której cele są zatajone, nie można nazwać czystym przedsięwzięciem...

– Na przykład dotyczy to sprzedaży śmieci – wtrącił się Polak.

– A szczególnie toksycznych odpadów – dodała Mia Jacobee, która już się nie trzęsła, z zaciekawieniem słuchając przemowy.

– Albo broni – dorzucił Lorenzo Capella i zamilkł pod ostrzałem kilku spojrzeń naraz.

– Przestańcie! – krzyknęła Anabell Seseke. – Dajcie się kobiecie wypowiedzieć. Przyrzekam! Uciszę każdego, kto się odezwie – przeszła całą grupę wzrokiem. – Mów. Ring wolny – powiedziała i wskazała sztywno wyciągniętą dłońią na Annę Strąg.

– Wiem, że każdy z was pokonał długą drogę – zaczęła kobieta cichym głosem. – Przyznaję, chciałam was skusić i wyłudzić czas. Tak naprawdę chodziło mi tylko o jeden dzień z wami. A właściwie jeden wie-

czór... I wiem, że nie każdy by się na to zdecydował, gdyby wiedział, o co chodzi. Dlatego wymyślałam dla każdego inny motyw. Ale miał to być jeden dzień... uwierzcie mi i wybaczcie.

Scott Whitus się nie odezwał, ale prychnął wyjątkowo głośno, kilka razy z rzędu, po czym patrząc na Anabell Seseke, udał, że niewidzialnym kluczykiem zamknął swoje usta i nie zamierza ich otworzyć, bojąc się kary. Ale już całkiem poważnie pokazał ręką na okno, robiąc przesadnie gniewną minę. Spojrzeli wszyscy. Za oknem zrobiło się ciemno. Morza nie było widać, tylko słychać – szumiało groźnie i niepokojąco, wypływając z siebie wzburzone fale. Niepokojący widok dopełniały cienie za oknem, rzucane przez szarpane wiatrem gałęzie palm. Do szyb docierały krople deszczu, choć od strug padającej wody dzielił je zadaszony taras.

– Wiem... – westchnęła Anna Strąg. – Plan był taki, że jutro rano przyjedzie łódź i kto będzie chciał, opuści wyspę...

– To zdaje się nie będzie możliwe – wyrwał się Lorenzo Capella.

– Nieźle to wymyśliłaś! – nie wytrzymał Scott Whitus. Odskoczył od Niemki na bezpieczną odległość i zaczął nucić marsz żałobny z coraz większym przejęciem. – *Tam ta da tamm, tam ta da tam...* O to ci chodziło? – pytał z wzniesionymi ku górze rękami.

– Panie Whitus... – przerwała mu Anna Strąg. – Jestem bardzo bogatą kobietą – powiedziała to dosadnym, pełnym mocy głosem. – Wiele rzeczy mogłabym kupić, za wiele zapłacić bez zmrużenia oka, ale nawet ja nie mam takich pieniędzy, żeby wznieść szalejący za oknem wiatr, który wzburzył morze. Schlebiamy mi pan, ale, niestety, nie mam boskich mocy pozwalających rządzić prądami powietrznymi i masami przelewającej się wody. I nie mam też smoka na podporządku – oświadczyła. – Jestem przekonana, że większość z was, tak samo jak ja, sprawdzała zapowiadaną pogodę – spojrzała po wszystkich, większość przytaknęła. – Czyli wiecie, że miało być inaczej.

– Tak. Miało nie padać – przytaknęła Luzi Lu. – Sprawdzałam na kilku platformach. Jeszcze przedwczo-
raj.

– Musiała jakaś trąba powietrzna skrócić... – zawyrokował Tadiusz Napierała.

– Cóż, ze względu na ocieplenie klimatu monsun nie pojawia się i nie odchodzi z taką regularnością jak kiedyś – powiedziała Anna Strąg pełnym troski głosem. – Klimat zmienia się na naszych oczach, nad czym ubolewam – stwierdziła, spoglądając wprost na wpatrzoną Mię Jacobee. – I żałuję, że nie dosłownie przed naszymi oczami. Wielka szkoda, może ludzie szybciej by się opamiętali – dodała, a słuchająca z otwartymi ustami Australijka aż pisnęła z zachwytem. – A wracając do pana obiekcji... – popatrzyła na Scotta Whitusa. – Wyjedziemy stąd najszybciej jak się da, obiecuję. I naprawdę jest mi bardzo przykro, że łódź nie przybędzie na żądanie. Też jestem do tego nieprzyzwyczajona. Jednak wiatr w końcu ustanie i zmienią się warunki pogodowe na bardziej sprzyjające. Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak poprosić was, byście potraktowali ten czas jak wakacje. A wszelkie utrudnienia spróbuję zrekomensować.

– Czyli il... – nie wytrzymał Anglik, ale Anna Strąg nie pozwoliła mu dokończyć. Uniosła drobną dłoń, czym wyraźnie powstrzymała kolejne pytania.

– Na wszystko odpowiem. Tylko proszę dać mi skończyć. Jestem kobietą biznesu od czterdziestu lat. Ale kobietą – pokazała na siebie – dlatego usiłuje się mi przerywać od zawsze. Przywykłam do tego. Musiałam walczyć o swoją pozycję – powiedziała, spoglądając tym razem na Anabell Seseke. – Walczyłam niemal codziennie – podkreśliła. – I proszę mi wierzyć, przez te wszystkie lata wywalczyłam, co moje. I nie żałuję. Nauczyłam się wygrywać, i to z przeciwnikami, którzy wydawali się więksi i mocniejsi ode mnie – powiedziała, a Anabell Seseke pokiwała głową z uznaniem dla drobnej kobiety, która mówiła władczym tonem i jak widać, cieszyła się posłuchem. – Nauczyłam się mówić tak, żeby mi nikt nie przerywał, i działać tak, jak ja uważam za stosowne. I zawsze, zawsze – podkreśliła – staram się być w zgodzie z sobą – zakończyła, a Niemka wyprężyła się i uniosła podbródek, jakby miała za chwilę walczyć u jej boku albo chociaż stać na straży przy fotelu.

– A ty jeszcze nie wiesz, o co chodzi, a już jesteś po jej stronie – warknął Scott Whitus.

– Przede wszystkim wolę być po innej niż ty – prychnęła ostentacyjnie Anabell Seseke.

– Panie Whitus, proszę uzbroić się w cierpliwość. Za chwilę wszystko stanie się bardziej przejrzyste i zrozumiałe. Jak już powiedziałam, jestem bardzo majątną osobą – ponownie zwróciła się bezpośrednio w stronę Anglika. – Bardzo cenię swój czas i nie lekceważę czasu innych ludzi. Dlatego sownie państwa wynagrodzę. Rozumiem poniesione nakłady – spojrzała wprost w błękitne oczy Anglika. – Proszę mi wierzyć, zrekompensuję je z nawiązką – oświadczyła, czym wywołała na twarzy Anabel Seseke najszerszy uśmiech, na jaki ją było stać. Niemka nie omieszkła pokivać również głową w kierunku Anglika z wyraźnym tryumfem na twarzy. – I oczywiście wynagrodzę wszystkie poniesione straty. Jak się domyślam, na pewno miał pan jakiś kontrakt, planowane zajęcia, rozumiem. Zapłacę. Plus premia klimatyczna – dodała, pokazując na okno. – Proszę określić swoje warunki, wycenić się uczciwie. Ja jestem otwarta na propozycje i ureguluję wszystko z nawiązką – powiedziała Anna Strąg i przestała patrzeć na Anglika, zostawiając go z kłębiącymi się myślami, których całe spektrum odbijało się na jego twarzy. Wyglądał tak, jakby w jego głowie zaczęły się pojawiać dniówki, tygodniówki, wynagrodzenia sezonowe. Najlepsze, jakie miał przez ostatnie dziesięć lat. Jakby zastanawiał się, czy je podwoić i potroić i co oznacza nawiązka.

– Przedstawiłam się już. Przypomnę jeszcze raz. Nazywam się Anna Strąg. Nie zamierzałam się tak otwarcie chwalić, ale skoro przez pogodę nie mamy internetu, nie możecie sprawdzić, kim jestem i czym się zajmuję, to sama wam powiem. Streszczając, jestem znaną i szanowaną właścicielką gospodarstwa rybackiego – powiedziała, czym dodatkowo wzbudziła ciekawość Simona Holemansa, ale akurat na niego nie patrzyła. – W stawach znajdujących się na Mazurach w północno-wschodniej Polsce hoduję jesiotra i produkuję kawior...

– Kawior? – zainteresowała się Luzi Lu, która do tej pory zajęta była robieniem notatek w telefonie.

– Tak – uśmiechnęła się Anna Strąg, zadowolona z okazanego zainteresowania. – Jestem jednym z największych producentów w Europie. I jednym z nielicznych na świecie. Produkuję ikrę jesiotra, nie zaburzając lokalnych ekosystemów. Nie wiem, czy wiecie, ale populacja tej niezwyklej ryby, która jest żywą skamieliną, uległa w niektórych miejscach wytrzebieniu. Karygodna działalność – dodała, kiwając głową w kierunku wpatrzonej Australijki. – Tym bardziej jestem z siebie dumna! Udało mi się stworzyć własną hodowlę... rozwijając przy tym luksusową markę – dodała, przerzucając spojrzenie na Luzi Lu. – I nie o branżę tu chodzi, ale o efekt. Wyjątkowość i ekskluzywność – wyjaśniła, a Luzi Lu popatrzyła na nią z uznaniem i zazdrością. – Nie będę mówić już, ile kilogramów i jakie ceny uzyskują ziarna ikry na światowych giełdach – kontynuowała. – Nic wam te dane nie powiedzą. Ale wystarczy wiedzieć, że w naszej branży i szeroko pojętym dziale towarów luksusowych nie muszę się przedstawiać – dodała i tym razem spojrzała na Lorenzo Capellę. – Kończąc już te przechwałki, dodam tylko, że jestem bardzo wpływową osobą na świecie i w branży wykwintnych artykułów spożywczych. O ile kawior można nazwać artykułem spożywczym. Bez urazy – uśmiechnęła się do Włocha – oczywiście, wiem, że to samo można powiedzieć o trzydziestoletnich octach balsamicznych z Modeny, parmezanie z Parmy i winie z Sycylii. – Lorenzo Capella uniósł brwi i chwycił się za brzuch, jakby go właśnie zabolął z tęsknoty i głodu jednocześnie. – Winie, które uważam za najlepsze na świecie – uśmiechnęła się. Chociaż osobiście muszę przyznać, że kawior najlepiej smakuje z zimną polską wódką.

– Wódkę mamy, choć jeszcze nie zimną – zmartwił się Tadziu Napierała, drapiąc się po głowie. – Szkoda, że nie mamy tego kawioru.

– Mamy – uśmiechnęła się do niego Anna Strąg, a on już się odwracał, by pobiec szukać kieliszków. – Ale chwileczkę... dokończę moją historię – powstrzymała go, podnosząc rękę z królewską powagą, zwracając się do wszystkich. – To, co powiedziałam do tej pory, możecie przeczytać sami i jestem pewna, że w pierwszej wolnej chwili potwierdzicie moje słowa. To ogólnie dostępne wiadomości. A teraz... – zniżyła i ściszyła głos, przywołując ich ręką, by podeszli bliżej, co uczynili wszyscy, z wyjątkiem Simona Holemansa, który stanął z boku, tak by wszystkich widzieć.

– Teraz powiem wam coś, czego nikt inny o mnie nie wie. Bo tak naprawdę w tym momencie, w tym miejscu, na tym etapie mojego życia, przede wszystkim – zrobiła wymowną przerwę – jestem wdową. Wdową, która utraciła coś tak ważnego, że sama nie wie, jak dalej żyć – oświadczyła, patrząc na porozwieszane zdjęcia. Wszyscy podążyli za jej wzrokiem. – Tak, byliśmy po rozwodzie. Rozwodzie, który w swoim czasie uważałam za najlepsze rozwiązanie. Po wielu latach małżeństwa nasze drogi się rozeszły. Przestaliśmy wspólnie patrzeć w przyszłość. Chcieliśmy inaczej żyć. Ja wyznaczałam sobie kolejne cele, kolejne zdobycze, kolejne firmowe wyzwania, chciałam stawiać kroki na ścieżkach, na których nikt przede mną nie był. A Martin... – przerwała, uspokajając drżący już głos – chciał założyć plecak i podróżować. Jak za czasów naszej młodości. Bez balastu, bez obciążeń. Zaprosił mnie w tę podróż, ale odmówiłam – wyznała, ocierając kąciki oczu. – Żałuję, ale w tamtym czasie uznałam, że łatwiej podzielić, niż połączyć nasze światy – oświadczyła, przecierając rękami twarz. – Teraz go nie ma... jestem sama, zupełnie sama i jedyne, czego pragnę, to poznać prawdę. I... – zawiesiła głos – ...i chcę się dowiedzieć, jak żył, co myślał przed... przed tym strasznym wypadkiem – powiedziała i po raz pierwszy spojrzała na Simona Holemansa. – Chcę się dowiedzieć, co takiego się stało? I dlaczego go tu ze mną nie ma? Dlaczego nie poznaliśmy was wszystkich razem?

Belg, który do tej pory był skupiony na słuchaniu i obserwowaniu wszystkich, przestał się rozglądać. Cierpliwie czekał i się doczekał! Ostatnie zdania były przeznaczone dla niego.

– Kończąc, chcę dodać, że jedyne, czego teraz pragnę, to spędzić ten czas z wami. Chcę uczcić pamięć Martina w gronie ludzi, których uważał za swoich nowo poznanych przyjaciół...

Wśród słuchających zapadła konsternacja. Ale nikt się nie odezwał.

Anna Strąg zdawała się tego nie zauważać. Wstała i podeszła do każdego po kolei. Scotta Whitusa poklepała po plecach. Wzruszonego Tadzia Napierałę, który ocierał łzy z oczu, pogłaskała po policzku. Do Lorenzo Capelli uśmiechnęła się szeroko, a Simonowi Holemansowi długo patrzyła w oczy, obejmując swoimi drobnymi dłońmi jego kanciaste ręce. Wszystkie dziewczyny przytuliła. Już nie wyglądała na tronuującą władczynię, ale raczej na drobną, zboląłą, siwą, ubraną na czarno wdowę.

– Jesteście dla mnie ważni. Bardzo ważni – mówiła do każdego z osobna, nie kryjąc wzruszenia. – Pobądźmy razem. Porozmawiajmy w tej wyjątkowej atmosferze o tym wspaniałym człowieku. Uczcijmy jego pamięć.

– To ładne – westchnęła Mia Jacobee.

– Dobrze sobie przypominieć, co w życiu ważne... – dodała Anabell Seseke.

– Kiedyś też mnie będzie stać na takie gesty – oświadczyła Luzi Lu.

– U nas robi się stypę i sprasza całą rodzinę – wtrącił Lorenzo Capella.

Tadziu Napierała bezwiednie dotykał palcami swój pogłaskany policzek, oddychał głęboko i kręcił głową z niedowierzaniem.

Scott Whitus zrobił krok do przodu i powiedział spokojnym, wyważonym głosem:

– Osobiście uważam, że duchy zmarłych należy odpowiednio pożegnać... Kultury Wschodu przywiązują do tego wielką wagę – kontynuował, rozkładając ręce na boki. – To niezwykle ważny rytuał. Oczyszczający duszę i ciało – dodał. Próbował wziąć Annę Strąg pod rękę, wyraźnie sugerując rozmowę w mniejszym gronie. – Pomogę ci zrozumieć, jak bardzo to ważne...

Anna Strąg uśmiechnęła się tylko i odsunęła od Anglika, po czym sięgnęła do kieszeni czarnych szerokich spodni. Wyjęła z nich ładnie inkrustowane etui. Otworzyła je z namaszczeniem i wyjęła małą łyżeczkę z masy perłowej.

– To na początek – pokazała wszystkim maleńki przedmiot. – Łyżeczka do kawioru. Z limitowanej, ekskluzywnej edycji. Jeśli pan, panie Tadeuszu, znalazłby małe kieliszczyki, byłoby idealnie. Mam dla każdego z was po małym słoiczku. A jeśli ktoś ma choćby krakersy...

– Ja mam – zgłosiła się Mia Jacobee... – Zaraz przyniosę.

- Zestawmy dwie ławy – zaproponowała Anabell Seseke.
- Ja chyba nigdy nie jadłam kawioru – stwierdziła Luzi Lu.
- Wyjątkowo wyrafinowany smak, nie każdemu pasuje – powiedział Włoch.

Simon Holemans uśmiechnął się, patrząc na perłową łyżeczkę. „Chcę uczcić pamięć męża”, „Spędzić z wami czas”, przypominał sobie wypowiedziane przez nią zdania. „Tylko na tym mi zależy...”. *O nie! To niejedyna rzecz, na jakiej ci zależy. Prowadzisz śledztwo!*, podsumował w myślach cały ten spektakl. Oparł splecione palce na brzuchu i zaczął nimi przebierać z wielkim zadowoleniem.

*

Fabienne Chomjan obudziła się w środku nocy. Za oknem padał śnieg. Rozbiegane płatki leciały z nieba, pojawiając się i znikając w snopie ciepłego światła rzucanego przez uliczną lampę. Nie zdążyła się jeszcze przyzwyczać do zmiany czasu. Przeczytała kilka wiadomości i już wiedziała, że nie będzie się przyzwyczać. Odrzuciła koldrę, odsłaniając plecy leżącego obok męża. Popatrzyła na jego tatuaże, tajskie yantry. Litery w starożytnym języku układały się w linię. Fragmenty modlitw zaczerpnięte z tekstów buddyjskich zaklinały rzeczywistość. Każda sekwencja na inny sposób i z inną intencją: na urok, szczęście, ochronę przed złymi duchami i pechem. Spływały po barkach. Pokrywały ramiona. Łopatki pełne były świętych geometrycznych wzorów składających się ze znaków, których znaczenia nie miała szans zrozumieć. Wytatuował je mnich w świątyni Wat Bang Phra podczas tradycyjnej ceremonii. Długim patyczkiem z igłą, barwnikami, którym mocy dodały prochy jakiegoś starego mistrza. Na dole pleców były dwa tygrysy. Kay utrzymywał, że znalazły się na jego plecach, bo urodził się w roku tygrysa, ale Fabienne wiedziała, że lubią ten motyw ludzie biznesu. Symbolizuje siłę i władzę. Takiemu tygrysowi nic nie staje na przeszkodzie. Utrzymuje konkurencję na dystans, budzi respekt, zapewnia bogactwo i daje charyzmę. Ponad nimi Osiem Kierunków, osiem mantr – święty geometryczny wzór w dwóch koncentrycznych okręgach, ma zapewniać ochronę i odpędzać złe duchy, nieważne, w którym kierunku się zmierza.

Wodziła po amuletach palcami, chcąc dotknąć tej magicznej mocy, która bardzo by się jej teraz przydała. Po raz kolejny pozazdrościła ich mężowi. Kiedyś nawet chciała sobie takie wykonać, ale Kay odradził jej z dobrotliwym uśmiechem na twarzy, tłumacząc, że bez wiary, błogosławieństwa, bez mnichów to tylko niedziałające rysunki. Odparowała mu wtedy, że Angelina Jolie zrobiła sobie. Ale tak naprawdę Fabienne bała się chyba bolesnej techniki i tego, że jej skóra rozciąga się i ściąga w zależności od diety.

Kay, czując jej dotyk, przekręcił się na bok, ziewnął i otworzył oczy.

- Która godzina? Rano czy środek nocy? – zapytał, bo nie był do końca pewny, czy nie udało się prześpać zmiany czasu, tym bardziej że wieczór z kuzynami żony był bardzo męczący, a wino wyjątkowo mocne.

- Dla nas rano – odpowiedziała zdecydowanym tonem. – Nie ma się co przyzwyczać. Myślę, że powinniśmy wyjechać wcześniej. Naprawdę mam już dosyć mojej matki, z wiekiem jest coraz gorzej – zaczęła narzekać. – Robi się nie do zniesienia. W kółko to samo: nie i nie! Jak katarzynka!

- Przecież się nie kłóciłyście. Chyba – zastanawiał się Kay, ziewając i próbując sobie przypomnieć szczegóły wczorajszego wieczoru.

- Ale wiem, że niedługo się pokłócimy, i dobrze by było tego uniknąć. Ona... Ach... – machnęła ręką. – A ten mój brat i jego nowa żona, szkoda słów. Poza tym odzwyczaiłam się już od tego klimatu. I napatrzyłam na śnieg...

- O co chodzi? – zapytał Kay, patrząc na żonę. Z reguły miała taką minę wtedy, gdy już podjęła decyzję i tylko czekała, aż on się domyśli jaką.

- Uważam, że powinniśmy wracać.

- Słucham? – Kay ziewnął i podciągnął się na rękach, siadając na łóżku. – Dopiero co przylecieliśmy.

- I wystarczy. Wizyta zaliczona. Niezbyt udana.

– O co chodzi? – powtórzył pytanie. Przecież pół wieczoru siedziałaś z tą młodą kuzynką i patrzyłyście w telefon. Nie wyglądałaś na znudzoną.

– A czy ja naprawdę lubię TikToka? Bądź poważny! – powiedziała i sama spoważniała.

– Wiesz, że Anna jest na wyspie, a tam zaczęło strasznie wiać, wszyscy są odcięci od świata, nie ma z nimi kontaktu, wydano zakaz wyływania... I... – jęknęła. – Nie podoba mi się to.

– Mnie też – odpowiedział Kay, pocierając palcami wiszący na szyi amulet.

Rozdział 17

Znajomości

Simon Holemans z niezwykłym zainteresowaniem obserwował, jak grupa, która wcześniej podjęła decyzję, by się nie rozdzielać i trzymać wartość, teraz postanowiła rozlokować się po domkach, odświeżyć, a przedtem radośnie rozmnożyć wszystkie swoje zapasy, wyciągając to, co mieli, z walizek, plecaków i torebek. Zanim rozeszli się do swoich domków, na jednym ze stołów utworzyła się niewielka górką z chipsów o smaku kraba w yellow curry i krewetek z chili, orzeszków w skorupce z wasabi, dużego opakowania wafli energetycznych od Luzi Lu, czterech puszek cafe latte od Włocha i gotowanych na miękko jajek, których Polak miał aż osiem sztuk. Anabell Seseke wyciągnęła kilogramowy worek z orzechami cashev, które zakupiła bezpośrednio od producenta i miała zamiar zabrać do Niemiec. Dorzucono do tego parę chińskich zupek i trochę paluszków. Nie wydawało się tego dużo, ale wyglądało kolorowo. O resztę postanowili zatroszczyć się rano.

Przeszukali inne pomieszczenia. Duża butla wody była wetknięta w saturator, obok stała kolejna, niektnięta. Simon Holemans pochwalił się uratowanym makaronem, czym rozpromienił Włocha, który z jakiegoś powodu uznał, że skoro jest makaron, to musi gdzieś znaleźć się i oliwa. Tylko Scott Whitus nawet nie rozsznurował swego worka, wstydliwie chowając go za siebie, ale też nikt tego od niego nie oczekiwał, nawet Niemka nie skomentowała. Lorenzo Capella, oprócz puszek z kawą, wyjął ze swojej torby również skórzane japonki i dał je Mii Jacobee, prosząc, by je nosiła, a jutro sprawdzi, czy morze nie wyrzuciło gdzieś jej klapka. Pochwalił się, że widział kiedyś cały bar udekorowany takimi wyrzuconymi na brzeg plastikowymi butami. Było to mało prawdopodobne, ale i tak wszyscy łącznie z Mią uznali, że to miły gest.

Anna Strąg udała się do siebie, by przynieść obiecany kawior i jeszcze jakieś owoce. Ale wcześniej poinstruowała wszystkich, gdzie są ich domki. Wybrała te najbliższe, do których prowadziły oświetlone kładki. Baterie słoneczne zdążyły się naładować za dnia i teraz rozświetlały drogi prowadzące do białych, przeszklonych, luksusowych chat. Przynależne do domków niewielkie baseny były puste, ale oświetlone, wyglądały dość przyjemnie.

Zanim się rozeszli, Simon Holemans przestrzegł wszystkich, by dokładnie sprawdzili najmniejsze nawet zakamarki, bo pod nieobecność ludzi mogły się rozgościć różne zwierzęta. Nadlatujący wąż dostatecznie rozbudził ich wyobraźnię. Mia Jacobee, Luzi Lu i Anabell Seseke poprosiły Simona o pomoc.

Pierwszą zaprowadził Mię Jacobee, która powoli i ostrożnie człapała w za dużych klapkach, trzymając go pod rękę. Domek był posprzątany, a pościel przygotowana, choć sprzątający więcej pracy włożyli w poskładanie ręczników na kształt słoni niż w wywietrzenie pomieszczeń – nieużywane, miały lekko zatęchły zapach. Ale nie sposób było dostrzec wymyślnych designerskich mebli, lamp, rzeźbionych toaletek i taboretów.

– Martwię się, bo ja go prawie nie znałam – powiedziała Australijka. Nie zauważyła pokaźnych rozmiarów gekona, który uciekł im prawie spod nóg, i mówiła dalej: – Jechaliśmy w tym samym kierunku i ten pan zagadał... Było bardzo przyjemnie. A potem rozmawialiśmy o moim wolontariacie i cóż... – westchnęła, rzucając plecak na środek łóżka. – Wtedy nie za bardzo rozumiałam, co do mnie mówi – Simon Holemans słuchał, zaglądając pod łóżko. – Nie rozumiałam... Potem trochę się to wyjaśniło i było mi bardzo przykro, ale dopiero po czasie przekonałam się, że miał rację, i zdenerwowałam się jeszcze bardziej. Bo on jak mój ojciec... i jeszcze o tych kopalniach – mówiła coraz bardziej chaotycznie, nerwowo przeszukując zawartość plecaka. – A ty, znałeś go? – szybko zmieniła temat i wyciągnęła słoneczne okulary. – Niby są korekcyjne, ale po ciemku nie działają – ściągnęła je z nosa i dodała: – Jutro się przydadzą.

– Ja też poznałem go tylko przelotnie – odpowiedział Belg, podnosząc się z kolan. – Pod łóżkiem nic nie ma – oświadczył. – Jest w porządku – dodał po oględzinach łazienki. Oprócz małych jaszczurek łowiących komary pod sufitem, nic nie było. – O czym rozmawialiście? O jakich kopalniach...

– To ja się może przebiorę... – zaczęła Mia, zawzięcie grzebiąc w plecaku.

– Słyszałaś o tym jego wypadku?

– Nie... właściwie tak, później... Miał mnie na zdjęciach i w ostatnich kontaktach, bo wymieniliśmy się telefonami, bo chciał ten sierociniec zobaczyć. Policja mnie pytała, ale ja nic nie wiedziałam. Skąd miałabym wiedzieć, że dziadek się utopił – głośno westchnęła. – O, przepraszam – przyłożyła rękę do ust, patrząc na Simona Holemansa.

– Nie szkodzi – uśmiechnął się Belg. Podejrzewał, że gdyby spytał ją, ile on ma lat, odpowiedziałaby, że pewnie z dziewięćdziesiąt.

– To ja sobie tak pomyślałam, wtedy, że nie muszę tego słuchać. Nie po to wyjechałam, żeby słuchać, jak się mnie strofuje! – podniosła głos, ale szybko się zreflektowała. – Przepraszam, chyba wezmę prysznic, cała jestem słona. Myślisz, że zdążę? Nie chcę, żeby ta miła pani czekała... – stwierdziła, wyrzucając całą zawartość plecaka na łóżko. Ze skotłowanej górki wyszarpnęła podkoszulek. Po chwili zamierzyła się, by zdjąć z siebie ubranie. Simon Holemans przestraszył się, że zrobi to na jego oczach, i rzucił pospiesznie:

– To ja już pójdę. Uważaj na ten pusty basen, nie skręcaj w lewo. Jak wyjdiesz, od razu w prawo, idź kładką – i wyszedł.

– Jak ja nienawidzę rozmawiać o kopalniach! – usłyszał podniesiony głos zza zamkniętych drzwi. Chwilę jeszcze nasłuchiwał, ale nic już więcej nie usłyszał. Nie rozgryzł tej dziewczyny. Na pierwszy rzut oka wydawała się spolegliwa, układna i trochę roztrzępana, ale niewiele potrzebowała, by podnieść raptownie głos. Zapewne miała wiele ideałów, ale był od niej starszy, bardziej doświadczony i wiedział, do czego mogą posunąć się młodzi ludzie przekonani o słuszności swoich racji.

Anabell Seseke omiatała framugę okien wielką miotłą ręcznie uplecioną z trawy.

– Bo ja się trochę boję pajaków – powiedziała prawie szeptem, przykładając palec do ust.

– W Tajlandii nie ma groźnych pajaków, może w górach na północy... – zaczął Simon Holemans.

– Wszystkie są groźne – przerwała mu Niemka, wchodząc do domku. Rozejrzała się po ścianach, a pod sufitem dostrzegła małe jaszczurki. – Dobre jaszczureczki, jedzcie komary i przebrzydłe pajęczyska. To taka moja fobia, ale się nie chwalebę nią głośno. Żeby taki Whitus nie włożył mi do torby.

– Dlaczego tak go nie lubisz? – zapytał Belg, patrząc, jak wyręcza go w zagładaniu do wszystkich kątów.

– Nie lubię takich typków, naciągaczy, co się wymądrzają. Mieliśmy się złożyć na tę taksówkę, a on uciekł, że niby muszę już lecieć, dzięki, pa. Nim zdążyłam wyjąć walizkę z bagażnika, był już dziesięć metrów dalej. Chciałam go gonić, ale ten pan powiedział, żeby go zostawić w spokoju. Podejrzewał, że nie zapłaci, a on ma pieniądze... Ale nie chodziło o to, czy ma pieniądze, czy nie, tylko że tamten uciekł... I jeszcze gnojek nie chciał się później do tego przyznać. Niby taki opanowany, pracujący z własnym wnętrzem... a co w środku? Wszyscy widzą – powiedziała, odsuwając szafkę i waląc miotłą w powstałą szparę, po czym wręczyła miotłę Belgowi, a sama wyjęła z torby turystyczną moskitierę i rozglądała się, jak ją przy-mocować i rozwiesić nad łóżkiem.

– A skąd jechaliście?

– Ja z Chang Mai, a on z tym panem z Ranongu, to prawie pod granicą z Birmą. Spotkaliśmy się na dworcu...

Czyli Anglik jechał z nim całą noc. Ciekawe, o czym rozmawiali?, zastanawiał się Simon Holemans.

– A widziałaś go jeszcze później?

– Kogo? Tego Anglika? Tak. Zobaczyłam identyczną kopertę i wydawało mi się to podejrzane, że ktoś zaprasza mnie i jego w to samo miejsce. Ale wszystko się wyjaśniło – skwitowała wzruszeniem ramion.

– Pytałem o tego Polaka! – zawołał Simon Holemans z łazienki, którą omiatał miotłą.

– Nie. Powiedziała mu, gdzie będę miała trening tajskiego boks, a on przyszedł pooglądać. I od razu stwierdziłam, że mamy inne zdanie na temat trenowania młodzików! – krzyczała z pokoju Anabell Seseke.
– Trochę musiałam mu wytłumaczyć, trochę może za dosadnie, bo ludzie pojęcia nie mają, że trzeba wcześniej zacząć, żeby do czegoś w tym sporcie dojść. Mówił coś o ryzyku, a ja mu odparowałam, że ryzyko, niezależnie od wieku i okoliczności, podejmuje się na własne ryzyko. Niby przyznał mi rację... bo mówił, że też musi zaryzykować...

– W czym zaryzykować? – zapytał Belg.

– Nie wiem właśnie. Ale jakie ryzyko mógł siwy dziadek podjąć? Pomyślałam, że jedyne ryzyko, jakie takie dziadki podejmują, to znaleźć sobie trzydzieści lat młodszą dziewczynę... O, przepraszam, nie powinienam tak mówić.

– Miał dziewczynę? – uśmiechnął się Belg.

– Tego nie wiem. O dziewczynie nie mówił...

– Wiedziałaś, że się utopił? – zapytał, patrząc, jak starannie upycha końce moskitiery pod materac.

– Ktoś mi pokazał w wiadomościach. Nie pamiętam kto. Ale chyba nie powiem tej kobiecie o kłótni na temat treningów. I tej wymianie zdań... chociaż podejrzewam, że ona miałaby inne od niego zdanie. Wbrew pozorom to kobiety wiedzą, jak walczyć... Ona to wie... Lubię ją. Co myślisz?

– Z dużą dozą ostrożności też muszę powiedzieć, że chyba ją lubię.

Ale to nie znaczy, że ufam, dopowiedział sobie w myślach.

– Dziękuję ci. Chyba jeszcze Węgierka na ciebie czeka.

Luzi Lu weszła sama do środka i wciągnęła wielką walizkę, którą otworzyła i szybko zamknęła na widok wchodzącego do pokoju Belga. W rękę trzymała plastikową raketkę, podobną do tenisowej, tylko mniejszą. Bez naciąganych żyłek, tylko z drucianą siatką, która po naciśnięciu guziczka przesyłała impulsy elektryczne, wystarczające, by zabić komara. Widział podobne w sklepach.

– Luksusów tu nie ma – stwierdziła szybko. – Ale komarów też nie. – I odłożyła raketkę na szafkę.

– Sprawdź pokój – zadeklarował się Simon Holemans.

– W sumie już sprawdziłam – oświadczyła Węgierka. – Jak myślisz, skąd ona wiedziała, jak nas wszystkich znaleźć? – zapytała, nim Belg zdążył zapytać ją o to samo. Mnie znalazła w Laosie, a ciebie?

– Na Kolancie. Nie uważasz, że to dziwne?

– Podziwiam – powiedziała z uznaniem. – Potrafi załatwić to, co chce. Trzeba ją spytać, jak to zrobiła. Bo ja nikomu nie mówię, gdzie jadę. Nikt nie wie, w jakim miejscu na świecie puszcze posta albo nakręce rolkę.

– Od dawna podróżujesz?

– Od dziecka. Luzi Lu tu, Luzi Lu tam. Kiedyś to były książeczki. Bestsellery. Taki przypadek dziecięcej gwiazdy... Hm... Matka zarobiła... Teraz muszę budować od początku. Wszyscy myślą, że to łatwe, że jak masz sto tysięcy obserwujących, to pieniądze same lecą do ręki, ale to tak nie wygląda... Ciągłe coś zmieniają, niczego nie można być pewnym, nowy algorytm i cała strategia się sypie! Pracuję nad większą stabilizacją... – Simon Holemans uśmiechnął się pod nosem, patrząc na młodszą dziewczynę, z miną kobiety po przejściach.

– Znałaś jej męża? – przerwał jej Belg, próbując wziąć raketkę do ręki, jeszcze nigdy takiej nie trzymał. Jednak nie zdążył.

– Poznałam – odpowiedziała Luzi Lu i odsunęła przyrząd. – Przepraszam, ale nie lubię, jak dotyka się moje rzeczy – dodała, zastawiając mu drogę. – To nie są tylko ubrania, to rekwizyty do pracy...

– To ja przepraszam – powiedział Simon Holemans, odsuwając się od szafki. – I wiedziałaś, że on...

– Chyba mamy wspólnie go powspominać – odparła, ucinając rozmowę. – Zaraz tam przyjdę. Dziękuję, w tym pokoju nie ma żadnych gadów i komarów na szczęście też nie.

I niczego się nie dowiedziałem, pomyślał Simon Holemans, biegnąc kładką w kurtce przeciwdeszczowej. Uznał, że w tej wielkiej walizce może być sporo podobnych gadżetów. Przyspieszył, widząc Polaka i Włocha stojących przy lobby. Obaj chowali się za filarem.

– Trzeba mieć trochę doświadczenia – mówił Tadeusz Napierała, przesadnie kiwając głową. – Patrz na stopy, im mniejsze, tym lepsze. I ręce, rąk nie da się zoperować. I wzrost, im niższy, tym lepiej... Na grdykę nie patrz, to da się zoperować. I nie zobaczysz – przekonywał Włocha, który wyraźnie się speszył, widząc podchodzącego do nich Belga. – I kształty oczywiście... uważać na szczupłe. Za chude też niedobrze. Z bodrami różnie, tu raczej drobne kobiety są, ale... to zawsze jest inaczej.

– Tak, wiem, wiem – odpowiedział Włoch, próbując odejść.

– Poczekaj – zatrzymał go Tadeusz Napierała, przywołując Simona Holemansa. – Pytałem go, gdzie poznał Martina – zaczął, wprowadzając nowo przybyłego w rozmowę. – Bo to dosyć ciekawe jest. A widziałeś, że na zdjęciu stali przed klubem go-go. Nie ma się czego wstydzić – Polak poklepał po ramieniu próbując się wywinąć Włocha. – Ja tam wolę stałe związki, ale ty młody jesteś, to możesz próbować.

– Ja nic nie próbowałem! – zaperzył się Lorenzo Capella.

– Sam mówiłeś, że podszedł do was ladyboy i...

– I tylko podszedł i ten pan rozpoznał go od razu, a ja nie byłem pewien i przez chwilę patrzyliśmy obaj, potem poszliśmy na drinka.

– To się nie ma czego wstydzić – uśmiechnął się dobroliwie Tadeusz Napierała. – *Katoy* znaczy po tajsku chłopiec lub kobieta i ciężko się połapać, bo tu to normalne jest, że jak ktoś chce nosić sukienkę, to nosi, i nikt nie ma z tym problemu. I tak powinno być. Ja tam jestem za tym – powiedział, znowu klepiąc po ramieniu Włocha, który usiłował się cofnąć, ale miał za plecami filar.

– Tam go poznałeś? – zapytał Simon Holemans.

– Tak. Ale my się wcale dobrze nie znaliśmy, wypiliśmy po jednym drinku razem, bo ten pan mnie zaprosił i...

– Ale jeśli on miał tam jakieś... – Tadeusz Napierała ściszył głos i przyjaźnie zmrużył jedno oko. – To chyba lepiej wdowie nie mówić. Po co ma wiedzieć. Zresztą po rozwodzie był, a w jego wieku to człowiek chce jeszcze się sprawdzić... – stwierdził z miną znawcy i nagle spojrzął tęsknie we wzburzone morze i strugi lejącego deszczu. – Ja to wolę stałe związki – westchnął i czknął. – Mnie się nie chce skakać z kwiatka na kwiatek, ale ty młody jesteś, to tobie więcej wolno. Tylko uważać trzeba i używać prezerwatyw – powiedział mentorskim tonem. Włoch odskoczył na bok jak oparzony i już się nie dał poklepać.

– Ja tam nie wiem, co ten pan robił. Ja tylko jednego drinka wypilem, bo na chwilę usiedliśmy razem. I nie wiem, czy on z jakąś dziewczyną... Mówił, że umówiony jest, tylko ma poczekać godzinę, bo tyle zajmie ta robota. Ale mnie to nie interesowało. Ja nawet nie wiedziałem, jak on na imię miał.

– Spokojnie... – uśmiechnął się Tadeusz Napierała, pocierając zaczerwieniony nos. – Ale jakbyś wiedział, że tam coś... to też nie mów. Takich rzeczy nie mówi się wdowie. Niby każda kobieta chciałaby wiedzieć. Tak zawsze mówią... wiem z doświadczenia, ale lepiej nie. Nam możesz, oczywiście – dodał ściszym głosem, robiąc tajemniczą minę.

– Ale ja nic nie wiem – wystraszył się Lorenzo Capella. – Ten starszy pan namawiał mnie, żebym odwiedził Birmę, on tam był i mówił, że jeszcze raz chce pojechać. Bo ludzie wspaniali i ma wobec nich dług wdzięczności, bo dostał coś w prezencie za antybiotyki. Ale to było dużo więcej warte niż te antybiotyki...

– I widzisz – przytaknął Tadeusz Napierała, patrząc porozumiewawczo na Simona Holemansa. – To ciekawe jest. Prawda? I tego chętnie się dowiemy i to możesz powiedzieć wdowie. Każdy chce usłyszeć, że podzielił się z potrzebującym – podsumował i czknął. – I ja też swój honor mam! – powiedział i klepnął się w klatkę piersiową.

Belg przyznał mu rację i przyglądał się z ciekawością. Polak, choć już lekko wstawiony, ale robił to samo co on. Próbował ustalić jak najwięcej faktów. I wszystko wskazywało, że miał jakąś swoją teorię na ten temat. Bardzo był jej ciekawy, nawet ucieszył się, że Włoch szybko wykręcił się na pięcie i oddalił w kierunku sali.

– Musimy porozmawiać – szepnęła Tadius Napierała, ale dostrzegł nadbiegającą z parasolką w ręku Węgierkę. – Szkoda, że Nejm nie ma – pożalił się. – Z dziewczyną byłoby różniej i przecież by nie przeszkadzała tej całej Strąg. Taka to fajna dziewczyna. A jaka mądra, a jaka sprytna. Nawet to jej nazwisko znaczy, że jest szybka w myśleniu i tak w ogóle, jakoś tak... Ale co zrobić, sztorm. Została pewnie bidulka na tej wyspie obok. I dobrze – machnął ręką. – Chciała ją zobaczyć – rozmarzył się, po czym niespodziewanie pobiegł do drzwi, by otworzyć je przed Luzi Lu.

– Czekałem... – oświadczył, szarmancko chwytając za klamkę.

*

Nejm Ry-Di opadała z sił. Zalewane solą oczy piekły i szczypały. Już nie wiedziała, czy światelka na horyzoncie, które się pojawiały i znikaly, widziała naprawdę, czy ze strachu widzi to, co chce widzieć. Nie była już w stanie utrzymać steru. Rzęzącego silnika prawie nie słyszała. Zdarła naskórek, ale nie czuła bólu w zgrabiaych, zaciśniętych palcach. Łódź nabierała wody, fala za falą wlewała się do środka. Przechylała się tak, że traciła równowagę. Czas odmierzały kolejne spiętrzenia. Góra, dół, góra. Niezwykła winić niebo, ale teraz to chyba była kara za to, że wsiadła na tę łódź sama, bo nikt nie chciał jej przewieźć na wyspę. Po co jej była ta robota!

Dziadek uczył ją, jak się pływa taką łajbą. Łowił kałamarnice przez pięćdziesiąt lat, ale nawet on nie odważyłby się wypłynąć w taką pogodę. Przecierała twarz i mimo huku fal słyszała, jak trzeszczą stare deski łupiny, która też chce zakończyć tę walkę. Jeśli tylko znowu ustawi się bokiem do coraz to wyższych fal...

– Jaj Noi... Babciu! – wzywała staruszkę, która nieraz czekała, aż mąż wróci z połowów. – Jaj Noi! – krzyknęła ponownie, próbując otrzeć mokrym przedramieniem zalane wodą oczy. – Pomóż mi – jęknęła, widząc zbliżającą się kolejną falę, kolejną górę wody.

Łódź przechyliła się tak mocno, że już nie tylko fala wlała się do środka, ale całe morze. W ostatniej chwili chwyciła się za dziób. Wisiały tam trzy kolory wstążek. Miały chronić łódź przed złymi duchami morza. *Pa-sam-si*. Żółte, czerwone i niebieskie. Były mokre i wyslizgiwały się z rąk. Szarpana przez czarną toń, zaczęła je obwiązywać wokół nadgarstków. Kolejna fala wepchnęła ją pod wodę. Nad czarną, spienioną taflą wystawał już tylko rant bezwładnie unoszącego się kadłuba.

Zadławiony silnik z długim sterem ciągnął łódź na dno.

Rozdział 18

Syrena

– To syrena. Postać z legendy o Phra Aphai Mani – wyjaśniał Scott Whitus Annie Strąg, pokazując na obejmujące całą ścianę przedstawienie. Obniżył tembr głosu, robił wymowne pauzy, uśmiechał się, wdzięczył, emanował łagodnością. – Niezwykły poemat pisany przez dwadzieścia dwa lata przez Sunthorna Phu. Dziewiętnastowieczny – dodał. – Dlatego są tam też piraci i różnego rodzaju maszynerie. Ale to przede wszystkim piękna opowieść pełna fantastycznych przygód i niezwykłych bajkowych postaci. Uwielbiam! Tyle w niej życiowej prawdy.

– My też mamy własną syrenę... – pokiwała głową Anna Strąg, słuchając perorującego Anglika i zerkając jednocześnie na salę.

– Bo to mityczna postać światowej sławy – Scott Whitus zaśmiał się, mrużąc przyjaźnie błękitne oczy. – Ale legenda ta opowiada o książęcych braciach, z których jeden opanował walkę mieczem, a drugi, właśnie ten – pokazał na postać z przedstawienia – Aphai gra na magicznym flecie. Jak nasz Orfeusz prawie. Jego flet ma wielką moc, potrafi albo usypiać, albo zabijać. Król jednak uznał, że to mało praktyczna profesja. Cóż... nie on jeden ma problemy z ojcem, który nie docenia talentu ani powołania syna – dodał, rozkładając ręce. – I ten ojciec, jak to ojciec, wyrzucił go z królestwa. Na bruk. Aphai musiał więc tułać się po świecie, szukając własnej drogi. Wiem coś o trudnych relacjach – dodał, pocierając zmarszczone czoło. – I po wielu przygodach spotkał syrenę – ponownie wskazał na przedstawienie. – I ona uratowała mu życie.

– Syreny potrafią – westchnęła Mia Jacobee.

– Dobrze, że nie musiała sobie ogona uciąć – dodała Anabell Seseke, która właśnie weszła do sali.

– Nie, nie musiała – odparł spokojnie Scott Whitus. – Miał z nią nawet syna. A jeśli chodzi o nogi, to według niektórych opracowań syrena zbierała dobrą karmę i w końcu została człowiekiem. To uczy, że każdy może – dodał, patrząc Niemce głęboko w oczy. – Ale to później. Najpierw książę Aphai trafił do pastelników. Tam zakochała się w nim ta piękna kobieta. Ona... – pokazał na kolejną postać z przedstawienia. Była nią ukrywająca się za skałami kobieta o zjawiskowych kształtach, podkreślonych obcisłym strojem z wyraźnie zaznaczonymi pełnymi piersiami.

– Niezła – pochwaliła Luzi Lu, patrząc we własny dekolt.

– Nie tak do końca – przerwał Scott Whitus, powstrzymując zachwyt Węgierki. – To ogrzyca, Nang Pisuea Samudra.

– Nie wygląda – wzruszyła ramionami Luzi Lu.

– Na zewnątrz jest piękna i łagodna, ale w środku bardzo, bardzo, bardzo paskudna – zapewnił Scott Whitus, nie zamierzając przestać opowiadać.

– Ogrzyca? – zdziwiła się Anna Strąg, spoglądając na wchodzące osoby.

– Tak. Taki stwór, który potrafi oszukiwać i zmieniać postać, na jaką chce – odpowiedział Anglik i zadowolony z pytania stanął przed Anną Strąg, tak by widziała tylko jego. – To duch o podwójnej naturze. Aby podobać się księciu, zmieniła się w piękną kobietę, której urokowi nie można było się oprzeć. Emanowała wdziękiem i klasą. Przebywał więc z nią, choć doskonale wiedział, że ta piękna kobieta tak naprawdę jest brzydkim, bardzo brzydkim potworem! I może się nim stać w każdej chwili, bo taka jest jej natura. Potrafi zabijać bez zmruczenia oka, jeśli coś pójdzie nie po jej myśli – wyjaśniał z przejęciem. – I...

– Już chyba wszyscy przyszedli – przerwała mu Anna Strąg. – Dziękuję. To piękna opowieść...

– Znalazłem tylko plastikowe kubki do piwa, niestety – zakomunikował Polak. – Nic to, należy się na dno – pokazał trzymaną w ręku butelkę – a popije z drugiego. I tak niedużo tego jest. Ale na smak będzie –

dodał, potrząsając butelką wypełnioną do połowy wódką. Ustawił ją na ławie, na której stało już w rzędzie siedem małych słoiczków. – O! I jest dla każdego po jednym... A nie, jednego brakuje.

– Nie pomyślałam, że będziemy zabijać głód – wyjaśniła Anna Strąg przepraszającym tonem. – To miały być prezenty dla was.

– Ty nie będziesz jadła? – zapytał Scott Whitus, nerwowo spoglądając na odliczone szklane pojemniki.

Anna Strąg uśmiechnęła się i wyciągnęła małą łyżeczkę z masy perłowej.

– Ja ponakładam i pozwolę sobie z każdego odłożyć trochę dla siebie. Dobrze?

– Tak, oczywiście, ja się podzielę... – szybko zadeklarował się uspokojony Anglik.

– Mam nadzieję, że się nie obrażicie. W życiu już tak jest, że nie wszystko da się przewidzieć. Wybaczycie?

– Ależ oczywiście.

– Jasne – odpowiedziało kilka osób jednocześnie.

– To ja pootwieram chipsy – stwierdziła Anabell Seseke. – Możemy przeliczyć wartość energetyczną i kaloryczną i podzielić ze względu na wagę ciała...

– Radziłbym usiąść w kręgu... – przerwał jej Scott Whitus – tak by energia przepływająca między nami mogła się kumulować i wzmacniać...

– To ja lepiej poleję na wzmocnienie – zdecydował Tadius Napierała, przerywając z kolei Anglikowi wywód.

– Mnie na dnie – pomachała ręką Anabell Seseke.

– Więcej dla mnie – Polak ucieszył się, pocierając już zaczerwieniony nos. – Żartowałem. Alkoholu nam nie zabraknie, w barku było dużo pozostawionych butelek. Na szczęście to się nie psuje, można pić bezpiecznie – pokazał na butelki likieru pomarańczowego, błękitnego blue curacao, resztkę tequili, ponad połowę martini bianco i butelkę białego rumu.

– Jak to wszystko pomieszamy... – zaśmiała się Anna Strąg, układając krakersy na talerzyku.

– Spokojnie – uśmiechnął się Tadius Napierała. – Zajmę się barem.

Po chwili prawie nie słychać było huku morza, a jedynie gwar rozmawiających jednocześnie ludzi. Wszyscy wkładali do ust krakersy z górkami skropionego cytryną kawioru. Rozmawiali o pogodzie, sytuacji, w jakiej się znaleźli, podobnych historiach z podróży. Ktoś utknął w górach, komuś odleciał samolot, ktoś zgubił się we mgle z pyłu wulkanicznego. Smakowali z zachwytem lub z niepewnością co do własnych odczuć. Niektóre kubki były prawie puste, a niektóre ciągle uzupełniane. Tadius Napierała dbający o drinki nie zapominał o sobie. Nalewając komukolwiek, uzupełniał swój pojemnik prawie do połowy.

– To za spotkanie! – powtarzał raz za razem, wznosząc toast.

– Za Martina – powiedziała Anna Strąg za którymś razem i sprawiła, że wszyscy automatycznie ucichli. Odczekała chwilę i zaczęła. – Cieszę się, że was znam – oświadczyła. – Oczywiście z opowieści mojego męża – dodała, widząc niepewne miny reszty biesiadników. – Wysłał mi zdjęcia. Mówił, kogo spotkał, o czym rozmawiał, więc i ja czuję się, jakbym już wcześniej was poznała – uśmiechnęła się do każdego z osobna. – Byłabym jednak wdzięczna, gdybyście wy również podzielili się ze mną swoimi wspomnieniami. Kim dla was był? Co znaczył? O czym rozmawialiście. Zwyczajnie powiedzcie, jak go zapamiętaliście – dodała, a oni patrzyli po sobie.

– To ja pierwsza – zaczęła Mia Jacobee, jakby się już do tej przemowy przygotowała i chciała mieć to z głowy. – Dla mnie był ważnym przewodnikiem. Powiedziałam mu, że w Tajlandii jestem tylko przejazdem, ponieważ moim głównym celem jest sierociniec w Kambodży. Byłam tam kiedyś wolontariuszką i chciałam zostać nią po raz kolejny. Tym razem na poważnie, a nie tylko wakacyjnie. I on mi powiedział, żebym uważała, bo to czasami szemrane organizacje są. Nastawione na zysk... I nie zawsze ze szczytnymi założeniami – mówiła i coraz bardziej łamał się jej głos. – I ja mu wtedy nie uwierzyłam, powiedziałam, może nawet... wykrzyczałam, że jest bezduszny, że te sieroty potrzebują każdej pomocy, wsparcia, przytu-

lenia, opieki... I ja chciałam, i ja chciałam... chciałam... a potem... to ja... To ja mu nie zdążyłam podziękować... Dziękuję więc teraz. Dziękuję – powiedziała też do Lorenzo, który podał jej papier urwany z rolki toaletowej. Wzięła go z wdzięcznością, przysuwając się bliżej Włocha, który nie miał już się gdzie odsunąć.

– Bardzo słusznie – pokiwał głową Scott Whitus. – Martin był przenikliwym człowiekiem i dobrym obserwatorem – zaczął z poważną miną. – Twój mąż miał rację. I rozgryzł ten niecny proceder. W niektórych krajach jest plaga pseudosierocińców, pełnych wolontariuszy płacących wielkie pieniądze, by być wolontariuszami. Zachodzę w głowę, jak ludzie ciągle nabierają się na tych oszustów.

– Może dlatego, że chcą pomóc – wtrąciła Anna Strag.

– Rozumiem chęć niesienia pomocy – przytaknął dobrotnie – ale nie rozumiem, dlaczego niekompetentne osoby, bez przygotowania pedagogicznego, uważają, że mają podstawy, by zajmować się dziećmi. W swoich krajach nie mają kwalifikacji, ale tutaj już tak. To postkolonialne procesy myślowe...

– Chciała dobrze – warknęła Anabell Seseke, widząc trzęsącą się brodę Mii Jacobee.

– Nie wątpię – uprzejmie zgodził się, spoglądając na Annę Strag. – W życiu powinniśmy kierować się sercem, ale mamy też rozum – dodał, a Anna Strag mu przytaknęła, co zdecydowanie ożywiło wywód. – Co byś powiedziała, gdyby do sierocińca w Niemczech przyjeżdżały osoby do opieki nad dziećmi... zaznaczam, co miesiąc inne. Bawiły się z nimi, przytulały, a potem wyjeżdżały? I były Indianami, Eskimosami, Tauregami, Masajami? Byłoby to dziwne, prawda? – zapytał, przenikliwie mrużąc oczy.

– Masz coś do kolorowych – skrzywiła się Anabell Seseke.

– Nic. Zwróciłbym jednak uwagę na odmienne kultury, zachowania, obyczaje. Niestety, z jakiegoś powodu ludziom Zachodu wydaje się, że choć są obcy kulturowo, to rozumieją więcej, wiedzą więcej i są na wyższym szczeblu rozwoju, ot tak, w każdej dziedzinie – mówił, nie zważając na Mię Jacobee, która zaczęła chlipać i smarkać. – Taki kapitał kultury białego człowieka... Ślepotą kulturową. Postkolonialne myślenie, że...

– Weź przestań się mądrzyć – wzburzył się Tadzium Napierała.

– Mogę przestać, ale taka jest prawda – obruszył się Anglik. – Czasami dobre intencje to nie wszystko. I mówię to ja, który... – zatrzymał się. – A poza tym wydawało mi się, że rząd Australii zawiesił studentom dotacje do takich wolontariatów...

– Ale ja studiowałam w Szwajcarii – jęknęła Mia Jacobee, wycierając nos. Od płaczu trzęsa się już tak, że nie była w stanie wziąć od Tadziuma kubka.

– No właśnie!

– A ty taki święty?! – wykrzyknął Polak, wymachując małym nożykiem, którym wcześniej podważał stary, zassany korek w jednej butelce. – Martin opowiadał mi o takim Angliku, co zasnął w autobusie przytulony do jego torby, a raczej udawał, że śpi, gdy ten się obudził i zobaczył, że trzyma na niej rękę... – oświadczył Tadzium Napierała, mrużąc oczy. – Przypadek? – zapytał z uśmiechem.

– To był nocny autobus! – wykrzyknął Scott Whitus. – A to była miękka torba, którą wcisnął pomiędzy siedzenia!

– Może dlatego, że jej pilnował? – syknęła Anabell Seseke.

– Też tak myślę – pokiwał głową Tadzium Napierała, znacznie więcej razy, niż tego wymagało zwykłe potwierdzenie.

– Sam mu powiedziałem, żeby jej pilnował! – wykrzyknął Anglik. – Jechaliśmy całą noc. I nic mu nie zginęło.

– A o czym rozmawialiście? – zapytała Anna Strag, próbując rozładować kumulujące się napięcie.

– Przecież mówiłem, że to nocny autobus. Ja spałem. Jechałem w tę i z powrotem do Bangkoku po wizę. Przypadkowo mieliśmy miejsca obok siebie.

– I przypadkowo uciekłeś, nie płacąc za taksówkę? – zapytała Anabell. – A do tego nie przyznałeś się, że mnie znasz...

– A może cię nie rozpoznałem?

– A może w ogóle mnie nie widziałeś?! – wrzasnęła Anabell.

– Mówiłem, że było ciemno – powiedział Scott i sam przeraził się swoich słów, bo Niemka przestała oddychać, otworzyła szeroko oczy i wyglądała tak, jakby miała się za chwilę na niego rzucić.

– Mia, mówiłaś mi, że Martin pytał cię o kopalnie? – niespodziewanie wtrącił się Simon Holemans.

– A... – zreflektowała się Australijka, która zdążyła się już trochę uspokoić. – Bo pytał, co studiowałam. Odpowiedziałam, że geologię. Wtedy on, że poznał w Birmie ludzi, którzy uciekli z miasta Hpakant, w stanie Kachin. To tereny cierpiące z powodu walk etnicznych i wojny domowej, gdzie obecnie hunta wojskowa czerpie miliardowe zyski z wydobywania jadeitu i innych kamieni, rubinów, szmaragdów, bursztynów... prowadząc jeden z najdłuższych zbrojnych konfliktów na świecie – wszyscy wpatrywali się w Mia Jacobee z niedowierzaniem, bo mówiła rzeczowo i nie przypominała w niczym dziewczyny, którą zdążyli poznać.

– Szmaragdów? – zainteresowała się Luzi Lu.

– Tak... Ale nieważne. To bogate złoża. W mezozoiku... Nieważne... – machnęła ręką, widząc miny słuchaczy. – Nieważne, to nudny i drażliwy dla mnie temat. I ja mu powiedziałam, że kopalnie to samo zło, nawet nie chcę o tym rozmawiać. A w Birmie najgorzej, co chwilę katastrofa i najwięcej wypadków górniczych na świecie. Powiedziałam wtedy, że ja chcę się zająć... wiadomo...

– Lorenzo, a ty mówiłeś, że dostał coś za antybiotyki. Czy mógł dostać jakiś jadeit albo szmaragd wielkiej wartości? – zapytał Simon Holemans.

– Nie wiem, co to było, powiedział tylko, że to prezent i chce go przewieźć do Polski...

– Dla ciebie – pokiwał głową Tadzio Napierała i spojrzał na Annę Strąg. – Chociaż jesteś byłą żoną, to dla ciebie. Człowiek miał swój honor – Polak mówił coraz bardziej niewyraźnie, pokazując palcem na sufit ze zdjęciami. – I ja też mam swój honor! I wiem, że mam! I powtarzam, że on cię kochał. I ja jestem mu to winien – bełkotał.

– Niestety, nie wiem, co to by mogło być – powiedziała Anna Strąg podniesionym głosem, przerywając pijacki wywód.

– Może miał jakiś szmaragd albo jadeit, który otrzymał za uratowanie zdrowia... na przykład – wtrąciła Mia Jacobee.

– E... to nie czasy szklanych paciorków, które dawało się tubylcom za złoto – oburzyła się Anabell Seseke.

– Właśnie – niespodziewanie przytaknął Scott Whitus. – To niemożliwe, żeby w dzisiejszych czasach ktoś oddał coś cennego, bo nie wie, co to jest. Szczególnie w Birmie, w której o kamieniach i ich wartości dużo się mówi. Myślę, że mają sporą wiedzę bez studiowania w Szwajcarii geologii. Bez urazy, Mia.

– To musiało być coś bardziej osobistego – powiedział Belg, wpatrując się w Annę Strąg.

– Może – odpowiedziała, po czym zaległa cisza, którą przerwało nagłe chrapnięcie Tadzia Napierały. Polak sam się obudził zdziwiony niespodziewanym dźwiękiem, jaki się z niego wydobył. Otrząsnął się, a z ręki wypadł mu mały nożyk, którym wcześniej dłubał w nodze od stołu.

– Ja nie śpię. Ja wiem. O nietoperza chodziło! – wyjaśnił, mrugając rozbieranymi oczami. – I niektórzy z tu obecnych doskonale o tym wiedzą, ale nie powiedzą – dodał, schował nożyk do kieszeni koszuli i wstał, chwiejąc się na nogach.

– Jakiego nietoperza? – spytało kilka osób jednocześnie.

– W kredzie chyba – wybełkotał po polsku. – Ale muszę iść tam, gdzie król piechotę... – oświadczył i z trudem chwytając pion, ruszył w kierunku wyjścia.

– Co on powiedział? – zapytał Simon Holemans, odprowadzając wzrokiem chwiejącego się Polaka.

– Nie wiem – Anna Strąg wzruszyła ramionami. – Kreda to taki biały proszek.

– Niedobrze! – powiedział przestraszony Lorenzo Capella. – Za narkotyki w Tajlandii jest kara śmierci.

– Nie, nie. Taki do pisania po ścianach, jakiej się używało w szkołach – wyjaśniła Anna Strąg uspokajającym głosem. – A może źle coś zrozumiałam – mówiła sama do siebie i spojrzała na Luzi Lu, która właśnie odgoniła ręką coś, co przeleciało jej nad głową.

– A ty, Luzi, jak się poznałaś z Martinem? – zapytała Anna Strąg, patrząc na Węgierkę, ale ta odwróciła głowę i zaczęła niespodziewanie machać obiema rękami.

– Nietoperz! – wrzasnęła, czując jak coś wokół niej się trzepocze, następnie strącone ręką leci na ziemię. Poderwała się na równe nogi i odskoczyła na bok.

– To nie nietoperz – sprostował Scott Whitus, podbiegając. – To ćma.

– Zabij ją – wrzasnęła Luzi Lu, patrząc na leżącego na ziemi owada.

Wszyscy wstali, otaczając kręgiem niezwyklego motyla. Brązowe skrzydła były wielkości dłoni. Wzór wyglądał złowrogo, tak samo jak krawędzie skrzydeł, przypominające głowy węża, szczególnie gdy płatek skrzydła trochę się unosił.

– Nie – zaprotestował Simon Holemans. – To piękny nocny motyl, Pawica atlas. Najprawdopodobniej właśnie umiera – dodał, patrząc, że ćma leży na ziemi i nie ma już siły odlecieć.

– Dlaczego? – jęknęła Australijka.

– Z głodu.

– To może przyniosę jej wody? Co ona je?

– Nic – oświadczył Simon Holemans. – Nie ma aparatu głębowego. Miała jako larwa, a w tej postaci już nie ma. Przepoczwarza się i żyje tylko dwa dni.

– Dwa dni?!

– Dwa, trzy – sprostował Belg. – I musi przez ten czas znaleźć partnera, złożyć jaja. Potem umiera.

– Samica umiera? – zapytała Anabell Seseke, nachylając się nad owadem.

– I samiec, i samica – wyjaśnił Simon Holemans, co wyraźnie uspokoiło Niemkę.

– To lepiej chyba ją zabić – skrzywiła się Luzi Lu. – Niech się nie męczy.

– Nie! – stanowczo zaprotestowała Anna Strąg. Podeszła, podłożyła rękę pod odwłok i uniosła wielkiego motyla. – Nawet jeśli umiera... niech zrobi to na własnych warunkach – stwierdziła, przenosząc ćmę na fotel, na którym jeszcze niedawno siedziała. – Może teraz właśnie wspomina całe swoje życie... – dodała w momencie, w którym niebo rozświetliła trzaskająca błyskawica i rozległ się głośny grzmot.

– To ja może sprawdzę, gdzie jest Polak – stwierdził Simon Holemans. – Lepiej, żeby nie zasnął pod palmą.

– Pójdę z tobą – zadeklarował się Scott Whitus, wstając.

– Nie ma potrzeby – szybko zareagował Belg.

– Uwierz mi, że mój pęcherz ma zupełnie inne zdanie na ten temat – zapewnił Anglik.

– Też idę – dodała Luzi Lu. – Chyba coś mi jednak zaszkodziło – stwierdziła, masując ręką własny brzuch. – Myślę, że już się położę.

– A ja bym jeszcze jednak spróbowała tego likieru – powiedziała Mia Jacobee i spojrzała na Lorenzo Capellę. – A może coś byś zagrał? – dodała, patrząc na futerał z ukulele. Najwyraźniej nie miała ochoty kończyć wieczoru.

– Nie dziś, może jutro – odpowiedział Lorenzo Capella. – Jutro też jest dzień. Jak chcesz, to cię odprowadzę.

– O tak – ucieszyła się, odgarniając włosy z twarzy.

– Racja – kiwnęła głową Anna Strąg. – Mamy też jutrzejszy dzień... – dodała, patrząc ze smutkiem na rozpierzchające się towarzystwo.

– Hej! Posprzątajmy najpierw ten bałagan – zdecydowała Annabel Seseke, patrząc na walające się butelki wokół miejsca, gdzie urzędował Tadius Napierała.

Na jej apel zareagowali najbliżej siedzący Włoch i Australijka. Ale po chwili Mia Jacobee o mało się nie przewróciła, wpadając na wielką kanapę.

– Lepiej ją odprowadź – westchnęła Niemka, patrząc na Lorenzo Capellę. – Ty mi pomożesz! – wykrzyknęła w kierunku wchodzącego Scotta Whitusa, który zamierzał obejść ją szerokim łukiem i podejść do Anny Strąg.

– Oczywiście – powiedział głośno, tak by usłyszała to wpatrująca się w śmę Anna Strąg.

*

Li Pangu leżał na wznak z rozłożonymi na boki rękami i rozsuniętymi nogami. Leżał w samych tylko majtkach. Majtkach, których prawie nie było widać. Pokazywały się, dopiero gdy szczuplutka Chinka unosiła fałdę tłuszczu, by wsunąć pod nią drobną dłoń. Między palcami trzymała wilgotną gąbkę, którą przemywała szpary między warstwami skóry. Po drugiej stronie łóżka była identycznie ubrana druga dziewczyna, która z podobnym pietyzmem unosiła skórę rozciągniętych piersi i zwilżała tors gąbką.

Chińczyk spoglądał na dziewczyny znudzonym wzrokiem. Po chwili wyciągnął przed siebie ręce. Dziewczyny chwyciły je prawie jednocześnie i zaczęły ciągnąć, zapierając się o nogi łóżka. Krople potu wystąpiły na czołach drobnych Chinek, które grymasem uśmiechu maskowały ból, jaki przynosiły ścisłane z całych sił nadgarstki. Podnoszony też się zmęczył, ale w końcu usiadł.

Myjące go dziewczyny odetchnęły i szybko zanurzyły gąbki w porcelanowych misach. Wypłukały je, a po pokoju rozniosła się woń różanej wody, szybko mieszając się z kocim zapachem. Jedna z Chinek zaczęła przemywać fałdy na karku, ale Li Pangu powstrzymał ją, wymierzając w jej oko długim na kilka centymetrów paznokciem.

– Chwila! Najpierw mi je pokaż – zażądał.

Dziewczyna ukloniła się i wycofała. Podeszła do półki, która znajdowała się obok klutek z pozamykanymi śpiącymi kotami, wzięła leżące na niej srebrne lustro na długiej, bogato zdobionej rączce. Automatycznie druga chwyciła zwierciadło w prostokątnej ramie. Bez słowa ustawiała je przed głową Chińczyka. Po chwili ukazało się w nim odbicie ogromnych pleców i fragment wytatuowanego wzoru. Misterny kolorowy rysunek – pięć stylizowanych nietoperzy wokół okrągłej monety z kwadratowym środkiem.

Li Pangu spoglądał na wzór na swojej skórze. Dziewczyna nakierowywała lustro na każdego z nietoperzy z osobna, druga natychmiast pokazywała jego odbicie. Li Pangu zaczął recytować.

– Długowieczność! Bogactwo! Szczęście! Radość! Dobra śmierć! Pięć błogosławieństw...

Rozdział 19

Zwłoki

Anabell Seseke obudziła się bladym świtem. Przez pierwsze sekundy nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Ale po chwili poderwała się i usiadła z wrażenia na łóżku. Tysiące myśli kłębiło się w jej głowie. O co tu chodzi? Co ona tu robi? Czy ustał wiatr? Nienawidziła tego stanu. Postanowiła jak najszybciej wstać, przebiec się, poćwiczyć i oczyścić umysł z natłoku wrażeń.

Na zewnątrz nie padało, choć poranne mgły zasnuły niebo. Wiatr rozwiewał je w kilku kierunkach i choć nie było widać słońca, istniała szansa, że się może pokazać. Morze szumiało, ale niezbyt głośno. Słychać było śpiew ptaków. Szybko się ubrała w sportowy strój i wyszła przed domek. Zbiegła kładką w kierunku hotelowego lobby. Zamierzała sprawdzić, czy ktoś jeszcze się obudził. Wpadła do recepcji, a potem na salę i... stanęła jak wryta. Odłożyła matę do ćwiczeń.

Wszystko, co wczoraj posprząтали, co wrzucili do śmietników, co odłożyli na kontuar, leżało porozrzucając po całej podłodze. Kubki, papierki, butelki wały się wszędzie. Jakby ktoś dokładnie wszystko przeszukiwał, rozrywając na strzępy każde z opakowań. Szła pomiędzy tym bałaganem, ostrożnie stawiając kroki i rozglądając się dookoła. Nagle coś zaszurało. Odwróciła się raptownie i w kącie zobaczyła wyszczerzone zęby. Wrzasnęła, odskakując. Przed sobą miała małą małpę z wytrzeszczonymi oczami. Patrzyła z wściekłością i strachem i piszczała niewiarygodnym cienkim głosem. Anabell Seseke była na tyle przytomna, by wiedzieć, że stoi metr od przerażonego małpiątka i zaraz pojawi się matka. Nie trzeba było na nią długo czekać. Zeskoczyła gdzieś z sufitu, odbiła się od portretu i znalazła przy swoim dziecku, które natychmiast wskoczyło jej na plecy. Duża samica zaczęła piszczeć powtarzającym się świrdującym powietrze dźwiękiem, pokazując przy tym dziąsła i szczerząc długie kły. Anabell Seseke zrobiła kilka kroków do tyłu. Za sobą miała kanapę i ławę. Musiała ją okrążyć. Z rozwścieczoną małpą nie było żartów. Potrafiła boleśnie pogryźć. Niemka zaczęła się rozglądać za czymś, co mogłaby chwycić. Zauważyła tylko pozostawiony przez Włocha futerał z ukelele. Nachyliła się, patrząc przez cały czas w oczy syczącej małpy, do której dołączyły dwie następne. Mimo że trzymały się na większą odległość, syczały i piszczały tak samo, pokazując równie ostre kły. Podskakiwały, robiąc krok do przodu i do tyłu. Anabell Seseke chwyciła futerał. Zaczęła nim wywijać, robiąc jak największe zamachy. Jednocześnie przesuwiała się, tak by utorować małpom drogę ucieczki. Zadziałało. Po chwili patrzyła, jak matka z dzieckiem na plecach czmycha w kierunku rosnącej za domkami dżungli. Odetchnęła głęboko i z matą w ręku ruszyła w kierunku morza.

Był odpływ. Morze wyrzuciło na plażę stare deski, kilka omszałych plastikowych butelek, sporo muszli i... jeden kłapek. Była pewna, że należy do Mii Jacobee. Ucieszona ze znaleziska, podniosła go i odłożyła w bezpieczniejsze miejsce, by fale nie zabrały go z powrotem. Rozłożyła matę i usiadła na niej, wdychając powietrze nasączone morską bryzą. Wiatr gładził skórę na jej głowie. Zaczęła się rozciągać. Najpierw w pozycji siedzącej, potem klęczącej. Wykonała kilkanaście skrętów i zamachów. Następnie wsparła się na rękach i nogach, jednocześnie unosząc wysoko pupę. Zastygła w pozycji psa z głową w dół, napinając mięśnie kręgosłupa i nóg. Patrzyła na piasek, własne kostki i kraby. Te, uspokojone jej bezruchem, zaczęły wychodzić z wydrążonych w piasku dziurek, wyrzucając małe kulki z toczonych korytarzy. Obserwowała jednego, który ruszył w kierunku jej rozstawionych stóp, ale jej uwagę przykuł dziwny kształt na dalekim drugim planie. Wyteżała wzrok, przyglądając się temu czemuś. Jako że patrzyła na świat do góry nogami, chwilę trwało, nim się domyśliła. Opadła na matę, jakby ktoś podciął jej ścięgna. Po sekundzie poderwała się i odruchowo zrobiła kilka nieporadnych kroków w tył. Jakby chciała być dalej od tego, co widzi. Ale od tego nie dało się uciec.

Na plaży leżało ciało kobiety. Bezwładnie, z rozłożonymi rękami, w pozycji, w jakiej nikt się nie opala. Z daleka wyglądała jak Luzi Lu. Jej czarne włosy wytarzane były w piasku. Stopy obmywały fale. Anabell Seseke biegła co sił i na ostatnich metrach odruchowo zwolniła. To nie była Węgierka. Z bliska widziała dokładnie, że leży przed nią skośnooka dziewczyna. Nachyliła się niepewnie, nie wiedząc, czy powinna ją dotykać czy nie. Ale zobaczyła, że jej klatka piersiowa lekko się unosi. Ledwie zauważalnie, ale oddychała.

– Hej! Nic ci nie jest? – zaczęła pytać, podnosząc ją za ramiona. – Dobrze się czujesz? Kim ty jesteś? Co się stało? – szarpana dziewczyna zaczęła powoli podnosić powieki.

– Łódź – powiedziała, podnosząc rękę w kierunku morza.

Dopiero teraz Anabell Seseke dojrzała zaryty w piasku kadłub, który utknął pomiędzy dwoma wystającymi z wody czarnymi głazami.

– Rozbitek! – krzyknęła na cały głos Anabell Seseke. – O mój Boże! Był ktoś jeszcze z tobą?! – zapytała i zaczęła się rozglądać.

Dziewczyna zaprzeczyła.

– Jak się nazywasz?

– Nejm – odpowiedziała zachrypniętym głosem i dopiero wtedy Niemka zobaczyła, że dziewczyna ma zupełnie blade usta.

– Tak, Nejm, ale jak?

– Wong-Wai.

– Pomocy! – zaczęła krzyczeć Anabell Seseke, rozglądając się dookoła. – Pomocy! Niech ktoś tu do mnie przyjdzie! – krzyczała i nie czekając, wzięła dziewczynę na ręce i zaczęła nieść przed sobą. – Zaraz. Zaraz. Pomocy!

Krzyknęła jeszcze kilka razy, zanim z domku wybiegł Simon Holemans, wyszedł też zaspany Lorenzo Capella, a przez okno wyjrzała Anna Strąg.

Po chwili dziewczyna leżała na jednej z kanap na tle przedstawienia z syreną. Belg pomógł ją ułożyć, Włoch okrywał ręcznikiem.

– Kim ona jest? – dopytywała się Anna Strąg, poprawiając pasek czarnego jedwabnego szlafroka. – Skąd się tu wzięła?

– Przyplłynęła łódką.

– To dziewczyna Polaka – wyjaśnił Belg.

– A nie mówiłem, że mam pecha – powiedział Włoch pod nosem i przykrył ją jeszcze swoją bluzą, uważając, by zimny suwak nie dotykał jej ciała. – Wyziębiła się w tej wodzie...

– Mocno zdesperowana – skwitowała Niemka.

– Musi jej zależeć – westchnął Lorenzo Capella. – Skoro wybrała się w taką pogodę...

– Wygląda na to, że bardzo – potwierdził Simon Holemans, drapiąc się po głowie.

– To ja po niego pójde – zadeklarowała się Anabell Seseke.

– Na pewno chce się jej pić. Może jest głodna – mówiła Anna Strąg, trzymając szklankę z wodą.

– Ugotuję jej spaghetti – błyskawicznie zaofiarował się Lorenzo Capella, który siedząc u wezglowia, zajmował się strzepywaniem piasku z włosów dziewczyny. Tajka spojrzała na niego z wdzięcznością. – Z owocami morza – dodał prawie szeptem.

– Zrób od razu dla wszystkich – rzuciła Anabell Seseke, wychodząc.

Niemka nie pamiętała dokładnie, gdzie kto mieszka, ale zdawało się jej, że Polaka trzeba szukać za domkiem Scotta Whitusa. Ten zapamiętała tak na wszelki wypadek, by mieć Anglika na oku. Nie ufała mu i nie wierzyła w żadne słowo, które powiedział. Najchętniej by go zdzieliła i dowiedziała się, o co chodzi, ale obiecała sobie i swojemu terapeutce, że nie będzie stosować przemocy wobec amatorów.

Minęła więc domek Scotta Whitusa, odwracając głowę. I ruszyła dalej. Nie pomyliła się. Przed wejściowym tarasem wisiała koszula z Lewandowskim na plecach. Podbiegła i zaczęła pukać. Nikt jednak nie

otwierał.

– Tadziu! – próbowała wymówić, ale się poddała. – Polaku! Człowieku z Polski! Obudź się! – zaczęła walić w okno, ale również bezskutecznie, było zamknięte. Polak mógł mieć mocny sen, szczególnie że był bardzo pijany, jak kładł się spać. Chwyliła za klamkę, ale ta nie puściła. – Polaku! Otwórz!

– Czego tak wrzeszczysz?! – na sąsiednim tarasie pojawił się zaspany Scott Whitus. Wszedł przewiązany ręcznikiem w pasie. Przeciągnął się, po czym wystawił twarz w kierunku przebijającego się słońca. – Ale dobrze, że mnie obudziłaś. Powitajmy nowy, lepszy dzień – oświadczył i uklonił się słońcu.

– Tadziu, otwórz! Wstawaj. Dzień dobry!

– Możesz wyzywać się na bardziej oddalonych ode mnie drzwiach? – zapytał, skręcając ciało w różnych pozycjach. W odpowiedzi Anabell Seseke zaczęła walić jeszcze mocniej i krzyczeć jeszcze głośniejsze.

– Obudź się! Dziewczyna do ciebie przypląnęła! Wstawaj!

– Jaka dziewczyna? – zainteresował się Anglik. – Skąd?

– Z wody – odburknęła. – Syrena jakaś pewnie.

– Jak przypląnęła?! – wykrzyknął Scott Whitus, jakby dopiero teraz dotarło do niego znaczenie wypowiedzianych słów. Automatycznie przestał się przeciągać.

– No chyba nie wplaw. Polaku! Otwórz!

– Może zapukam z drugiej strony. Od tego małego basenu – zadeklarował się Anglik, podążając kładką w kierunku domku Tadzia Napierały.

– Sama mogę tam przejść – zachnęła się Anabell Seseke. Ruszyła i po chwili wrzasnęła, po czym zaczęła biegać wzdłuż krawędzi basenu i rzucać przekleństwami we wszystkich znanych jej językach. Anglik podszedł niepewnie i zatrzymał się przed krawędzią. Basen przylegał do tarasu i miał niewiele więcej niż dwa metry na pięć. Był nieposprzątny. Kilku pnączom udało się spuścić po pełnych zacieków ścianach. Na dnie leżało kilka warstw uschniętych liści, parę styropianowych jednorazowych opakowań, orzech kokosowy, który zdążył wystrzelić zieloną kiścią do góry, a na samym środku leżał Polak. Był nagi. Widać było jego plecy i pośladki.

– O, kurwa! – wymknęło się Anglikowi, kiedy zobaczył gołego Tadzia Napierałę leżącego twarzą do ziemi.

– To polskie przekleństwo? – zdziwiła się Anabell Seseke.

– Chyba na miejscu – odpowiedział Scott Whitus.

– Nie żyje? – zapytała zszokowana Anabell Seseke, trzymając w dłoniach swą łysą głowę.

– Nie wiem – odpowiedział jej Anglik. – E... pewnie jest pijany – dodał, wrzeszcząc ramionami. – Może chciał popływać i zapomniał, że nie ma wody – stwierdził, patrząc na gołe, owłosione pośladki. – To się często zdarza.

– Zapomniał też majtek!

– Może mu się coś przyśniło. A teraz zasnął, tak...

– To niezbyt wygodna pozycja – stwierdziła przerażona Anabell Seseke. – Może wpadł i złamał kark.

– Chodzi o wiotkość mięśni i plastyczność ciała. Na YouTubie możesz zobaczyć spitusów w jeszcze bardziej wymyślnych pozycjach. Nie martw się. Tacy rzadko robią sobie krzywdę.

– Ale nie jesteśmy na YouTubie! – wrzasnęła. – Trzeba mu pomóc, bo się udusi – stwierdziła Anabell Seseke, spuszcżając nogi, by wskoczyć do pustego basenu.

– Poczekaj – powstrzymał ją Scott Whitus. – Sprawdźmy, czy pod tymi liśćmi nie ma jakiegoś paskudztwa. Idę założyć buty.

Anabell Seseke skrzywiła się, błyskawicznie wyciągnęła nogi, rezygnując z wejścia do basenu. Ale z nerwów nie mogła stać beczynn timer. Rozejrzała się dookoła. Zobaczyła leżącą na ziemi gałąź. Była dostatecznie długa, by zacząć nią szturchać leżącego półtora metra niżej Polaka. Chwyliła ją, lecz po chwili odrzuciła na bok, widząc łążącego po niej pająka.

– Co?! Poruszył się? – zapytał Scott Whitus.

Niemka zaprzeczyła.

Anglik był nadal w ręczniku, ale w butach za kostkę. Wziął gałąź i zaczął przetrząsać leżące na płytkach liście. Poza małymi owadami i mrówkami nic nie wylazło ani nie wypełzło. Usiadł na rancie i ostrożnie zsunął się do środka.

– Eee... jest ciepły – powiedział, dotykając jego ręki.

– Bo jest ciepło! – wrzasnęła Anabell Seseke. – Odwróć go. Tak nie może oddychać.

Scott Whitus podszedł bliżej Polaka, chwycił go pod ramiona i lekko uniośł.

– Obudź się! Wstawaj, już rano! – krzyczał, potrząsał nim, ale bezskutecznie. Chwycił go ręką za bark, drugą podłożył pod pierś i chciał obrócić, ale zrobił to na tyle nieumiejętnie, że Polak wysliznął mu się z rąk i upadł na ziemię. Scott Whitus otarł ręką spocone czoło i dokładnie w momencie, w którym poczuł lekką maź na skórze, Anabell Seseke zaczęła wrzeszczeć.

– Krew! Krew! Krew! On krwawi!

Scott Whitus zobaczył czerwone, rozmazane smugi na dłoniach. Poprzyglądał im się, a po chwili nerwowo je wycierał w opasujący go biały ręcznik. Przeżaszony, zaczął się cofać, w końcu poczuł ścianę basenu. Próbował z niego wyjść. Chwycił się rantu, ale szamotał się tak nerwowo, że śliska od wilgoci krawędź wymykała mu się z rąk. Nie mógł się podciągnąć. Jedyne, co zrobił, to bezradnie majtał nogami, próbując przytrzymać zsuwający się ręcznik.

– Nie wychodź! Pomóż mu! – krzyczała Niemka. – Może się skaleczył przy upadku. Wykrwawi się! Obróć go!

– Sama go sobie obróć! – wrzasnął Scott Whitus.

– Co się stało?! – zapytała Luzi Lu, która wyszła na przeciwległy taras w klapkach ze złotymi pomponami, krótkiej piżamie z Wonder Women i zsuniętej z oczu na czoło samolotowej opasce do spania. – Dlaczego tak krzyczycie? – zapytała i zaczęła iść w ich kierunku, jednocześnie ściągając gumkę włosy.

– Krew! On leży w dole! Polak leży! Chyba nie żyje! – wrzeszczała Anabell Seseke.

– Wyciągnij mnie stąd! – darł się Scott Whitus.

Węgierka kręciła się, nie wiedząc, skąd dobiegał głos Anglika. Dopiero po chwili zobaczyła wystającą z basenu głowę. Podała mu rękę i to wystarczyło, żeby roztrzęsiony Anglik wyszedł, podciągając upačkany smugami krwi ręcznik.

W przeciwieństwie do roztrzęsionej dwójki, Luzi Lu weszła bez zastanowienia do pustego basenu, człapiąc po liściach klapkami ze złotymi pomponami.

– Teraz wpadł? – zapytała, podchodząc ostrożnie do leżącego.

– Nie. Jak przyszłam, już tam leżał – wyjaśniła Anabell Seseke, patrząc na Anglika, który z obłędem w oczach oglądał swoje zakrwawione ręce i poplamiony ręcznik.

Luzi Lu chwyciła Tadzia Napierałę za nadgarstek. Obeszła go i zaczęła ciągnąć, obracając z brzucha na plecy.

– Czy on nie żyje? Wszystko z nim w porządku? – dopytywała Anabell Seseke.

– Nie wiem. Chyba nie żyje. Albo jest nieprzytomny – oceniała Węgierka.

– Wiedziałem! – krzyczał Anglik, kręcąc się w kółko. – Wiedziałem! Wiedziałem! A nie mówiłem! Nie mówiłem! Nikt mi nie wierzył, a ja mówiłem!

– Uspokój się! – wrzasnęła Niemka, ale gdy spojrzała na Węgierkę, sama poczuła, jak krew napływa jej do skroni, a żołądek podchodzi do gardła.

Luzi Lu odwróciła Polaka i pokazywała palcem na mały nożyk, którego sterczący trzonek wystawał z klatki piersiowej Tadzia Napierały. Chwyciła za nóż...

– Nie ruszaj go! Będzie krwotok! Potrzebna jest pomoc. Pogotowie! – wołała Anabell Seseke.

– Pogotowie?! Tu?! Chyba nie wiesz, co mówisz – prychnął Scott Whitus i przykucnął. Kręcąc głową, schował twarz w dłoniach i pojękiwał.

– Nie będzie potrzebne. Przynajmniej nie muszą się spieszyć. On nie żyje – stwierdziła Luzi Lu.

– Ale przecież był ciepły...

– To znaczy, że krótko nie żyje – sprecyzowała.

– Wiedziałem! Wiedziałem! Wszyscy zginiemy! Wiedziałem!

Krzyki sprawiły, że w stronę domku Tadzia Napierały biegli Anna Strąg w czarnym szlafroku i Simon Holemans w spranej koszulce i rozsypanych we wszystkich kierunkach dredach.

– Co się stało? Dlaczego tak krzyczycie?

– Dlatego, że ktoś nie żyje! – wydarł się Scott Whitus, odskakując od Anny Strąg na znaczną odległość. Zaczął się jej przyglądać, jakby znowu zobaczył ją po raz pierwszy. Odsunął się jeszcze dalej i zaczął celować w nią wyciągniętym palcem. – Mówiłem, żeby zostawić ją związaną! Mówiłem! Ale nikt mnie nie słucha! Nikt!

– Co się stało? – zapytała Anna Strąg spokojnym głosem.

– Wszystkich omotałaś! – wrzasnął Scott Whitus. – Ale ja ci nie uwierzyłem! Ja wiedziałem od początku, że to ty jesteś tą ogrzycą! Przyznaj się! Przyznaj! Zwabiłaś nas, a teraz będziesz zabijać po kolei – krzyczał histerycznie, wymachując rękami. – Zwiążcie ją, zanim będzie za późno! Zwiążcie ją!

– Proszę cię... – Anna Strąg próbowała podejść.

– Nie podchodź. Ja się ciebie boję!

– Uspokój się! – prychnął zbliżający się Simon Holemans. – Ręcznik ci spada – dodał, pokazując na widoczne już włosy łonowe.

Anna Strąg patrzyła z przerażeniem na Scotta Whitusa poprawiającego umazany smugami krwi ręcznik, ale jeszcze szerzej otworzyła oczy, widząc gołego Tadzia Napierałę na dnie basenu. Widok był nierzeczywisty i kuriozalny. Nagi, chudy, umięśniony mężczyzna leżał wśród suchych liści, gałęzi i śmieci. Pod głową miał styropianowe pudełko, a na przyrodzeniu jeden, duży, uschnięty liść.

– Ja to położyłam, teraz – oświadczyła Luzi Lu, widząc wzrok Anny Strąg utkwiony w przybrane krocze.

– Nie chciałam, żeby tak leżał. Ale jeśli nie wolno, to mogę... – już się nachyliła, aby zdjąć liść.

– Nie! Nie! – powstrzymała ją Anna Strąg.

– A ten nóż? – zapytał Simon Holemans, pokazując na trzonek tkwiący w klatce piersiowej.

– Nie, on już tu był – usłyszał, wchodząc do basenu.

– Co tu się stało? – zapytała Anna Strąg, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Ty nam powiedz! – wykrzyknął Scott Whitus. – Chcesz nas tu wszystkich pozabijać. Wszystkich po kolei. Naczytałaś się tej Agathy Christie. Tych dziesięciu morderczych murzynków...

– To od dawna ma inny tytuł – poprawiła go Anabell Seseke, czując, jak zaczynają jej się trząść ręce. Przez nerwy od samego rana zaczynała tracić panowanie nad sobą. Najchętniej znalazłaby jakiś worek, by móc solidnie obijać go przez dobrą godzinę, ale żadnego worka nie było... – popatrzyła na Anglika.

– Jakie to ma znaczenie! Dziesięciu murzynków czy dziesięciu żołnierzyków? – utyskiwał Scott Whitus.

– Dla całej społeczności ma – stwierdziła Anabell Seseke, podchodząc szybciej, niż się Anglik spodziewał.

– Albo całej armii! Jeśli to żołnierze. Przestań być taka przewrażliwiona!

– Znowu mnie sprowokowałaś – syknęła Anabell Seseke, chwyciła go za rękę i wykręciła mu ją tak, że musiał zgiąć się w pół.

– Ją obezwładnij, a nie mnie! – wrzeszczał Scott Whitus. Niemka nie puszczała. – Zostaw mnie! – krzyczał.

– Jaki jest poprawny tytuł?!

– Czego?

– Naprawdę chcesz mnie zirytować. Naprawdę?! – dopytywała, kręcąc łysą głową, tak by podążać wzrokiem za wyginającym się Scottem Whitusem.

– Przecież już mówiłem!

Simon Holemans zignorował przepychanki na kładce. Nim podszedł do leżącego na ziemi Tadzia Napierały, rozglądał się uważnie po wnętrzu basenu.

– Czy ktoś go ruszał?

– Ja – odpowiedziała Węgierka. – Oni mi kazali – wskazała na szamoczącą się parę.

– Myśleliśmy, że może wpadł pijany... – wyjaśniła Niemka.

– A kto go znalazł pierwszy?

– Ona! – wrzasnął Scott Whitus. – Ona go pierwsza znalazła! – Anabell Seseke z wrażenia puściła wykręcaną rękę Anglika.

– Sekundę przed tobą – oświadczyła wyraźnie zaskoczona tym, co usłyszała.

– Może sekundę, a może nie – odskoczył uwolniony Scott Whitus. – Przyszłaś do niego i waliłaś do drzwi. I mnie obudziłaś... Kto wie... może wcześniej go zepchnęłaś. A dopiero potem zaczęłaś pukać!

– Dlaczego miałabym to robić?

– Bo cię zdenerwowałam! – zaśmiał się Anglik. – Bo uważasz, że możesz! Wykręcasz ludziom ręce, a może, może... może... – pokazał na Annę Strąg – jesteś jej prawą ręką od brudnej roboty! – dodał i odskoczył. – Może jesteście w zмовie. Belgu! – zwrócił się do Simona Holemansa – jak ja przyszedłem, to ona stała pod jego drzwiami, a on – pokazał na ciało – leżał już w tym dole. Wystarczyło poczekać, aż się wykrwawi, i dopiero zacząć pukać.

– A ty najbliżej mieszkasz! – wykrzyknęła Anabell Seseke, łapiąc powietrze jak ryba. – To ty! Mogłeś go zepchnąć w każdym dowolnym momencie. Czekać w oknie i patrzeć, kto pierwszy odnajdzie zwłoki – odgryzła się i widząc minę Anglika, z zadowoleniem zaplotła ręce na piersiach. – Ranny ptaszek z ciebie. Bardzo szybko wstałeś!

– Bo wrzeszczałaś, jakby ktoś cię obdzierał ze skóry!

– Ja mam świadków, że mnie tu nie było, a ty masz?!

– Uspokójcie się! – krzyknęła Luzi Lu. – Przecież to mógł być wypadek. Przecież on miał ten nożyk w kieszonce koszuli na piersiach... Pamiętam, jak z nim wychodził.

– Ale teraz nie ma koszuli – stwierdził Simon Holemans, obchodząc ciało dookoła.

– Czy to mógł być wypadek? – zapytała Anna Strąg ledwo słyszalnym głosem.

– Mógł – odparł Simon Holemans.

– A mógł go ktoś zabić?

– Mógł – dodał, przyglądając się leżącemu ciału. – Ale nie mamy dowodów ani na jedną tezę, ani na drugą – podszedł do rantu basenu i przyjrzał się framudze pomiędzy płytkami. Był na nim rozmyty fragment krwi.

– Być może deszcz zmył większość śladów. Prawdopodobne jest jednak, że uderzył się w głowę i wpadł – pokazał na rozcięcie nad czołem Tadzia Napierały, do którego przylepiła się styropianowa tacka. Simon Holemans zmierzył krokami odległość głowy od poplamionego krwią kantu basenu. – Ale jak mógł tak upaść? – zaczął głośno się zastanawiać. – Ktoś go ruszał?

– Ja go przekreśliłam na plecy – przyznała się Luzi Lu. – Oni mi kazali – oświadczyła, wskazując palcem na Anabell Seseke i Scotta Whitusa.

– My? – zapytali jednocześnie.

– Miałaś sprawdzić, czy oddycha.

– Sama go odwróciłaś – dodała Anabell Seseke.

- Leżał twarzą do dołu? - zapytał Simon Holemans. Cała trójka przytaknęła. - Czyli mógł się pośliznąć.
- I wbił sobie nóż w samo serce - zaśmiał się Scott Whitus. - Bo trzymał go tuż przy sercu. Co za pech!
- drwił, machając rękami.

- Mało to prawdopodobne, ale prawdopodobne. Jak leżała ręka? - zapytał Simon Holemans. - Prawa, bo był praworęczny. Jeśli więc wyszedł na zewnątrz, szukając czegoś lub kogoś... - głośno się zastanawiał - ...ktoś go wywabiał ze środka, a może coś... Jak leżała ręka? Pod ciałem? Obok? To bardzo ważne.

- Obok - powiedziała Anabell Seseke. Anglik zamknął oczy, mocno ściskając powieki i chwilę sobie przypominał.

- Pod ciałem - stwierdził z przekonaniem. - Ale ona go później przekreśliła - pokazał na Węgierkę.

- Ty go ruszałeś pierwszy! - wrzasnęła Luzi Lu i wyglądała jak mały drapieżny kot, który zaraz rzuci się mu do gardła. Zrobiła nawet dwa kroki do przodu. Scott Whitus cofał się, aż wpadł na Annę Strąg. Stała bez ruchu, wpatrując się w leżące na dnie basenu ciało. Była blada, miała spuszczoną głowę, wyglądała na bezradną i znacznie starszą niż do tej pory.

- Uważaj - powiedziała, a Anglik odskoczył jak oparzony.

- Grozisz mi?!

- Uważaj, bo zaraz spadniesz - powiedziała i pokazała na skraj kładki. Dobry krok dzielił go od upadku w tył. Nie było wysoko. W tym miejscu kładka unosiła się pół metra nad ziemią. Ale upadek z niej nie byłby przyjemny.

- Nie uda ci się mnie zrzucić! - oświadczył, przesuając się na znaczną odległość. - Zwiążmy ją! - przypomniał sobie, pokazując na bladą Annę Strąg. - Zwiążmy i zamknijmy. To jej sprawka! Chce, byśmy przetrzucali siebie oskarżeniami. Wymyślali historie. Kto pierwszy? Kto mógł?

- Opanuj się! - krzyknęła Anabell Seseke.

- Nie widzisz, że ona chce nas skłócić! - jęknął Scott Wchitus, składając ręce jak do modlitwy. - Zrozum...

- Nie było jej, jak cię poznałam bliżej.

- No właśnie! - wykrzyknął. - W ogóle by nas tu nie było! Nie znałbym ciebie! A on by żył! - Scott Whitus pokazał palcem na leżące w basenie ciało, któremu ciągle przyglądał się Simon Holemans. - Powiedz. Pierwszy z głowy? - spojrział na Annę Strąg. - Powiedz!

- Ja? - blada Anna Strąg pokazała na siebie. - Jak?

- Dokładnie tak! - pokazał na leżące ciało. - Zawołałaś go sobie, po polsku... jakoś tak - zaczął przedrżniać szeleszczące dźwięki. - On wyszedł. A potem ciach! Zepchnięcie pijanego do pustego basenu, na śliskiej posadzce... Nic trudnego. Nawet tobie by się to udało. I mogło się udać za pierwszym razem. Ale pijak walnął się w głowę, a potem rąbnął o ziemię i ciągle dychał. Więc wskoczyłaś do nieprzytomnego, może go nawet uspokoiłaś pięknymi słowami, jakimś szeleszczącym wierszem do ucha. Szy, szy szy, szu, szu, szu... Mówiłaś, że chcesz mu pomóc, bo przecież wiesz, co powiedzieć i co człowiek chce usłyszeć, a potem wbiłaś mu ten nożyk w samo serce. Ani pisnął, jak zmarł...

- To mógł być każdy - przerwał mu Simon Holemans.

- Czyli z nią teraz siedem osób?! - warknął Scott Whitus. - Tak dokładnie chce, żebyśmy myśleli. Rozmydlić winę na wszystkich... Nie jedna ona zabiła, tylko siedem osób jest podejrzanych...

- Nawet osiem - dodał Belg, a Anglik zamilkł, próbując liczyć w myślach.

- Ale ta Tajka leżała na plaży - stwierdziła Anabell Seseke. - Nieprzytomna...

- Ale nie wiadomo, jak długo była taka nieprzytomna. - Simon Holemans nachylił się nad ciałem. On zmarł najdalej godzinę temu...

Wszyscy popatrzyli po sobie.

- Ale kim ona jest? - zaczął dopytywać Scott Whitus.

- Jego dziewczyną - oświadczyła Anabell Seseke.

– Jego? – zdziwił się Anglik. – Nie wiem, o co tu chodzi. Ale... – zaczął nerwowo kręcić głową. – Tak czy inaczej, ja godzinę temu spałem...

– Jak wszyscy – stwierdziła Luzi Lu.

– Nie – stwierdził Simon Holemans, drapiąc się w przestrzenie między rzędami spiętych dredów. – Ktoś nie spał... Musimy tylko dowiedzieć się kto...

– Kto? – spytała Anabell Seseke.

– Jeszcze nie wiem, ale się dowiem – stwierdził były detektyw. – A teraz musimy go stąd zabrać.

– A ty kim tak naprawdę jesteś? Bo chyba nie hodowcą koralii? – zainteresowała się Węgierka, zadzierając głowę.

– Wszystko w swoim czasie...

– A nie powinniśmy czekać na przyjazd policji? – wtrąciła się Anna Strąg.

– Powinniśmy, ale nie wiadomo, jak długo mielibyśmy czekać. A nie może tak tu leżeć w tym upale, w pobliżu dżungli – stwierdził, spoglądając na porośnięte tropikalną roślinnością wzgórze. – Tu mieszka dużo zwierząt i nic się nie marnuje – dodał, mrużąc oczy. Wszyscy podążyli za jego wzrokiem. Pomiędzy drzewami rzeczywiście coś zaszurało i poruszyło ściółką. Mogły to być jakieś goniące gryzonie, ale równie dobrze coś, co nie żywi się owocami. Wszyscy wpatrywali się w chaszczę, które jeszcze dwa razy drgnęły.

– Co to było? – zapytała Anna Strąg.

– Moim zdaniem jakaś wielka jaszczurka – wyjaśnił Simon Holemans.

– Idzie do nas?

– Nie do nas – odpowiedział, pokazując na Tadzia Napierałę. – Do niego. Tutejsza policja ma niezawodny sposób na poszukiwanie ludzkich zwłok. Warany zwęszą padlinę z wielkiej odległości. Znajdą ją zawsze i nie wybrzydzą nad truchłem. Może być ludzkie – mówił, patrząc na zarośla, a potem na ciało Tadzia Napierały. – I zatrą wszystkie ślady co do ostatniej kości.

– O Boże! – jęknęła Anna Strąg, która zrobiła się tak blada, że już nie widać było linii ust.

– Dlatego musimy go zabrać ze sobą. Żywych ludzi jaszczury unikają.

– Jest tu jedna taka duża lodówka. Może działa – przypomniała sobie Anabell Seseke.

– Idę umyć ręce – dodała Luzi Lu, bez trudu podciągając się na rancie basenu. Kiedy wychodziła, spadł jej kłapek, ale Belg szybko go jej podał. Podziękowała i kiwnęła ręką w kierunku Scotta Whitusa. – I masz rację. Teraz już nie powinniśmy się rozdzielać. Lepiej mieć siebie nawzajem... na oku – Anglik popatrzył z wdzięcznością na Węgierkę i od razu chciał się trzymać blisko niej.

– Chodź tu. Pomóż mi – krzyknął za nim Simon Holemans.

– Ja go nie niosę!

– Niesiesz! – warknęła Anabell Seseke. – Znajdę jakieś prześcieradło...

– Najpierw zróbmy zdjęcia. Czy ktoś może przynieść mój telefon – poprosił Simon Holemans.

– Przyniosę swój – zadeklarowała się Węgierka, ruszając w kierunku domku.

– Musimy zrobić zdjęcia i... zabezpieczyć... miejsce zbrodni – powiedział sam do siebie, spoglądając ze smutkiem na ciało Tadzia Napierały.

*

Porucznik Surasak Jintana leżał na hamaku, patrząc w niebo. Pierzaste smugi zasłaniały słońce. Pod jego zwisającą bezwładnie rękę podchodził mały szczeniak i hardo zaczepiał głaszczące go palce. Porucznik przebierał nimi i prowokował psiaka do zabawy. Wiatr zelżał, robiło się cieplej, co znaczyło, że smoczy wiatr ustał, ale jeszcze nie na tyle, by dotarł do nich sygnał o uruchomieniu promów czy speedboutów. Musiał czekać, tak samo jak wszyscy. Również ci uwięzieni na wyspie.

Jeden z policjantów przywiózł mu zupełne śniadanie. Zjadł rozgrzewający mięsny wywar z ryżem i bujał się, słuchając opowieści dwóch funkcjonariuszy, którzy przeżywali wczorajszą imprezę. Pogoda

sprawiła, że nie było sztucznych ogni, ale i tak przerzucali się ekscytującymi historyjkami. Było na co popatrzeć. Śpiewające gwiazdy telewizji mogli oglądać na żywo. Pod koniec wieczoru były solidnie wstawione, co tylko ubarwiało radosne opowieści. Przerzucali się nazwiskami popularnych aktorów i piosenkarzy.

Porucznik słuchał z umiarkowanym zainteresowaniem, bardziej zajmowała go próba chwycenia szczeciaka za uciekający ogon. Dopiero gdy zaczęli mówić o potencjalnym zaginięciu kogoś z ekipy, przestał się bawić z pieskiem, a zaczął słuchać z uwagą, prosząc o powtórzenie całej historii. Okazało się, że po oficjalnej prezentacji gwiazd nowego serialu odbył się koncert znanego tajskiego zespołu reggae Jo2Do. Niezwykle popularna gwiazda tajskich telenoweli Piczaja szalała pod sceną, czym wzbudziła zazdrość nowego narzeczonego, który poczuł się zagrożony przez basistę. Po odstawieniu sceny zazdrości zniknęła na jakiś czas i był przez wszystkich poszukiwany. Wreszcie znalazł się w czyjejs sypialni, co zwiastowało skandal na pierwsze strony plotkarskich portali. Młodzi policjanci zastanawiali się, czyja to mogła być sypialnia, ale dla porucznika Surasaka Jintany było to zupełnie obojętne. Przestał się bujać w hamaku, gdy usłyszał o łódce. Początkowo myślano, że zrozpaczona gwiazdka wsiadła na łódkę i popłynęła wprost na wzburzone morze, co miało niby wyrzucić dramatyczne wrażenie na wszystkich obecnych, a przede wszystkim na Piczai. Niektórzy uważali, że to celowe zachowanie, obliczone na efekt, inni, że to zwyczajna głupota i przypadkowe zaśnięcie w łódce, która urwała się z kotwicy i podryfowała na pełne morze.

Surasak Jintana stał już na równych nogach, pytając, czy łódka się znalazła. Z tego, co było policjantom wiadome, znalazł się tylko narzeczony, łódź nie. Poza tym nikt nie był pewien, kiedy tak dokładnie ta łódź wypłynęła, gdyż cała ochrona była skupiona na witaniu gości i zabezpieczeniu terenu.

Nie czekał już na koniec opowieści.

– Kluczyk – zażądał, wyciągając rękę w kierunku zdziwionego policjanta.

Po chwili gnał już na motorze do ekskluzywnego resortu na wyspie Ko Mak.

Wyspa była mała. Po pięciu minutach dotarł do głównego skrzyżowania, a po trzynastu wjeżdżał na parking resortu. Minął strażnika przy budce wjazdowej, któremu ani na myśl nie przyszło zatrzymywanie wysokiego rangą policjanta. Zostawił motor i ruszył pomiędzy fantazyjnie przyciętymi krzewami, równiutko przystrzyżoną trawą i luksusowymi okrągłymi domkami, które pokrywały stożkowe dachy z tarasami do podziwiania morza i gwiazd – tych prawdziwych.

Zatrzymał się w nowoczesnym lobby z pięknymi recepcjonistkami w eleganckich mundurach.

– Gdzie jest kierownik obiektu? – zapytał.

Wszystkie trzy otworzyły usta ze zdziwienia, więc jeszcze dwa razy powtórzył pytanie. Odpowiedź uzyskał dopiero po dłuższej chwili. Nie zdążył odejść za róg, gdy dobiegły go głosy recepcjonistek.

– To on?

– Jasne, że to on.

– Pytał takim tonem... Ani razu się nie zaśmiał...

– Wspaniale zagrał tego policjanta! Prawie mu uwierzyłam.

– Wspaniale to zagrał tego pijanego... godzinę temu! Uwierzyłam mu, jak szukał wody w wazonie – stwierdziła jedna i wszystkie zaczęły się śmiać.

Porucznik Surasak Jintana przystanął. Zrobił głęboki wdech nosem i bardzo powoli wypuścił powietrze ustami. Powtórzył tak kilka razy, po czym nasunął czapkę na oczy i ruszył w kierunku plaży. Podobno wczorajszy wiatr strącił jeden dach namiotu i tam należało szukać kierownika. Okazało się, że kierownik nie naprawiał dachu, tylko dokazywał z jakąś dziewczyną, która na widok policjanta uciekła, nie patrząc mu w oczy.

Kierownik wyprostował się i uklonił głęboko, ale kiedy na niego spojrział, uśmiechnął się szeroko. Porucznik zachował kamienny wyraz twarzy, przedstawił się, wymieniając imię, nazwisko i rangę. Wyjaśnił, że prowadzi śledztwo i liczy na rzetelną pomoc. I zakończył bez mrugnienia okiem:

- A to jest przypadkowe podobieństwo.

Kierownik nie był do końca pewny tego, co widzi i słyszy, ale ton głosu i postawa porucznika zadziałały. Posłusznie więc odpowiadał na kolejne pytania.

Przeszli do pomieszczenia, w którym można było odtworzyć obraz z kamer. Zajął im to dobrą godzinę. Jedna z kamer zarejestrowała obraz sprzed imprezy: drobna kobieta odplątuje linę i wsiada na łódkę, po czym odpływa na pełne, wzburzone morze. Widząc to, kierownik złapał się za głowę, złorzeczył i krzychał na obsługę i ochronę, która nie zauważyła kradzieży. Porucznik zgrał zapisany niewyraźny obraz i uśmiechnął się pod nosem. Twarz kobiety była prawie niewidoczna, ale bez problemu rozpoznał dziewczynę i szepnął do siebie:

- Nejm Ry-Di... znowu się spotykamy. Witaj!

Rozkazał oniemiałemu kierownikowi, by niezwłocznie poinformował go, jeśli łódka pojawi się na horyzoncie. I wyszedł z pomieszczenia.

Próbując uszeregować myśli, szedł powoli w kierunku parkingu. Nieoczekiwanie zastąpiła mu drogę rozczochrana kobieta w przykrótkiej sukience. Porucznik nie oglądał telewizji, ale znał tę twarz z gigantycznych billboardów, które reklamowały kremy z wyciągiem śluzu ślimaka: rozświetlające, wybielające i wygładzające skórę twarzy. Patrzył na nią, zastanawiając się, dlaczego żadnego z nich nie użyła, a ona zaczęła chaotycznie okładać go drobnymi piąstkami po torsie. Próbował się oganiać, ale nie było to proste, w końcu chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Gdzie on jest?! - wrzasnął.

- Kto? - zapytała zdezorientowana aktorka.

Rozdział 20

Lodówka

Mia Jacobee wyjęła zatyczki z uszu, po czym długo się myła, a jeszcze dłużej ubierała. Dwa razy zmieniła strój. Wybrała najmniej pogniecioną koszulę, w której ostatecznie odpięła dwa górne guziki. Założyła krótkie spodenki i oglądała się w lustrze, wciągając brzuch. Przymierzała się do spięcia włosów, ale zostawiła rozpuszczone, starannie je szczotkując. Przystawiła twarz do lustra i próbowała potuszować rzęsy, choć i tak musiała nałożyć przeciwsłoneczne okulary, bo tylko w tych miała szkła korekcyjne. Pociągnęła nawet usta błyszczkiem... Robiła to wszystko z myślą o Włochu, który wczoraj wieczorem odprowadził ją do domku. Słabo widziała, trochę się chwiała, więc musiał trzymać ją blisko, pod rękę, co było niezwykle przyjemne. Miała nadzieję, że nie tylko dla niej. Z radosną miną pogładziła podarowane przez niego eleganckie japonki i rażnym, pogodnym krokiem ruszyła w kierunku hotelowego lobby.

Przed wejściem do sali, z której dochodził głos Włocha, zmierzwiła włosy, oblizała usta i zdjęła okulary. Jednak po chwili musiała je włożyć z powrotem, by się upewnić, że dobrze widzi. W przeciwsłonecznych barwach zobaczyła, jak Lorenzo Capella pokazuje małą gitarę leżącą na kanapie dziewczynie. Próbuje nawet grać, uśmiechając się od ucha do ucha. Tajka wyglądała na zachwyconą, głośno wzdychała przy każdym dotknięciu struny, choć jeszcze niczego nie zagrał.

Mii Jacobee nie było do śmiechu.

To ona trzy razy rozpiła i zapinała jeden guzik, lekko odsłaniając dekollet, i zastanawiała się, czy nie przesadza, a leżąca dziewczyna miała odkryte całe ramiona i pourywane ramiączka. Mia wciągała brzuch, żeby nie wystawał, podczas gdy talia dziewczyny była jak u osy. Jej włosy oklapły, tamtej wywijaly się we wszystkie strony. Poczula, jak zaczyna drzeć jej broda. Nie wiedziała, czy ma ochotę zacząć płakać czy podpalić świat i uciec.

Lorenzo Capella kiwnął głową w jej stronę, ale nie był zainteresowany nawet tym, by podeszła. Stała więc na środku sali bez ruchu. Wtedy usłyszała dochodzące z oddali głosy:

- Gdzie ta lodówka?
- Nie mam już siły.
- Nie przesadzaj.
- Puszczę.
- Jak taki chudzielec może tyle ważyć.
- Tam chodźcie. Na zaplecze. Tam jest.

Mia Jacobee nie wiedziała, o co chodzi. Nie wiedzieli też Lorenzo Capella i Nejm, która teraz podniosła się z kanapy. Wyglądała jeszcze zgrabniej, niż gdy na niej leżała.

- Co się dzieje? - zapytała Tajka.
- Nie wiem - odparł Lorenzo Capella. - Odpoczywaj.

Australijka szybko odwróciła się i poszła w kierunku głosów, wszystko było lepsze od stania w tym trójkącie. Głosy oddalały się, ale cały czas dochodziły strzępy niezrozumiałej dla niej wymiany zdań:

- To lodówka na napoje!
- Stojąca!
- To znajdź inną!
- Jak my go włożymy?
- Zmieści się!

– Otwieraj, bo puszcze...

Mia Jacobee przyspieszyła, klapiąc w za dużych klapkach. Miała nadzieję, że kiedy ich zobaczy, zrozumie, co tam się dzieje. Zobaczyła. Ale niczego nie rozumiała. Patrzyła osłupiała, nie będąc w stanie wyduścić z siebie słowa. Znowu zdjęła okulary, bo w tym zamkniętym pomieszczeniu, które służyło za zaplecze recepcji, było prawie ciemno.

Po wyciągnięciu półek ze szklanej lodówki oklejonej reklamami jakichś napojów gazowanych Simon Holemans, Scott Whitus i Anabell Seseke wpychali owiniętą prześcieradłem mumię. O tym, że była prawdziwym ludzkim ciałem, świadczyła ręka, która się wysunęła i blokowała zamknięcie szklanych drzwi. Klamkę przytrzymywała Luzi Lu. Sapiący Scott Whitus, który zabezpieczał górną partię ciała, podtrzymywał mumię ramieniem i próbował wepchnąć wystającą rękę. Węgierka przymykała drzwi, ale nie dało się ich zamknąć, bo przycinała bezwładnie wystające palce. W końcu udało się to Simonowi Holemansowi – wepchnął dłoń, po czym szybko zatrzasnął szklane drzwi. Wycieńczony, oparł się plecami o szybę i zaczął ocierać pot z czoła. Anabell Seseke schyliła się, znalazła kontakt i włożyła wtyczkę w gniazdko. Lodówka zaczęła rzeźić i zapaliło się w niej światło. W tym momencie na zaplecze weszli Tajka z Włochem.

Dziewczyna chwilę patrzyła z otwartymi ustami, po czym podeszła bliżej, przekręciła głowę, by dokładniej przyjrzeć się wpakowanemu do środka, owiniętemu prześcieradłem ciału. O tym, że jest to ludzkie ciało, świadczył kształt mumii, a przede wszystkim wysunięta z prześcieradła ręka, na której przedramieniu zobaczyła tatuaż baletnicy. Podeszła bliżej i wtedy głowa mumii przesunęła się i uderzyła w szybę. Tajka omdlała i zaczęła osuwać się z nóg. Włoch przepchnął Mię i złapał Nejm w ostatniej chwili.

Mia Jacobee żałowała, że nie zemdlała wcześniej, tylko zrobiło jej się niedobrze. Popatrzyła na ludzi i rękę w lodówce. Zwymiotowała, nie zdążywszy zatamować zwracającej się treści. Znaleziona na dnie plecaka, ledwo nadtrawione fasolki poleciały na spodenki stojącego przed nią Włocha, który nie był w stanie zapanować nad obrzydzeniem. Niewiele jednak mógł zrobić, bo podtrzymywał omdlałą Nejm Ry-Di.

Drzwi lodówki podparto krzesłem, zahaczając uchwyt, by same się nie otworzyły, gdyż owinięte w prześcieradło ciało Tadzia napierało na frontową szybę.

Tajkę odniesiono z powrotem na kanapę. Dziewczyna usiadła, a po chwili podkuliła nogi i zaczęła rozglądać się po wszystkim i wszystkich. Lorenzo Capella pobiegł się przebrać, Luzi Lu ubrać, Mia Jacobee umyć, Scott Whitus wrócił ze spakowanym workiem, jakby był gotowy do wyjazdu.

Godzinę trwało, nim wszyscy jako tako doprowadzili się do porządku. Jedni drugim opowiadali, co się stało. Anabell Seseke powtórzyła wszystko Mii Jacobee dwa razy, bo ta nie była ani przy znalezieniu Nejm Ry-Di, ani Tadzia Napierały. Australijka nie mogła ogarnąć tego, co widzi i słyszy. To z niechęcią spoglądała na nowo przybyłą postać, to z przerażeniem wsłuchiwała się w odgłosy rzeźzącej lodówki.

– Dobrze, że działa – podsumowała Anabell Seseke, komentując dobiegające dźwięki.

– Nic nie jest dobrze! – wrzasnął Scott Whitus. – Czy tą łodzią da się dopłynąć na tę sąsiednią wyspę? – zwrócił się do Tajki, a ta przytaknęła. – Świetnie! – ucieszył się, ale za chwilę posmutniał. – A mamy benzynę?

– Jest agregat prądotwórczy, to jest i benzyna – odparł Simon Holemans.

– Czyli ktoś musi popłynąć i sprowadzić pomoc. Ja mogę – zadeklarował się Anglik.

– Ty nie umiesz pływać – stwierdził rzeczowo Simon Holemans.

– Umie, tylko słabo, no i nie zamierzam płynąć wplaw! – wrzasnął Scott Whitus. – Założę dwie kamizelki, a taką łódką każdy potrafi sterować.

– A masz kamizelkę? – spytał Belg. Tajka pokręciła przecząco głową.

– Jakoś dam radę! Jak daleko stąd do tej wyspy?

– Właśnie – zainteresował się Belg. – Trafiliśmy tu bezpośrednio z Tratu, ale zwyczajne promy płyną najpierw na Ko Chang, potem na Ko Kut, a jak ktoś chce, to zawijają na najmniejszą z nich, czyli Ko Mak.

– Na południe – odparła Nejm Ry-Di, w którą wpatrzone były wszystkie oczy. – Chwilę trzeba płynąć, a potem widać już ląd – dodała, kuląc się i nie reagując na próby objęcia jej przez Lorenzo Capellę.

– Skoro ona mogła, to ja też! – buńczucznie stwierdził Anglik. – Sprowadzę pomoc.

– Ty prędzej uciekniesz, niż nam pomożesz – skwitowała Anabell Seseke.

– Ja popłynę – oświadczyła Luzi Lu. – Nie mogę pozostawiać tyle dni bez internetu. Ja pracuję. Trzy rolki i dwa posty na tydzień to minimum! I karuzela – dodała, wyciągając telefon. – Mój profil nie może być martwy! Jak nie ma mnie w necie, to nie żyję. Nie mogę sobie robić urlopów. Nie mogę obrabiać filmów! Nic nie mogę!

– Wszyscy wyjedźmy stąd! Ja chcę do taty! – jęknęła Mia Jacobee.

– Z nią?! Nigdy! – prychnął Scott Whitus i pokazał na bladą i skuloną Annę Strąg. – Skoro nie chcecie jej związać, wasza sprawa. A ty! – krzyknął w kierunku Belga. – Nie przekonuj mnie, że to może być każdy, bo tym bardziej nie wsiądę na łódź z tym każdym, kto chce mnie zabić! – podsumował kategorycznie.

– Nie wiemy, co się stało... – próbowała odezwać się Anna Strąg.

– Kto powiedział, że jestem ciekawy?! Ty na pewno już zaplanowałaś, co chcesz ze mną zrobić! Jestem pierwszy na liście czy zostawiasz mnie na deser?

– Kto by chciał cię zjeść – pokręciła głową Anabell Seseke.

– Czy naprawdę nikt nie czytał tej książki?! Przecież to Agata Christie. Klasyka literatury angielskiej! Szczytowe osiągnięcie kryminału! I jaki jest tytuł, nie obrażając nikogo? – syknął w kierunku Anabell. – Powiem wam... I nie było już nikogo! Trafili na wyspę i ginęli jeden po drugim. Też się zastanawiali, deliberowali, a trzeba było zrobić tratwę i uciekać! To była jedyna szansa... Nikt jej nie wykorzystał... A ty, dlaczego tak bardzo chciałaś tu przy płynąć? – skierował pytanie do Tajki, która wspierając głowę na ramieniu Lorenza Capelli, patrzyła otępiąłym wzrokiem.

– Nie męczmy jej – poprosił Włoch, gładząc dziewczynę po ramieniu.

– A co? – prychnęła Anabell Seseke. – To dla niej taka bolesna strata?

– Milutka jak zawsze – prychnął Anglik.

– Chyba mam złą karmę – powiedziała Tajka i smutna spuściła głowę. – Przy płynęłam za późno...

– Nie masz złej karmy – pocieszył ją Włoch, gładząc po włosach. Mia Jacobee odgarnęła swoje sama, wbijając tępy wzrok w nowo przybyłą.

– Dlaczego zdecydowałaś płynąć w taką pogodę? Nie bałaś się? – zapytała Anabell Seseke.

– Mój dziadek był rybakiem...

– Nie prościej było wsiąść z nami na łódkę? – zapytała Anabell Seseke.

– Polak powiedział, że to niemożliwe...

Simon Holemans wstał.

– Polak nie chciał, żeby ona wiedziała, że tu jesteś – wskazał na Annę Strąg. – A może to ty nie chciałaś, by ktoś wiedział, że tu jesteś? Może ty też nie chciałaś, żeby ona wiedziała – zapytał. Anna Strąg podniosła ze zdziwieniem opuszczoną do tej pory głowę.

– A jakie to ma znaczenie! Dopłynęła i już! – krzyknął Anglik. – Nie skupiaj się na Tajce. To przecież jest... – nie dokończył zdania, widząc gniewne spojrzenie Lorenza Capelli. Scott Whitus odskoczył, odwrócił się i wrzasnął w kierunku Anny Strąg: – Lepiej powiedz, dlaczego nas tu sprowadziłaś?! Tylko nie kłam! I nie karm nas bajeczkami! Może i masz mnóstwo pieniędzy i tego tam kawioru w kryształowych słóczkach z perłowymi łyżeczkami, i nie wiadomo czego tam jeszcze... ale wiem jedno na pewno... – wbił w nią wskazujący palec. – Tacy ludzie jak ty nie marnują czasu, a to wszystko kosztowało dużo, dużo, dużo zachodu. Zgodzisz się?

– Racja – przytaknęła Luzi Lu.

– Też się muszę z tym zgodzić – dołączyła Anabell Seseke.

– Właśnie – dodała Mia Jacobee.

- Z czym? - zapytała spokojnym głosem Anna Strąg, patrząc Anglikowi prosto w oczy.

- Że, że... to zajęło dużo czasu, żeby...

- A jeśli czas już się dla mnie nie liczy? - zapytała i popatrzyła na wszystkich z osobna, po czym ciężko odetchnęła, jak ktoś, kto chce zrzucić kamień z serca. Opadnięta broda sprawiała, że zmarszczki na szyi i dekolcie były bardziej widoczne. Starannie wyczesane włosy były teraz spięte w krótki kucyk, przy karku sterczały. Czarna prosta sukienka podkreślała jej chudość. Wyglądała jak krucha, bezradna starsza kobieta, która dźwiga niewidzialny ciężar i właśnie straciła resztkę sił.

- Cóż... nadszedł czas prawdy. Uwierzcie mi, nie myślałam, że to tak się potoczy - spuściła głowę. - Nie chciałam, aby ktokolwiek umarł, nigdy nie przyczyniłam się do niczyjej śmierci - oświadczyła przejętym tonem. - Chciałam się tylko dowiedzieć, co stało się z Marcinem. Co się stało z moim mężem. Czułam, że jestem mu to winna. Czułam, że przegapiłam coś bardzo ważnego. Coś, czemu nie zapobiegłam, a może mogłam...

- A co ma to z nami wspólnego? - zapytała Węgierka.

- Myślałam, że jak sprowadzę was w jedno miejsce i z wami porozmawiam, to ustalę więcej faktów, dowiem się czegoś nowego i może wszystko się jakoś wyjaśni...

- A co ty jesteś?! Herkules Poirot?! - przerwał jej Anglik. - Usadysz nas w jednym pokoju przy kominku i co?

- A to akurat ciekawe pytanie - uśmiechnął się Simon Holemans.

- Dlaczego my? - dodała przytomnie Anabell Seseke. - Dlaczego akurat my mamy coś o tym wiedzieć. Dlatego że miał nasze zdjęcia w telefonie? Tylko dlatego?

- Dlatego że powiedział mi... - Anna Strąg zrobiła wymowną pauzę - ...przed samą śmiercią, że spotyka się z kimś, kogo znam ze zdjęć, że ma dla mnie coś wspaniałego, coś, co dostał, coś, co ma ogromną wartość, i coś, co mi się może spodobać...

- Biżuterię? - zapytała rzeczowo Luzi Lu. - Lubisz biżuterię - stwierdziła, a wszyscy spojrzeli na uszy i szyję Anny Strąg. - Mówiłam wam, że chodzi o szmaragdy albo rubiny.

- Nie wiem - westchnęła Anna Strąg. Kamienie nigdy nie przedstawiały dla Martina zbytnej wartości.

- A to jest wartościowe? - spytała Anabell Seseke, przyglądając się łańcuchowi z mleczną miodową kulą. - Może chciał zrobić ci przyjemność.

- To bursztyń - wyjaśniła Mia Jacobee, przysuwając nos do dekoltu Anny Strąg. - Jeśli ma coś w środku, to jest wartościowy. Ale nie widzę.

- Ma - powiedziała Anna Strąg, zdejmując z szyi naszyjnik. - To prezent od męża na rocznicę ślubu... Piętnastą... Niedługo byłaby czterdziesta...

- Przykro mi - jęknęła Mia Jacobee. Obracała w rękach naszyjnik, ściągając i zakładając na przemian słoneczne okulary. Nejm Ry-di wyciągnęła rękę, by też go dotknąć, ale Australijka odwróciła się do niej bokiem.

- Ściągnęłaś nas na wyspę śmierci, bo nie dostałaś prezentu?! - zaśmiał się Scott Whitus.

- Przesłał mi wasze zdjęcia - wytłumaczyła Anna Strąg. - Dlatego was chciałam spotkać. I dowiedzieć się więcej...

- Nie mogłaś zadzwonić i zapytać? - Anglik nie wytrzymał, wstał i odskoczył od wszystkich, stając metr od kanapy. - Chodzi o przypadkowe zdjęcia, które ktoś pozwolił zrobić starszemu panu? Ze zwykłej uprzejmości? Pomyślcie wszyscy zamiast mnie uciszać!

- Może jednak powinniśmy jej wysłuchać - odezwała się Mia Jacobee.

- A może gdybyśmy jej wczoraj nie zaufali, to ten Polak by jeszcze żył. Pomyślcie - postukał się w głowę.

- A może to nie ona - jęknęła Mia Jacobee, z nerwów płacząc w palcach włosów.

– Czyli, według ciebie, to ktoś z nas? Tak?! Czyli jeśli ktoś pomógł utopić twojego męża – pokazał palcem na Annę Strąg – a potem zepchnął tego Tadzia do pustego basenu – przekierował rękę na Nejm Ry-Di – to znaczy, że teraz ten ktoś się rozprawi z nami. Czyli... – chwycił się za głowę – każdy tu mnie może zabić! – wykrzyknął. – Ciekawe, ile się jeszcze znajdzie lodówek... W co ja się wpakowałem!

– Uspokójmy się wreszcie! – krzyknął Simom Holemans, pierwszy raz podnosząc głos. – Pomyślmy... – Jego władczy ton sprawił, że wszyscy ucichli i przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił.

– A może zjedzmy coś – zaproponował Włoch, przerywając ciszę. – Lepiej się myśli...

– Tak, jestem głodna – przyznała Mia Jacobee. Lorenzo Capella odwrócił głowę i nachylił się do Nejm Ry-Di.

– Ty na pewno nic nie jadłaś – powiedział, patrząc z troską na Tajkę. Przytaknęła. – Ma ktoś coś jeszcze do jedzenia? – zapytał Lorenzo Capella, rozglądając się po wszystkich. Większość zaprzeczyła. – Nie martw się, mamy spaghetti. Szkoda, że nie ma Polaka, chciał coś złować... Zaraz wstanę i coś może zrobię.

– A może ty wiesz coś więcej o Tadzium, może ci się zwierzał? – zapytał Simon Holemans, bacznie przyglądając się dziewczynie.

– Nie idź – zaczęła Nejm Ry-Di, ściskając ramię Włocha. – Na wyspie jest jakiś demon! Ja się boję tego demona – dodała, chowając twarz w jego ramię, nie zamierzał więc teraz wstać.

– Czego? – zapytała Anabell Seseke.

– Demona, tu musi być jakiś demon, co straszy i zabija.

– Właśnie – powiedział Scott Whitus, zagarniając swój worek. – A wy sobie tu siedzicie i czekajcie. Ja nie zamierzam – dodał i ruszył w kierunku wyjścia. Nikt go nie zatrzymał. Dopiero po chwili ruszyła za nim Anabell Seseke.

– Jaki demon? – spytała z zaciekawieniem Luzi Lu.

Tajka zaczęła powtarzać opowieści rybaków. Była tak przejęta, że nikt nie chciał jej przerywać. Anabell Seseke wróciła po chwili z metalowym pudełkiem pełnym ciastek brownie i zaczęła wszystkich częstować. I też zaszuchała się w opowieść o demonie, który podobno straszył tutejszych robotników pracujących przy budowie resortu i według okolicznych mieszkańców był odpowiedzialny za to, że budowy nie ukończono. Nejm Ry-Di opowiadała z przejęciem. Anna Strąg próbowała ją pocieszyć, mówiąc o samowoli budowlanej.

Belg próbował kilkakrotnie zmienić temat, ale mu się nie udało. W końcu przysunął się bliżej Anabelli Seseke i zapytał o Scotta Whitusa, którego nie było już od dłuższego czasu. Powiedziała, że poszedł obejrzeć łódź. Kiedy to usłyszał, wybiegł na taras, by się upewnić, że łódź jest bezpieczna. Stała na mieliźnie, a jej kadłub ciągle tkwił pomiędzy dwoma wielkimi wulkanicznymi głazami. Żeby mogła odpłynąć, trzeba było czekać na przyływ, nie krócej niż dobrą godzinę, bo fale zaczęły dopiero sięgać połowy pomostu.

Uspokojony, wrócił na salę. Popatrzył na smutną Annę Strąg i zdruzgotaną Mię Jacobee.

*

Kay Chomjan wypatrzył swoją żonę czekającą przy ruchomych schodach hali odlotów lotniska Singapur – Changi. Ruszając w jej kierunku, musiał przepuścić podążającą za przewodnikiem pielgrzymkę do Mekki. Kilkudziesięciu jednakowo ubranych Malezyjczyków utworzyło korowód, który nie sposób było ominąć, bo trzymali się za ręce, paradując w powłóczystych, kolorowych szatach. Mógł więc niezauważony przyglądać się żonie. I mimo że znał ją od kilkadziesięciu lat, nie był w stanie ocenić, czy jest głęboko skupiona, czy beźmyślnie wpatrzona. Nad ruchomymi schodami unosiła się i opadała największa kinetyczna rzeźba na świecie. Zawieszane w powietrzu metalowe kule opuszczały się i wznosiły, tworząc przenikające się fale, jakby w harmonijnym tańcu. Miedzianozłoty deszcz hipnotyzował, ale Fabienne nie pierwszy raz była na tej hali i nigdy tak długo nie wpatrywała się w metalowe łożki, zazwyczaj buszowała po sklepach. Zamyślił się.

Kiedy wreszcie do niej dotarł, zapytał:

- Ty tu?

- Tu? Ach, tak. Śpiąca jestem. Z wiekiem coraz gorzej znoszę te zmiany czasu - mówiła, trzymając w ręku jednorazowy kubek z kawą, podczas gdy Kay ciągnął walizeczkę po miękkim dywanie. - Nie mogę się obudzić. Im więcej piję kawy, tym częściej chodzę siku, a spać i tak mi się chce.

- Ty się naprawdę martwisz - stwierdził, patrząc żonie w oczy. - Siłą cię zawsze musiałem z tych sklepów wyciągać, a teraz...

- Mam już wszystko. Poza tym nie jestem w nastroju do żartów - Fabienne próbowała uciąć rozmowę, odruchowo chwytając palcami wiszący na szyi naszyjnik.

- To ten od Anny? - zapytał.

- Tak, uwielbia bursztyny.

- Wiem. Miał dla niej jeden, podobno z Birmy - powiedział Kay, biorąc z jej rąk kawę.

- Nie mówiłeś mi - zdziwiła się.

- Nie mówiłem? Nie mówiłem, bo go nie widziałem, więc nie było o czym mówić. Prawdopodobnie kupił jakąś podróbkę dla turystów - machnął ręką. - Najpewniej jakiś paproch zalany żywicą.

- Skąd wiesz, że to była podróbka?

- Bo widziałem chińską czarękę, którą swego czasu zdobył w jakimś antykwariacie. Jakby się dobrze jej przyjrzeć, można zobaczyć fabryczny nadruk.

- A jeśli tym razem był prawdziwy? - zapytała Fabienne, znowu kierując wzrok na płynące w powietrzu miedzianozłote lezki. - Bursztyn sprzed milionów lat, dwa razy starszy od tego, co mam? Z czymś wyjątkowo ciekawym w środku...

- Jeśli byłby prawdziwy, to zapewniam cię, trafiłby w zupełnie inne ręce - skwitował. Dopił kawę, zgniół kubek i patrząc uważnie na żonę, rzucił go do śmietniczki.

Rozdział 21

Ciastka

Lorenzo Capella jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze. Było mu miękko na duszy i błogo na ciele. Obejmował ramieniem piękną dziewczynę i nie miał żadnych wątpliwości, że jest dziewczyną. Maleńkie stopy, drobne dłonie, talia tak wąska, że pewnie mógłby ją objąć dłońmi. Tak lekka, że mógłby ją nosić na rękach. I właściwie zastanawiał się, czy jej nie ponosić, bo tylko ona niezbyt dobrze się bawiła. Pozostali wyraźnie się rozluźnili i mówili jeden przez drugiego.

Anna Strąg zdjęła z szyi naszyjnik i zaczęła go oglądać.

– W środku jest skrzydło ważki – oznajmiła. – Ważki są chyba starsze od dinozaurów... – zamilkła na dłuższą chwilę, wpatrując się w jeden punkt. – Ale dlaczego ja właściwie o tym mówię?

– Bo lubisz bursztyny – stwierdziła Luzi Lu, bawiąc się kosmykami swoich włosów. – Fajne są, choć w ogóle nie błyszczą.

– Bo to kopalna żywica drzew iglastych – wyjaśniła Mia Jacobee, której twarz wygładziła się i wypogodniała. Po pionowych zmarszczkach przecinających czoło nie było śladu, a na twarzy przez cały czas błąkał się uśmiech. – I ta żywica bywa znacznie ciekawsza od niejednego diamentu. Szczególnie z inkluzją w środku.

– Czym? – zapytała Nejm Ry-Di.

– Niczym groźnym – Mia Jacobee machnęła ręką. – Nie bój się. Inkluzje to fragmenty fauny lub flory sprzed milionów lat. Takie kapsuły czasu.

– Szkoda, że nie ma tam DNA dinozaura – stwierdziła Anabell Seseke ze śmiechem, który trwał wyjątkowo długo i zaczął rozśmieszać również innych.

– Ta wyspa to świetne miejsce na Jurassic Park – potwierdziła Luzi Lu. – Jakbym zrobiła post z dinozaurem, to bym miała siedem miliardów wyświetleń – dodała, robiąc sobie zdjęcie z wyjątkowo głupią miną. – Dziwnie wyglądam i lepiej, żebym przestała tak wyglądać.

– Nie da się – wzruszyła ramionami Mia Jacobee, ściągając podkoszulek. Ku lekkiemu zaskoczeniu wszystkich, została w samym biustonoszu, który zdecydowanie nie był górą od kostiumu. Dość nonszalanckim gestem rzuciła ubranie daleko za siebie. – To, co przetrwało w bursztynie, zostaje w bursztynie – oświadczyła. Palcami zaczesła włosy do tyłu. – Nie ma sensu nic wydłubywać, to tylko taki pancerz owadów, ich powłoka. Żadne DNA nie przetrwa w żywicy. Musisz gdzie indziej szukać wyświetleń.

– Nie szkodzi – wzruszyła ramionami Luzi Lu. – Mam lepszy pomysł. Ciekawe, czy mogę oznaczyć Polaka. Chyba mogę. Przecież się nie obrazi – dodała i wyszła z telefonem w rękę, filmując wszystko dokoła i głośno mówiąc do ekranu: – Jeśli chcesz popełnić morderstwo, upewnij się, że masz w pobliżu wystarczająco dużą lodówkę, najlepiej ze światłem. Jeśli nie masz lodówki, zostaw ciało w dżungli i cierpliwie czekaj na warany. Koniecznie z naładowanym telefonem. W bezpiecznej odległości.

Anabell Seseke śmiała się do rozpuku.

– Dobre to. Dobre – powtarzała, uderzając rękami o własne uda.

– To się nazywa perfekcyjne zacieranie śladów – zaśmiał się też Simon Holemans, a potem zaczął z wielką uwagą oglądać swoje dłonie, przebierał palcami i patrzył na nie z zachwytem.

Nejm Ry-Di zdawała się nie zwracać na nikogo uwagi. Spoglądała na puste kąty, raz po raz wytrzeszczając oczy. Lorenzo Capella wyszedł na środek sali, wyjął ukelele z futerału. Przechesał palcami włosy, o mało nie wbijając sobie kciuka w oko, i zaczął chaotycznie uderzać w struny.

– Spodoba ci się – powiedział do otepiącej Nejm Ry-Di i zaśpiewał na cały głos *Lasciatemi cantare...* – Tajka patrzyła i kręciła głową, tak jakby chciała zobaczyć go z jakiejś zupełnie innej perspektywy. Lorenzo Capella poczytał to jako zachętę i śpiewał jeszcze głośniej: – *Con la chitarra in mano.... lasciatemi cantare... sono un italiano* – ostatnie słowa wręcz wykrzykiwał, uderzając o struny.

Anabell Seseke nie przestawała się śmiać, teraz już niemal skręcała się na kanapie. I tak chichotała przez kolejne trzy zwrotki. Kiedy zaczęła klaskać, nie do końca trafiając w dłonie, podszedł do niej Simon Holemans.

– Co to były za ciastka? – zapytał z zaciekawieniem. – Bo mam wrażenie, że moje palce przepięknie się poruszają.

– Zbożowe, wegańskie – odparła Anabell Seseke. – Ten łachudra chciał je zjeść sam. Zjeść i się nie podzielić, ale mu zabrałam – oświadczyła z dumą i rozbawieniem.

– Aha – pokiwał głową Belg, zastanawiając się, czy zawsze miała takie długie białe zęby. – To mamy parę godzin z głowy – dodał, godząc się ze swoim stanem. – Nic się już z tym nie da zrobić. Trzeba przecze-kać – powiedział sam do siebie.

– Nie możesz jeść glutenu? – Anabell Seseke nadal się zaśmiewała i z wielkim entuzjazmem znowu zaczęła próbować klaskać, zupełnie nie przejmując się tym, że raz po raz nie trafia w dłonie.

– Mogę. Szczególnie te z marihuaną. I to wyjątkowej jakości – dodał, patrząc, jak Mia Jacobee zaczęła tańczyć, kręcąc się w kółko z rozłożonymi na boki rękami.

– Świat jest taki piękny! – powtarzała, ledwo utrzymując równowagę i zdecydowanie lekceważąc rytm wygrywany przez Lorenzo Capellę. – Teraz nas wszystkich mogłaby zalać żywica! Takich pięknych! W tak pięknej chwili!

Włoch po raz czternasty powtarzał refren: *Lasciatemi cantare perché ne sono fiero...* Wyśpiewywał to w kierunku skulonej i wpatrzanej w jeden punkt Nejm Ry-Di. Włochowi wydawało się, że patrzy na niego, więc szarpiać struny ukelele, próbował stanąć na linii jej wzroku, z nieklamana dumą wyśpiewując szczególnie: *sono un italiano vero*. I ponownie: *Lasciatemi cantare...*

Anna Strąg z szeroko otwartymi oczami podeszła do fotela, na którym dzień wcześniej siedziała. Teraz znowu chciała usiąść, ale znalazła leżącą tam wielką ćmę. Próbowwała ją poruszyć, ale ćma nie dawała już żadnych oznak życia. Chwyciła ją za odwłok i próbowała zmusić do lotu, manewrując sztywnymi skrzydłami.

– Jeszcze raz, spróbuj – prosiła, rzucając ją jak samolocik, i co chwila podejmując z ziemi. – Jeszcze raz. Ostatni. Jesteś taka duża... Musisz żyć, choć przez chwilę jeszcze... Też jestem stara i umieram, ale... – nie dokończyła. – Jeszcze raz – dodała, rzucając sztywną ćmę przed siebie. – Zmusz się do tego lotu, ja się zmusiłam.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Jeszcze nie umierasz – dodał Simon Holemans.

– Jak polecisz, to będzie znaczyć, że wszystko będzie dobrze – powiedziała Anna Strąg. Przebiegła parę kroków, próbując poszybować z martwą ćmą, po czym wypuściła ją z rąk. Owad zachybotał i opadł na ziemię. – Udało się – westchnęła z wyrazem szczęścia na twarzy.

Mia Jacobee nadal tańczyła. W pewnym momencie potknęła się o kanapę i na nią opadła. Przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, w końcu wstała... z bardzo poważną miną.

– Myślę, że Polakowi jest za zimno! – oświadczyła z wielką troską w głosie. – I co z tego, że nie żyje. Pewnie wolałby być tu z nami. Prawda? Chodźmy go przynieść – mówiła, ciągnąc Belga za nogawkę od spodenek. A kiedy się schyliła, spadły jej z nosa okulary. Chciała je podnieść, zrobiła krok do przodu i rozdeptała jedno szkło. Niezrażona założyła okulary na nos i skupiła się na otwieraniu i zamykaniu jednego oka, które patrzyło przez dziurawą oprawkę. Wyraźnie jej się to podobało.

Lorenzo Capella śpiewał po raz kolejny fragment piosenki, zapętłając wers: *Buongiorno Italia gli spaghetti al dente*, zamieniając inny z: *un partigiano come Presidente*, na: *paregianno regiano come Presidente*,

i zdecydowanie nie przejmował się nadmiarem sylab. Tajka trzymała się za głowę i powtarzała:

– Ja tylko chciałam mieć małą włoską knajpkę na Ao Yai... I być z jakąś miłą...

Lorenzo Capella usłyszał to, odłożył ukelele i różnym krokiem ruszył w kierunku lobby. Po chwili wrócił dumny jak Cezar, niosąc w rękach podłużne kartoniki ze spaghetti. Położył je jak trofeum na ławie, a jedną paczkę otworzył i zaczął częstować wszystkich surowym makaronem jak paluszkami. Większość wyciągnęła po nie rękę, w tym także Simon Holemans. Wziął kilka suchych nitek i jadł, patrząc na Mie Jacobee, która z jednym czarnym szkłem na oczach wyglądała jak pirat. Australijka przekręcała głowę bokiem, by lepiej widzieć makaron, po czym chwyciła garść nitek i zaczęła je chrupać jak zając. Po chwili jednak znowu przypomniała sobie, że Tadziu Napierała marznie w lodówce. Chciała go stamtąd uwolnić, ale jej się to nie udało, bo przed lodówką stała Luzi Lu z komórką i robiła sobie zdjęcia, pokazując Polaka zawiniętego w prześcieradło niczym trofeum z polowania. Mia Jacobee wróciła na salę i usiadła obok Tajki.

– Kocham wszystkich – oznajmiła uroczystym tonem.

Simon Holemans popatrzył na Mie Jacobee, wstał i powiedział, że musi wszcząć poszukiwania jej okularów.

– Mam nadzieję, że morze nie zatarło śladów – oświadczył.

– Kocham cię – odpowiedziała wdzięczna Mia Jacobee. – I ciebie też kocham – dodała, spoglądając na siedzącą obok Tajkę. – Nie wierzysz? To uwierz! – Wzięła jedną suchą nitkę spaghetti w zęby, a drugi koniec oparła na brodzie oniemiałej dziewczyny. Zaczęła chrupać, zbliżając się do jej ust.

Lorenzo Capella patrzył. Śpiewał coraz ciszej, aż w końcu zamilkł z otwartymi ustami. Anabell Seseke znowu zaczęła klaskać – tym razem wyrażała aplauz dla całujących się dziewczyn.

Simon Holemans odnotował to miłosne uniesienie i wyszedł.

Ponad pół godziny spacerował po pomoście, zachwycając się ilością kolorowych, lśniących rybek pływających pomiędzy belkami mola. I przez dłuższą chwilę nie mógł sobie przypomnieć, czego właściwie szukał. Pamięć powróciła, gdy w wodzie dostrzegł jakieś mieniące się szkło. Wskoczył w bananowych okularach słonecznych, zanurkował i wypłynął z własnymi okularami i kawałkiem szklanej butelki w rękę. Wyszedł na pomost. Dumny ze znaleziska, pokazał je Scottowi Whitusowi, który właśnie odpływał łódką. Pomachał mu, ale nie był pewien, czy trzymający się kurczowo steru Anglik odpowiedział mu na pożegnanie. Widząc, że Scott Whitus jest obwiązany płatami styropianu niczym pancierzem, uśmiechnął się. *Niezła kamizelka ratunkowa*, pomyślał z uznaniem.

*

– Tak, tak, panie Chomjan. Wyślę łódź, ale wie pan, że nikt nie chce pływać na Ko Tan... Mówią, że na tej wyspie dziwne rzeczy się dzieją... Tak... tak... to wystarczy... To dobra suma... Tak, tak... jest wolna... Tak, tak... oczywiście... od razu. Tak, dam znać... I bardzo mi przykro, że sprawy z Cinamon Serenity nie idą dobrze... Tak, oczywiście, to nie moja sprawa...

Kierownik hotelu dla celebrytów rozłączył się i prychnął wyjątkowo głośno.

– Bogacze... Przecież dopiero co tam popłynęli... – dodał i uśmiechnął się. Za takie pieniądze mogą kursować, ile razy zechcą.

Zadowolony z dodatkowego zarobku, popatrzył na rozneglizowaną aktorkę, która przeciągała się na jego łóżku i rozmawiała przez telefon, zdając relację koleżance z niedawnego incydentu. Podobno porucznik, obity pomysłowo przez Piczając, odnalazł jej narzeczonego i poradził mu, żeby się przefarbował co najmniej na różowo albo zakończył karierę.

– Mówię ci, jak brat bliźniak! – emocjonowała się, chichocząc.

Rozdział 22

Kokos

Simon Holemans wyszedł na brzeg i postanowił usiąść na piasku, oprzeć się o palmę i spokojnie popatrzeć na odpływającego Anglika. Nałożył żółte okulary na nos, a wydobytym szkiełkiem mieszał w piasku, usypując i rozsypując górki. Zerkał na dwa kraby pustelniki, które przywłaszczywszy sobie puste muszle jakichś mięczaków, paradowały w nich po piasku. *Jak na balu przebierańców*, pomyślał, widząc na krabim odwłoku zakręcony ślimaczy domek. Chwilę patrzył na ślady, jakie pozostawiają na piasku, zastanawiając się, czy nie jest to jakiś tajny krabi kod. I zasnął.

Obudziły go skrzeki latającej mu nad głową pary dzioboroźców, a przede wszystkim Lorenzo Capella, który szedł plażą i wykrzykiwał coś po włosku. Było zupełnie niezrozumiałe to, co mówi, ale z gestów i pojedynczych słów, które bardziej brzmiały jak malownicze przekleństwa, wywnioskował, że raczej nie recytuje ody do morza, lecz klnie jak szewc, żaląc się całemu światu na swój los. Słuchając skądinąd ciepło brzmiących słów, machnął na niego ręką. Włoch się ociągał, ale najwyraźniej z braku lepszych planów, powłócząc nogami, podszedł do Belga i usiadł na piasku obok. Przez jakiś czas nic do siebie nie mówili, tylko siedzieli i lekko otepiłali patrzyli w niebo na krążące nad nimi wielkie dzioborożce z olbrzymimi żółtymi dziobami.

– Po co im ta wielka narośl na dziobie? – zagadał Lorenzo Capella.

– Nie mam pojęcia, ale kiedyś z tych nosów robili ozdoby, to się nazywało dzioborożcową kością słoniową. Była cenniejsza od tej prawdziwej.

– Przechłapano – westchnął Lorenzo Capella i zaczął dłubać patykiem w piasku. – Ale się upaliliśmy! – stwierdził, a Belg przytaknął. – To bardzo piękne ptaki – dodał po chwili, patrząc na przepiękne rozciągnięte czarno-biało-żółte skrzydła szybującej po niebie pary.

– Tak.

– Tak, chociaż głupio wyglądają – potwierdził Lorenzo Capella.

– A wiesz, że są monogamiczne – zagadał Simon Holemans. – Dobierają się w pary na całe życie – mówił, nie widząc miny Włocha. – Ciekawe, czy gdy mąż dzioborożec przypadkowo zginął, to taka dzioborożcowa wdowa znajduje nowego dzioborożca... – zastanawiał się, drapiąc się w głowę.

– Zapytaj jej – doradził Lorenzo Capella, wprawiając Belga w lekkie zakłopotanie. – Ja się na tym nie znam. Ja mam pecha... Pecha w związkach. I pecha we wszystkim. Gadałem z tym Martinem tylko przez chwilę i gdzie się znalazłem? Na wyspie bez... bez makaronu – bezradnie rozłożył ręce, a Simon Holemans się roześmiał.

– A o czym z nim rozmawiałeś, tak dokładnie?

– Czekał na coś. Chciał coś przewieźć. Jakiś prezent dla żony i zastanawiał się, czy to dozwolone. Myślałem, że mówi o portfelu ze skóry jakiegoś zwierzęcia, bo wspominał coś o jakimś zwierzęciu, ale jakimś wymarłym. Może chronionym? Coś takiego.

– Jakim zwierzęciu? – zdziwił się Belg.

– Szczerze mówiąc, nie słuchałem, bo on się do mnie przyczepił i sam przysiadł. A poza tym mój angielski nie jest zbyt dobry, a jego jeszcze gorszy. Mało rozumiałem.

– Myślałem, że staliście?

– Bo wstałem od stolika i powiedziałem, że muszę już iść. Wtedy on chciał zdjęcie na pamiątkę czy dla żony? Mówiłem, że mam pecha. Akurat mnie zrobił to zdjęcie, nie rozumiałem, o co chodzi. I ogólnie nie rozumiem... Fortuna mi nie sprzyja – powiedział i zrobił dwa kroki do przodu, gdy nagle powietrze prze-

ciał niesamowity świst, a po nim rozległ się głuchy huk. Simon Holemans poderwał się z ziemi i patrzył oniemiały. Dokładnie tam, gdzie wcześniej była pupa Włocha, leżał ogromny kokos. Parę kilo spadło z kilkunastu metrów. Przez dłuższą chwilę obaj wpatrywali się w dół.

– Co mówiłeś przed chwilą? – zapytał Belg.

– Że mam pecha – powtórzył Lorenzo Capella, patrząc na zdrewniałą skorupę.

– Zdaje się, chłopcze, że masz bardzo dużo szczęścia. A na pewno od teraz – pokiwał głową Simon Holemans, zerkając na wysoką palmę. – Podobno siła takiego uderzenia może mieć nawet tonę – tłumaczył Włochowi, który nie odrywał wzroku od leżącego na ziemi ciężaru. – Mówią, że więcej ludzi ginie od takiego orzecha niż od ataku rekina. A to ciekawe, bo nikt nie ucieka przed palmą.

– Sam tak spadł? – wydukał w końcu Lorenzo Capella, podnosząc kokos z ziemi.

– Skoro nikogo na palmie nie ma... choć podobno można celować z procy... – powiedzieli jednocześnie, patrząc na taras. – Tak... – zadumał się Simon Holemans – ale żaden kamień nie przeleciał, a ty możesz mówić o dużym szczęściu. A do tego masz orzech – stwierdził Simon Holemans. – Odsuńmy się lepiej.

– A gdzie jest ta proca?

– Nie wiem, gdzieś musi być. Pewnie w barze.

– Poszukam.

– Chcesz kogoś ustrzelić.

– Nie – odpowiedział zdecydowanym głosem. – Czyje były te ciasteczka? Tej Niemki?

– Nie. Anglika. Zabrała mu. Najprawdopodobniej tak zrobił, żeby mu zabrała.

– Po co?

– Po to, żeby spokojnie odpłynąć z tej wyspy.

– Łajza! Nie podobał mi się od początku. Kto nosi takie ciuchy. To on zabił tego Polaka?

– Nie wiem. A czy przeszedłbyś się ze mną do pokoju Tadzia Napierały? – zapytał Simon Holemans. – Myślę o tym od godziny, tylko zebrać się nie mogę.

– Tak, to były bardzo mocne ciasteczka – pokręcił głową Lorenzo Capella. Potem podrzucił kokosa do góry i złapał. – Mama się ucieszy – dodał rozanielony. – Dam jej go.

– Ale twojej mamy tu nie ma – stwierdził Belg, patrząc na chłopaka i zastanawiając się, czy jednak Włoch nie jest w jakimś poważniejszym szoku.

– Nie dzwonię od dwóch dni, więc na pewno przywołała do siebie Paskala i Pietra. Jeśli szybko nie zadzwonię, to będą musieli działać – zaśmiał się.

– Ale jak? – zainteresował się Simon Holemans.

– Proste. Pogadają z kimś, kto jest im winien przysługę w greckim porcie. Tamci pogadają z kimś, kto jest im winien przysługę w Hongkongu. Ci z Hongkongu z kimś z chińskiej triady w Bangkoku. Ktoś z Bangkoku z jakimś generałem z policji w Tracie. Ci mnie namierzą, przysła policyjną łódź, a mama mnie dorwie i ochrzani – streścił pokrótce, ruszając w kierunku domku Tadzia Napierały z kokosem pod pachą.

– Nieźle macki...

– Jakie tam macki, zwykły handel – wzruszył ramionami Lorenzo Capella.

– A co robi twoja rodzina?

– Handluje oliwą. Z tym, że wzbogaca etykiety w słowo „Extra vergine”.

– To intratne przestępstwo – pokiwał głową Simon Holemans.

– Nie dla smaku, czasami nie da się rozróżnić – Lorenzo Capella zaśmiał się, a Simon Holemans odniósł wrażenie, że rozmawia z kimś zupełnie innym niż do tej pory. – Ja chciałem mieć tylko małą restaurację... ale może powinienem się zająć graniem? Kto wie. Może teraz mi się poszczęści? – stwierdził i znowu podrzucił do góry ciężką kulę.

Drzwi do domku Polaka były szeroko otwarte. Weszli obaj i zastygli w wejściu.

Lorenzo Capella patrzył na śpiącą w łóżku Mię Jacobee i obejmującą ją Nejm Ry-di Wong waj, a Simon Holemans na pootwierane szafki, powyciągane szuflady i rozprutą nożem walizkę.

– To ja lepiej wyjdę – stwierdził Lorenzo Capella, próbując odwrócić się na pięcie.

– Czekaj. Tego nie zrobiły małpy – powiedział Simon Holemans i pokazał na leżący w kącie pokoju nóż od pizzy.

*

Porucznik Surasak Jintana gnał motorem po wyspie. Wyminął dwa psy wylegające się na asfaltowej nawierzchni, minął hodowlę drzew kauczukowych, kąpiących białym mleczkiem do pozawieszanych pojemników, odetchnął ich mdłym zapachem i skręcił do zatoki w kierunku Ao pong, do małego urokliwego resortu po wschodniej stronie wyspy, prowadzonego przez Riam i Michała. Współwłaściciel, siwowłosy, przystojny cudzoziemiec posiadał niewielką turystyczną łódź, którą obwoził turystów lub sam zapuszczał się w oddalone od brzegu miejsca, gdzie regularnie nurkował i filmował rafę koralową.

Tego dnia mężczyzna zarzucił kotwicę tuż przy zatopionej w wodzie rzeźbie słonia, ale zrezygnował z filmowania z powodu ciągle wzburzonej wody. Gdy wypłynął na powierzchnię, o mało nie staranowała go łódź, która bezwładnie dryfowała tuż przy brzegu. Rozpoznał pustą łódkę i postanowił ściągnąć ją z wody. Dopiero zbliżając się do plaży, zobaczył wychodzącego z wody mężczyznę, który pod klatką piersiową i na plecach miał poprzywiązane kawałki styropianu. Krzyknął do niego, by uważał, bo w tamtym miejscu na dnie było dużo jeżowców i to pokaźnych rozmiarów, ale ten, zobaczywszy go, zaczął uciekać. Po chwili zawył z bólu i już kulejąc, wybiegł z wody. Na plaży oszczekało go kilka psów rybaka, więc uciekał dalej, odganiając psy, sycząc i kulejąc.

Współwłaściciel Ao Pong nie zamierzał go gonić, miał dwie łódki do zacumowania. Po wyjściu z wody powiadomił właścicieli dryfującej zguby, a kierownik resortu dla celebrytów zadzwonił do porucznika.

Porucznik Surasak Jintana zapisywał zeznania, siedząc pod wielkim migdałowcem, którego potężne gałęzie w przyjemny sposób ocieniały pół plaży, i podkreślił ostatnie zdanie wypowiedziane przez faranga: „Po co miałem go gonić? Jest na wyspie i nigdzie stąd nie ucieknie”. Miał rację. Jeszcze nie odwołano zakazu wypływania na pełne morze. Choć to była kwestia czasu. Z opisu wiedział, że to był chudy, rudawy mężczyzna. Kiedy później zatrzymał się, by kupić przy drodze smażone banany, usłyszał, jak dwie kobiety rozmawiają o białasie, który pospiesznie zjadł dwa dania i uciekł, nie płacąc rachunku. Po krótkiej rozmowie z nimi dopisał do rysopisu duże i bardzo niebieskie oczy. Formalnością było już pokazanie zdjęcia Scotta Whitusa kucharkom z Om Restaurant i ładnej parze z Ao Pong.

Rozdział 23

Testament

Lorenzo Capella wparadował do sali z tasakiem w ręku. Na ramieniu miał torbę, która przechylała go na bok. Tasak trzymał przed sobą w wyprostowanej ręce. Sześć osób, które siedziały w dość grobowych minach, teraz zamarły. Mia Jacobee wbiła się w kąk kanapy, próbując schować się za dwa razy szczuplejszą Nejm Ry-di, i patrzyła jednym okiem zza przyciemnionego szkła. Tajka odważnie zasłoniła dziewczynę i wyciągnęła przed siebie ręce, naprężając sztywno dłonie. Anabell Seseke napięła kark i łydki gotowa do skoku. Anna Strąg otworzyła usta z wrażenia.

Włoch, nie reagując na to poruszenie, szedł w ich kierunku.

– Lorenzo, o co chodzi? – zapytał Simon Holemans równie zaniepokojony.

Włoch z hukiem zrzucił torbę z ramienia. Zadudniło w całej sali. Większość podskoczyła. Australijka zapiszczała.

– Kto chce kokosa? – zapytał, otwierając torbę, z której wytoczyło się kilkanaście orzechów. – Jednego schowałem dla mamy – dodał i puścił oko do Belga. – Ale wystarczy dla wszystkich – usiadł na ziemi i zaczął walić tasakiem jak maczetą, odłupując skorupę. Wyglądał przy tym zupełnie inaczej niż cała zmaltretowana reszta. Dziarsko machał wielkim nożem i był pełen entuzjazmu. – Znalazłem też drzewo nerkowca. Na orzechy nie ma co liczyć, trzeba je poddać obróbce, zanim będą zdatne do jedzenia, ale owoce są słodkie i soczyste. Patrzyłem, gdzie te dzioborożce latają – kiwnął na Belga. – One znają się na owocach. *Molto boune*. Jak już coś ustalimy, pójdę nazrywać. Można z nich zrobić dżem, a nawet, myślę, wino. Nie takie jak włoskie... ale kto wie...

Pierwszego kokosa dostała Mia Jacobee. Lorenzo Capella wręczył jej również plastikową słomkę.

– Jednorazowe słomki są nieekologiczne – odparowała wystraszona Australijka.

– To możesz użyć ją wiele razy – zaproponował Włoch, zabierając się do tłuczenia następnego kokosa.

– A wracając do rozmowy... Co ta łajza ukradła? – zapytała Luzi Lu, wpatrując się wyglodniałą miną w siorbiącą Australijkę.

– Nie wiemy dokładnie, czy to on – stwierdził Simon Holemans. – I nie wiemy również, co by to mogło być. Czy ktoś ma jakieś pomysły?

Anna Strąg pokręciła przecząco głową, wpatrując się w rozdeptaną ćmę. Mia Jacobee zaprzeczyła niemal równocześnie z Nejm Ry-Di.

– A wy nie pamiętacie, czy jak weszłyście do jego pokoju, to walizka była rozpruta? – zapytała Anabell Seseke.

Dziewczyny zaprzeczyły, mocno potrząsając głowami.

– Ale dlaczego go zabił? – zapytała Luzi Lu, opuszkami palców oklepując twarz wodą kokosową. – Ktoś ma jakieś przypuszczenia?

– O ile to on – powiedział Simon Holemans, wydłubując miąższ z kokosa.

– A kto? – wzruszyła ramionami Anabell Seseke. – Po co by uciekał? Niech się policja tym zajmie. Ja nie będę się za nim uganiać – stwierdziła. – Zresztą może się utopił – dodała nie bez satysfakcji w głosie.

– Też mam zupełnie inne plany – prychnęła Luzi Lu wyjątkowo ostentacyjnie.

– Ja też – dołączyła Mia Jacobee, ukradkiem spoglądając na Tajkę.

– Niedługo ktoś nas stąd zabierze – stwierdził Lorenzo Capella. A Nejm Ry-Di pokiwała głową. – Przeszło wiać i znowu robi się gorąco...

– Musimy go złapać – przerwała mu Anna Strąg, wstając.

Odruchowo wszyscy przestali siorbać i wydłubywać miąższ z orzechów. Patrzyli na Annę Strąg. Drżały jej dłonie, trząsł się podbródek, co chwila przełykała ślinę, jakby zasychała jej w gardle.

– Pomóżcie mi – poprosiła błagalnym tonem, składając ręce jak do modlitwy. – Proszę, pomóżcie mi go złapać – dodała, wprawiając wszystkich w zakłopotanie.

– Anno, lepiej, żeby policja się tym zajęła – odezwał się Simon Holemans, przerywając ciszę. – Wcześniej czy później go złapią – dodał uspokajającym tonem.

– Nie mam czasu na później – odpowiedziała mu, opuszczając głowę. – To już ostatni rozdział – dodała, patrząc przed siebie. – I ostatnie, co chcę zrobić przed śmiercią, to złapać tego, który zabił mojego męża.

Cisza, która zaległa, sprawiła, że było słychać morze w oddali, trelujące ptaki i skrzeczące dzioborożce, a nawet brzęczące owady. Nikt się nie odezwał. Do czasu, gdy usłyszeli nasilający się warkot. Wszyscy poderwali się z kanap i podbiegli do wielkiego okna. Do pomostu dopływał speedboat.

Anna Strąg spojrzała na zbliżającą się motorówkę, po czym z przerażeniem popatrzyła na rozentuzjzmowaną grupę. Usiadła na podłodze i schowała twarz w drżących dłoniach.

Pierwsza podeszła do niej Luzi Lu.

– Nie martw się, ja ci pomogę – powiedziała stanowczym głosem i podała jej rękę, by pomóc wstać z ziemi.

– I ja też – dołączyła do niej Anabell Seseke. – Znowu jest mi winien pieniądze.

– I ja – powiedziała Mia Jacobee, przecierając jedno szkło korekcyjne w przeciwsłonecznych okularach.

– Ja mam szczęście, to może uda się go szybko złapać – stwierdził Lorenzo Capella, pakując ukelele do futerału. – I w końcu zjeść coś dobrego. Może lazanie...

– Ja pizzę – ucieszyła się Mia Jacobee.

– Dorwiemy go! – obiecała Luzi Lu.

– Czyli zaczynamy pogon – podsumował Simon Holemans, zerkając zza bananowych okularów na uśmiechającą się Annę Strąg. – I znowu razem w drogę – dodał, a wszyscy spojrzeli na cumującą motorówkę.

– Ale Polak zostaje – oświadczyła Nejm Ry-Di stanowczym głosem.

*

Li Pangyu skończył jeść zapewniającą zdrowie i długie życie zupę z ptasich gniazd. Gniazda ulepione wyłącznie ze śliny jaskółkopodobnych jerzyków sprowadzał z najbardziej niedostępnych jaskiń Indonezji. Następnie zabrał się do ociekającego tłuszczem omleta z dwunastu jaj i dwudziestu czterech wielkich malezyjskich ostryg, które miały załagodzić rozdrażnienie i zły nastrój. Na koniec z niechęcią obgryzł cztery liście cykorii, co zalecał mu lekarz na problemy z żółcią.

Odstawił talerz i jednym przyciskiem w telefonie otworzył wszystkie klatki z kotami. Zwierzęta rozpierchły się po pokoju, a kilka wskoczyło na łóżko. Poglaskał je, a potem odgonił. Przyciągnął wysięgnik z telefonem i puknął w ekran pulchną opuszką małego palca z długim paznokciem.

– Daj mi go – zażądał.

Po chwili na ekranie pokazała się płaska twarz chudego Chińczyka. Wystraszony mężczyzna o zapadłych policzkach uklonił się kilka razy z rzędu, zanim odważył się podnieść wzrok.

– Opowiedz mi jeszcze raz, jak to było.

Chińczyk w podziurawionej i przybrudzonej koszuli nie odezwał się, dopóki nie został szturchnięty przez kogoś trzymającego telefon przed jego twarzą.

– To znaczy... ja już wszystko powiedziałem – wyznał, międląc w rękach kurczowo utrzymaną szmatę.

– Powtórz – poprosił zniecierpliwiony Li Pangyu.

- No więc ona przyszła do mojej szlifierni... Już kiedyś była... Powoływała się na pana. Bo już kiedyś odbierała...

- Wiem, wiem...

- Powiedziałem, że oszlifuję ten bursztyn na poczekaniu. To znaczy potrzebuję ze dwie godziny. To była bryła wielkości dużego kurzego jaja. Jego kora była gruba... Bursztyn przed oszlifowaniem wygląda jak...

- Oszczędź mi - przerwał mu Li Pangu, wyraźnie niezainteresowany obróbką.

- Więc trochę to zajęło. Mieli wrócić po kolacji, ale on przyszedł wcześniej. Nie z nią, tylko z jakimś innym kolegą, też Polakiem. Zapamiętałem, bo miał koszulkę z tym piłkarzem na plecach. I weszli do warsztatu. Właśnie zmieniałem papier ścierny na polerce i zaczynał pokazywać się czerwonomiodowy kolor... - przerwał, słysząc głośnie westchnienie Grubego Jadeita.

- Mów, mów - zażądał grubas, wypuszczając powietrze z nadętych policzków.

- I wtedy ten Polak, co go przyniósł, poprosił, żebym mu go podał. To ja mu dałem. Wziął go do rąk i oświetlił taką mocną, małą latarką i aż wykrzyknął z wrażenia - Li Pangu zaczął głośno oddychać. Szlifierz znowu przerwał, ale szybkim gestem ręki został przywołany do kontynuowania opowieści. - I jakkolwiek by obracać ten bursztyn w palcach, pod jakimkolwiek kątem by patrzeć, to... pokazywał się mały nietoperz! - wykrzyknął, a Li Pangu jęknął, jakby był w chwili wielkiego uniesienia.

- Jak wyglądał?

- Taki jak te nasze najmniejsze nietoperze z jaskiń. Rozczapierzone skrzydła, mała głowa, tak jakby z uszami, i nogi. Tak ze dwa centymetry.

- Jak na monetach z pięciu błogosławieństw?

- Tak - potwierdził, a gruby Chińczyk zaczął się wachlować ręką.

- I on nie wiedział, co to jest?

- Jak nie wiedział?

- To znaczy wiedział, że to nietoperz. Ale oni się na nietoperzach nie znają. Powiedzieli, że może nietoperz na prezent dla kobiety się nie nadaje... Lepiej, żeby motyl był...

- Ignoranci!

- Ja im powiedziałem, że to dobre na prezent. Najlepszy prezent. Nietoperz to przecież wielkie szczęście, zdrowie, bogactwo i długowieczność. Że nietoperz po chińsku to *Fu* i szczęście mówi się tak samo *Fu*. I że znam Chińczyków, którzy by majątek za to oddali ogromny - Li Pangu skrzywił się. - Powiedziałem, bo oni nie wiedzieli - dokończył skulony już szlifierz, nerwowo przyciągając ścisną szmatę do piersi.

- Mnie tego nie musisz tłumaczyć. Co się stało potem?

- Potem to oni zapłacili i wyszli. A potem to przyszła ona. Ale ja jej powiedziałem, że bursztyn oni zabrali. Zdziwiła się. Powiedziałem jej, co było w środku... Powiedziałem też innym, bo to wielkie szczęście mieć coś takiego w ręku...

- Nie dla ciebie - przerwał mu Li Pangu. - Trzeba było schować, podmienić i przyjść z nim do mnie.

- Najmocniej przepraszam, najmocniej przepraszam, najmocniej przepraszam - powtarzał przerażony chudy Chińczyk, kłaniając się do ziemi.

Część III

KRAINA UŚMIECHU

Rozdział 24

Job2do

Okazało się, że szybka motorówka została przysłana przez zdenerwowanych właścicieli resortu, którzy postanowili sprawdzić, co się dzieje na wyspie. Kapitan nie przypuszczał, że goście będą chcieli wracać, ale też nie oponował. Wraz z pomocnikiem pomógł całej siódemce zapakować się do środka. Wszyscy pasażerowie opuszczający wyspę patrzyli na oddalający się Cinamon Serenity Spa Resort i na siebie nawzajem.

Tadziu Napierała został w lodówce.

Największe obiekcje, by pozostawić Polaka, miał Simon Holemans, uznając, że w normalnych warunkach wszyscy powinni zostać na miejscu zbrodni i poczekać na przyjazd policji. Przychylił się jednak do argumentów Anny Strąg, która przekonywała, że zostając, tracą szansę na schwytanie Scotta Whitusa. Trudno było z tym polemizować. Czekanie na zawiadomienie policji, potem na ich przyjazd, przesłuchania i tym podobne zabiegi dałoby Anglikowi czas na skuteczną ucieczkę. O ile w ogóle dotarł na wyspę, co stało się przedmiotem zmartwienia Mii Jacobee, która jako jedyna snuła przypuszczenia, że może się utopił albo samotnie dryfuje po oceanie i wkrótce umrze z pragnienia. Anabell Seseke rzeczowo stwierdziła, że to jest Zatoka Tajska, a nie żaden ocean. Poza tym tu wciąż kursują łodzie i takie szcuchy jak Scott Whitus zawsze wydostają się na ląd, choćby mu ta łódź w wodzie spłonęła. Lorenzo Capella przytomnie zabyrkadował drzwi lodówki krzesłami, by nie dostały się do środka żadne zwierzęta. Luzi Lu było zupełnie obojętne, co się stanie z Polakiem, chciała jak najszybciej mieć zasięg, a przekonanie kapitana luksusowej motorówki, że ma zabrać czyjeś zwłoki, zajęłoby na pewno trochę czasu. Nejm Ry-Di zakończyła te dywagacje, mówiąc, że kapitan nie zabrałby żadnych zwłok, tylko przerażony odpłynął, nie biorąc na łódź nikogo. I to ona zarządziła, że najlepiej nic nie mówić, tylko zaraz po przybyciu na wyspę zawiadomić policję.

– Albo tuż po odnalezieniu Scotta Whitusa – zaproponowała Anna Strąg. – Opuszczenie miejsca zbrodni będzie znacznie bardziej wytłumaczalne, gdy schwytamy Anglika, a dopiero potem złożymy zeznania.

– O ile go znajdziemy – wtrąciła Luzi Lu.

– Jestem przekonany, że szczęście nam dopisze – stwierdził Lorenzo Capella.

– Będzie musiał to jakoś wytłumaczyć – powiedziała Mia Jacobee.

– Myślę, że tutejsza policja ma dobre sposoby na prowadzenie przesłuchań – podsumowała Anabell Seseke, czym przeraziła pozostałych, którzy w milczeniu przepłynęli cały dystans, z jednej wyspy na drugą, mijając po drodze policyjną łódź.

Motorówka podплыnęła do plaży i wysadziła ich przy luksusowym resorcie. Był odwrotnością miejsca, w którym przebywali. W piasek powitykane były śnieżnobiałe parasole, pod którymi stały eleganckie leżaki. Kelnerzy roznosili long drinki udekorowane kwiatami i tropikalnymi owocami. Piasek był zgrabiony, trawa przycięta, kwiaty zadbane. Jedyne, co leżało na ziemi, to kwiaty plumerii, które spadły z drzew posadzonych w alejce prowadzącej do hotelowego lobby. Dookoła uśmiechnięci i modnie poubierani ludzie. Panie w wyszukanych strojach kąpielowych i powłóczyстых paerach, panowie w rozpiętych koszulach odsłaniających umięśnione torsy. Większość to Tajowie, prezentowali się doskonale, w przeciwieństwie do nowo przybyłych, którzy pojawili się w lekko oplakanyim stanie. Nejm Ry-Di poprawiała związane na supeł ramiączka sukienki i chowała za wszystkimi albo stawiała tyłem do wypoczywających lub pracujących ludzi. Mia Jacobee przekręcała głowę, próbując jak najwięcej zobaczyć przez jedno szkło

w okularach, mrużąc drugie oko. Luzi Lu po zobaczeniu swojego odbicia na ekranie złotej komórki nie ucieszyła się nawet zasięgiem w telefonie. Lorenzo Capella ukrywał ledwo zapraną plamę na swojej koszuli. Simon Holemans w spranym podkoszulku przegarniał palcami przetłuszczone włosy. Anabell Seseke zaś naprężyła mięśnie, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Jedyne Anna Strąg pasowała do otoczenia – w prostej czarnej koszuli, luźnych spodniach i z wisiorem na szyi wyglądała elegancko.

– Jak my się z tego wszystkiego wytłumaczymy? – zastanawiała się Mia Jacobee, drapiąc się w oko przez dziurawą oprawkę.

Tym jednym zdaniem wyraziła stan umysłu rozglądającej się dookoła większości.

To wszystko, co dało się łatwo opowiedzieć w opuszczonym resorcie podczas anomalii pogodowej, wyglądało zupełnie inaczej w pełnym słońcu, luksusowym otoczeniu, wśród wypoczywających ludzi, a przede wszystkim zrozumiałych reguł zachowania.

– Ja się będę tłumaczyć – przerwała ciszę Anna Strąg. – Wezmę każdą winę na siebie. Nie mam nic do stracenia – dodała pewnym siebie, spokojnym głosem. – Ale po kolei... – zaproponowała. Głęboko odechnęła, zwinęła końcówki srebrzystych włosów za ucho i przyglądała rękami koszulę. – Pójdę spytać, czy mają tu wolne miejsca. Musimy się naradzić, obmyślić plan, a przede wszystkim zostawić bagaże – pokazała na wielką walizkę Luzi Lu, z którą przemieszczanie się było bardzo uciążliwe.

– Musimy coś zjeść – stwierdził Lorenzo Capella.

– To też – przytaknęła Anna Strąg. – Pójdę do recepcji i spróbuję coś zorganizować.

– A my gdzie mamy czekać? – zapytała Anabell Seseke.

– Może tam? – Simon Holemans pokazał ręką na miejsce przy scenie urządzonej pod drzewami w skrajnej części resortu. Właśnie rozstawiała się tam grupa reggae, prawdopodobnie wieczorem da koncert. Stoliki pod wielkimi bananowcami były wolne. Tam będą się znacznie mniej rzucać w oczy niż na plaży. Ruszyli więc w tamtym kierunku, natomiast Anna Strąg poszła w stronę hotelowej recepcji.

Muzycy zespołu reggae i technicy kręcili się po scenie – składali mikrofony, wypakowywali instrumenty, rozwijali kable... – wszystko pod wielkim banerem z napisem Job2do. Z daleka prezentowali się kolorowo, lecz trochę niechlujnie. Dopiero z bliska było widać, że nierówno podciągnięte nogawki, wypuszczone ze spodni pojedyncze poły wielobarwnych koszul, kolorowe chustki na szyi, farbowane bandanki na głowie, wymyślne okulary ze szklami wielkości małych monet, a przede wszystkim dredy sięgające poniżej kolan, były częścią wyjątkowo przemyślanych, estradowych stylizacji.

Patrzyli na nich z ciekawością, rozsiadając się w wygodnych, okrągłych bambusowych fotelach. Choć nie wszyscy usiedli. Luzi Lu z zaciętą twarzą suwała palcem wyświetlacz telefonu. Lorenzo Capella odszedł na bok i zaczął rozmawiać przez telefon, rzucając pojedyncze włoskie zdania – niewiele mówił, częściej odsuwał aparat od ucha, zasłaniając ręką słuchawkę. Nejm Ry-Di też nie usiadła. Podeszła do ładnej dziewczyny z zespołu, która stała przy dużym motorze, i zaczęła z nią rozmawiać. Chwilę dyskutowały, kręciły głowami, a zaraz potem – ku zaskoczeniu całej obserwującej ją grupy – Tajka, bez zbędnych ceregieli, wsiadła na odpalony przez nią motor. Nim Simon Holemans zdążył zareagować, odjechały. Mia Jacobee poderwała się z fotela, by po sekundzie opaść na niego bezradnie.

– Nawet się nie pożegnała – jęknęła.

– Miałem szczęście – szepnęła Lorenzo Capella Simonowi Holemansowi do ucha. – Normalnie bym się zaangażował...

– Uciekła – prychnęła Anabell Seseke. – Od początku myślałam, że nie ma co na nią liczyć.

– Bardzo niedobrze... – westchnął Belg. – Musimy jak najszybciej porozmawiać z policją.

– Nic o niej nie wiemy – pociągnęła nosem Australijka.

– A o sobie coś wiemy? – syknęła Anabell Seseke.

– Podejrzewasz, że to ona mogła zabić tego Tadzia? – zapytała Luzi Lu.

– Podejrzewam każdego – odpowiedział Simon Holemans.

- I tego drugiego Polaka też? – ciągnęła dalej Węgierka.
- Nie można wykluczyć. Pojawiła się i znikła bez słowa.
- E tam! – Anabell Seseke machnęła ręką. – Przecież nie było jej na zdjęciach, więc nie z nią był umówiony, jak mówił żonie. I nie brońmy tego Whitusa, bo nie ma co. Wiadomo było od początku, że kręci. Całą drogę jechał z nim w nocnym autobusie, próbował szperać mu w torbie... Przypadek? – rozłożyła ręce i przekreśliła głowę tak mocno, że złote koło kolczyka dotknęło ramienia. – Wiedział, że coś ma cennego, i próbował ukraść. Wiele jest takich łazęg, co się chwala, że bez pieniędzy podróżują. Po części to prawda, bo bez swoich. Teraz też grzebał i okradł tego Tadzia.
- Może i naciągacz, może i drobny złodziej, ale czy morderca? – zastanawiał się Simon Holemans. – Nie wiedział, jaki skarb miał Polak.
- Skąd wiesz?
- Bo Martin spotkał się ze mną później i nie zdawał sobie sprawy, co ma. Mówił o prezencie od birmańskiej rodziny. Jedyne podejrzewał, że może być więcej wart niż te lekarstwa, które przekazał.
- Jak dla kogo – wtrąciła Mia Jacobee. – Bo dla chorego już nie.
- A nie domyśliłeś się, co to może być? – zapytała Luzi Lu.
- Nie – odpowiedział Simon Holemans. – Mówił tylko o tym, że trzeba to oszlifować, żeby mieć pewność.
- Pokazał ci? – zapytała Węgierka.
- Nie.
- Może ustalmy, co robić dalej – zaproponowała Mia Jacobee. – Bo ja nie mam pomysłu. A przede wszystkim głodna jestem.
- Ja też muszę coś zjeść – jęknął Lorenzo Capella, gdy wiatr przywiał zapach małych szaszłyków na ostro i smażonych bananów na słodko, którymi zajadał się zespół reggae.
- Oj! – pisnęła Mia Jacobee.
- Najpierw pomyślm, jak mamy znaleźć Anglika, bo my tu będziemy siedzieć, a on odplynie i zaszyje się gdzieś na lata – przypomniała Anabell Seseke.
- O, idzie już Anna.

*

Porucznik Surasak Jintana przeszedł się po pustym, opuszczonym resorcie. Szczerze się zdziwił. Nie przypuszczał, że uda im się zorganizować transport chwilę po tym, jak zezwolono na kursy po zatoce. Poczuciem był fakt, że kapitan policyjnej łodzi patrolowej rozpoznał motorówkę należącą do modnego hotelu na sąsiedniej wyspie, z którą minęli się po drodze. Przynajmniej wiedział, od czego zacząć poszukiwania, choć nie uśmiechał mu się powrót w to miejsce. Musiał przyznać, że spotkanie ze swoim sobowtórem było dojmującym doświadczeniem. Zmęczony trzydniową imprezą aktorzyzna wyglądał nieświeżo, ale, niestety, wyjątkowo do niego podobnie. Porucznik zaproponował mu, by coś z tym zrobił, najlepiej operację plastyczną albo chociaż ufarbował włosy na różowo, co jest ostatnio w modzie. Ten z wrażenia nie mógł wypowiedzieć słowa. Wtrącił się jakiś reżyser, zachwycony sytuacją i nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Piczają zaś, która wcześniej próbowała go tłuc piąstkami, uznała, że porucznik jest znacznie bardziej męski od jej byłego narzeczonego...

Jęknął na samą myśl, że ma wracać do tego cyrku. Prawdopodobnie z tego powodu postanowił rozejrzeć się jeszcze po opuszczonej wyspie. Ósrodek był w oplakanyim stanie, wyspa bezludna, a on jako Taj zupełnie nie rozumiał zachodniej potrzeby pobycia w samotności, ale przecież wiele trudu zajęło sprowadzenie całej grupy na to pustkowie... Dlaczego więc tak szybko je opuścili? – zastanawiał się, wchodząc do hotelowego lobby.

Pogoda była wspaniała, morze w kolorze szmaragdowym, wiatr przyjemny. Pośpiech w opuszczeniu tej wyspy wydał mu się trochę podejrzany. Tak samo jak obecność Nejm Ry-Di, która narażała swoje życie, by tu dotrzeć. Rozmyślał. Wtem usłyszał z zaplecza odgłos rżącą lodówką. Bezwiednie ruszył w kierunku jazgotliwego dźwięku. Świecąca chłodziarka na napoje drżała obstawiona krzesłami. Jedno z nich blokowało kławkę. Ale po co?!

Początkowo nie zdawał sobie sprawy, na co patrzy, dopiero widok ludzkiej ręki uświadomił mu, że w środku zamknięty jest człowiek. Zawołał policjantów, którzy wałęsali się po plaży, czekając na jego powrót. Zanim dobiegli, wyciągnął zwłoki, odwinął i zobaczył ciało Polaka, Tadeusza Napierały. I o ile śmierć innego Polaka, który utonął w odmętach Chao Phray'i można było uznać za przypadkową, o tyle rana kluta w klatce piersiowej leżącego przed nim człowieka świadczyła o czymś zupełnie innym. Zarządził zabranie zwłok i natychmiastowe odesłanie ich na większą wyspę Ko Chang w celu zrobienia sekcji zwłok.

Zabawa się skończyła.

Rozdział 25

Tuk-tuk

Annie Strąg udało się wspiąć na wyżyny pertraktacji z obsługą hotelu i załatwić klucz do jednego z domków, który właśnie opuściła jakaś obrażona gwiazda tajskiej telewizji. Mieli tylko chwilę poczekać, nim zostanie posprzątany. Potem szybko przenieśli swoje bagaże i ruszyli w kierunku stolików w cieniu bananowców, gdzie miały być im dostarczone przekąski. Tylko Luzi Lu przebrała się i przepakowała, zabierając ze sobą mały plecak, do którego włożyła statyw i lampę.

– Mamy trochę czasu, by ustalić plan – oświadczył Simon Holemans, przyglądając się Annie Strąg, która odrzucała na komórcę każdą przychodzącą do niej rozmowę.

– Nie mam siły tłumaczyć się koleżance – skwitowała, chowając telefon do torby.

– Nejm uciekła – pożałowała Mia Jacobee.

– Nie wiem, czy to dobrze, czy niedobrze – westchnęła Anna Strąg.

– Pewnie powiadomi policję, bo nie będzie chciała mieć z nami nic wspólnego.

– Możliwe – przytaknął Simon Holemans.

– Czy myślicie, że ta policyjna łódź już dotarła na wyspę? – zapytał Lorenzo Capella.

– Wcześniej czy później się dowiemy. Pewnie najpierw zaczną nas szukać – powiedział Belg.

– Już szukają – zniżyła głos Luzi Lu i pokazała palcem na zejście z parkingu.

Alejką pomiędzy drzewkami plumerii szło dwóch policjantów, prosto do hotelowego lobby. Idąc, rozglądali się dookoła.

– Jednak nas wydała – jęknęła Mia Jacobee. – Nawet nie ustaliliśmy, co mamy zeznawać.

– To co robimy? – zapytała Anabel Seseke, nachylając się nad stolikiem. – Uciekamy?!

– Z tego ośrodka jest jedna droga i kilometr do centrum – stwierdziła Luzi Lu, patrząc na mapę w telefonie.

– Tam, do lasu! – podrzucił Lorenzo Capella, pokazując na zarośla w oddali.

– To drzewa kauczukowe – Simon Holemans pokręcił głową. – Rosną w przejrzystych rzędach. Cienkie tyczki, przez które widać na kilometr. To nie las, tylko uprawa.

– I pewnie z mnóstwem pajaków – wzdrygnęła się Anabell Seseke.

– Schowajmy się do domku – zaproponował Włoch.

– Przecież zaraz w recepcji powiadzą, gdzie możemy być – Anna Strąg pokręciła głową. – Jeśli to nas szukają...

– A może tylko tak przyjechali albo... – Luzi Lu nie dokończyła, bo zobaczyli wychodzącą wraz z policjantami recepcjonistkę, która pokazywała im domek.

– Poddajmy się – zaproponowała Mia Jacobee.

– Ej! – z parkingu powyżej rozległ się krzyk. Wszyscy zadarli głowy.

– Może się poddamy, ale nie w tej rundzie! – wykrzyknęła Anabell Seseke, która pierwsza dostrzegła Najm Ry-Di. Tajka stała na drodze obok zaparkowanego kolorowego tuk-tuka i machała do nich ręką.

Zanim policjanci zdążyli obejść domek, zastukać we wszystkie okna i poprosić obsługę o klucze, cała grupa zdążyła przemknąć przez teren resortu, skracając sobie drogę przez trawnik i klomby. Po chwili wszyscy siedzieli na pace motorkowej rikszy, ściśnięci na dwóch ławeczkach. Nejm Ry-Di nie zdejmowała nogi z gazu, zajeżdżając obciążony do granic pojazd. Podskakiwali na wszystkich wybojach, ale mimo niewielkiej prędkości skutecznie oddalali się od hotelu. W pewnym momencie Tajka skręciła z głównej drogi

i zatrzymała tuk-tuka na poboczu, tuż za niewielką restauracją, nieopodal wielkich słomianych koszy, które nakrywały paradujące w środku koguty. Wyłączyła silnik i podeszła do paki.

– Musicie się rozdzielić – powiedziała to zupełnie innym niż dotychczas głosem. Ten teraz był niższy i konkretny, i bardzo daleko mu było do perlących się dźwięków, które wcześniej wydobywały się z jej ust.

– Po pierwsze: z tego, co wiem, policja rozpytuje o sześciuosobową grupę farangów w różnym wieku. To za bardzo do was pasuje. Po drugie: na tej wyspie są dwie regularne przystanie, po wschodniej i zachodniej stronie. Anglik będzie musiał z którejś skorzystać, jeśli chce opuścić wyspę, a myślę, że chce. Promy nie zaczęły jeszcze kursować, ale wkrótce zaczną. Będzie próbował dostać się na jakąś łódź. Zakładam, że nie ma pieniędzy na prywatny transport. Proponuję grupę młodszych i starszych. Ty, ty i ty – pokazała na Lorenzo, Mię i Anabell – jesteście grupą przyjaciół podróżujących razem. Ty i ty – pokazała na Simona i Annę – jesteście małżeństwem. Z córką – dodała, celując palcem w oniemiałą Luzi Lu. – Ja będę kursować między jednymi a drugimi i spróbuję dowiedzieć się jak najwięcej od miejscowych.

– Kim ty jesteś? – zapytał Simon Holemans, który przed chwilą poczuł się jak na odprawie wydziału śledczego w trakcie przydzielania zadań.

– Między innymi przyjaciółką Tadzia – odparła w momencie, w którym pojawił się Taj wyglądający na właściciela posesji. Uśmiechnął się, po czym podszedł do kosza, podniósł go, wziął koguta na ręce, odwrócił się zazdrośnie i zaczął głaskać długie, bajecznie kolorowe pióra, obrzucając wszystkich podejrzliwym spojrzeniem.

– Czy ten kogut jest do walk?

– Nie możemy tu stać i nie ma teraz czasu na rozmowy – ucięła Nejm Ry-Di. – Od dwóch dni nie wypływały promy. Na przystaniach jest mnóstwo ludzi, łatwo się przemknąć. A to mój numer telefonu, rozdała wszystkim małe karteczki, wyślijcie, teraz, w czasie jazdy namiary do siebie – zakończyła, wsiadła na motor i pognała w kierunku zachodu słońca, wioząc na naczepie oniemiałą grupę.

– Jakby miała dwa wokale w gardle – pokiwał głową Lorenzo Capella.

Nejm Ry-Di wysadziła młodszą grupę, przestrzegając, by nawet nie stawali obok kogokolwiek, kto mógłby być wiekiem kojarzony z Anną Strąg czy Simonem Holemensem. Anabell Seseke kazała zająć pozycję obserwatora i nie wychodzić z przyczajenia, gdyż jest najbardziej rozpoznawalna. Nim Anabell Seseke zdążyła zareagować, Nejm Ry-Di odpaliła motor i ruszyła z drugą grupą na przystań.

– A wy wyglądajcie jak para. I bez znaczenia, czy widzicie policję, czy nie, nigdy nie wiadomo, kto jeszcze obserwuje, najlepiej weźcie się za ręce. Ty – zwróciła się do Luzi Lu – rozglądaj się pod pozorem nagrywania wszystkiego na telefon. Powodzenia – rzuciła Nejm Ry-Di i odjechała. Trzy osoby bez słowa obserwowały odjeżdżającego tuk-tuka i powiewające na wietrze rozjaśnione końcówki długich włosów.

– Kim ona jest? – zapytała Luzi Lu.

– Pojęcia nie mam – odparła Anna Strąg.

Simon Holemans również nie wiedział, ale był bardziej niż przekonany, że zna się na swojej robocie. Przyglądził długie włosy, założył bananowe okulary na nos. Próbował też wyprasować rękami porzucaną koszulkę, ale nie widząc różnicy, zaprzestał. Odwrócił się do Anny Strąg i nieporadnie wyciągnął do niej rękę. Ta chwilę się zastanawiała, po czym podała mu swą dłoń.

– To ja idę się rozejrzeć – powiedziała Luzi Lu i uśmiechnęła się do nich. – Na wypadek, gdyby jednak chciał kupić bilet – dodała, pokazując na sprzedawcę, który urzędował na tle banneru z rozkładem jazdy i bajecznymi widokami z najczęściej uczęszczanych miejsc w Tajlandii.

– Słusznie – przytaknął Belg, nie wypuszczając trzymanej dłoni ze swojej ręki. – My pójdziemy na koniec przystani – Luzi Lu tylko kiwnęła głową i odwróciła się na pięcie.

– Nie pamiętam już, kiedy tak spacerowałem – uśmiechnął się Simon Holemans do lekko spłoszonej, srebrzystowłosej Polki. – Naprawdę nie wiesz, kim ta Tajka jest?

– Pojęcia nie mam – odparła, przepuszczając motor obładowany kilkoma ogromnymi kartonami, które wiozł na prom.

– Przypuszczam, że nie jest tylko byłą dziewczyną Tadzia... Zachowuje się jak bardzo dobrze wyszkolony agent...

– Ale czyj?

– Nie wiem, ale ona wie, na czym polega praca operacyjna, bez mrugnięcia okiem rozdziela zadania, jest opanowana i sprawnie porusza się po znanym terenie.

– Czyżby? O mało nie utonęła.

– Ale nie utonęła. Może lubi zadania specjalne. Tylko dla kogo pracuje? – głośno zastanawiał się Belg. – Bo nie dla policji, to pewne – dodał i przysunął się bliżej Anny Strąg, objął ją ramieniem i dotknął dłonią policzka. – Nie ruszaj się! – powiedział szeptem, a Anna Strąg wstrzymała powietrze, patrząc na Belga. Stał bardzo blisko, blokował jej jakikolwiek ruch. Nawet nie mogła się obejrzeć. – Za tobą niewielki samochód terenowy z dwoma żołnierzami na przednim siedzeniu.

– Już nas szukają? – zapytała, nie wiedząc, czym jest bardziej przerażona, obejmującym ją mężczyzną czy wojskowym patrolem.

– Najpierw to my musimy kogoś znaleźć – uśmiechnął się i ponownie wziął ją za rękę. – I bardzo chciałem cię przeprosić.

– Za co? – odetchnęła z ulgą.

– Bo do tej pory obserwowałem to wszystko z boku – mówił, spacerowym krokiem zbliżając się do miejsca, gdzie przybijały promy i motorówki. – I trochę w duchu drwiłem z tego, przepraszam, nie chcę cię urazić, amatorskiego śledztwa – odwrócił głowę, jakby wstydził się tego, co mówi. – Drwiłem, a powinienem się zaangażować, choćby ze względu na twój stan... Wiem, że na pewno ciężko ci o tym mówić... – zająknął się, a Anna Strąg spuściła wzrok. – Nie wiem, czy to pomoże, ale od teraz przyrzekam! – przystanął i lekko uniosł palcami jej podbródek, tak by spojrzała mu w oczy. – Zrobię wszystko, żeby zdążyć rozwiązać tę sprawę. Wszystko – dodał i objął ją ramieniem, widząc ponownie przejeżdżający łązik wojskowy.

Z daleka wyglądali jak trochę niedobrana, ale ładna para.

*

Scott Whitus siedział skulony pomiędzy plecakami dużej grupy. Jej członkowie poznali się na jakiejś psychodelicznej imprezie i od pół roku nie mogli się rozstać, podróżując wspólnie po Azji Południowo-Wschodniej, przechwalając się ilością zjedzonych grzybków. Doskonale wtapiał się w środowisko chłopaków pogrywających na bębenkach i płaszających dziewczyn z piórkami wplecionymi we włosy. Bez problemu pożyczył podziurawiony, słomkowy kapelusz i choć nie spodziewał się, że ktoś będzie go szukać, to przysłonił nim pół twarzy.

Pierwsze promy dopiero wypływały w morze. Najedzony i względnie spokojny, smarował stopę przekrojoną cytryną. Nadal tkwiły w niej cieniutkie kolce jeżowca, które ułamały się głęboko pod skórą i nie dały się wyjąć. Próbował nawet dość bolesnej metody polegającej na miażdżeniu tkwiących odłamków, tłukąc kamieniem piętę, ale na efekt trzeba było poczekać kilka dni. Z kolecami czy bez i tak był szczęśliwy, że udało mu się uciec z morderczej wyspy.

Wsluchując się w rytmiczne dźwięki bębenków, rozmyślał, gdzie teraz pojedzie. Jedno było pewne, pojedzie na stację autobusową w Tracie i kupi dwa bilety na tę samą godzinę, ale w inne miejsca. Postara się, żeby jedna bileterka go zapamiętała, a druga nie. Postoi na jednym peronie, tak by wszyscy go zobaczyli. Okaże nawet bilet, wsiądzie, a potem wyjdzie, nim autobus odjedzie, i przejdzie do drugiego, już w kapeluszu na głowie. Wszystko jedno, w jakim kierunku. Zmyli pogoń. Jeśli będą chcieli go śledzić, udadzą się gdzie indziej. A potem może do Laosu albo Kambodży? Gdzieś, gdzie można się zaszyć na dłużej. Pieniądze wziął z portfela Tadzia, uznał, że jemu już się nie przydadzą. Było ich tyle, że wystarczy mu na kilka mie-

sięcy. Pomyślał o tym pół godziny po tym, jak cała ekipa wciągnęła niezwykle mocne ciasteczka z marihuana, które trzymał na specjalne okazje. Jeszcze tydzień temu nie uwierzyłyby, że będzie szczęśliwy z tego powodu, że nieznana mu grupa ludzi zje je wszystkie naraz. Ale teraz cieszył się bardzo.

Na horyzoncie pojawił się prom. Przyplýwał. Zrobiło się wielkie poruszenie. Wszyscy zaczęli się podnosić. Ustawiła się długa kolejka przy schodach prowadzących do wejścia na pokład. Scott Whitus zarzucił stary worek na plecy i też wstał, rozglądając się wokół siebie. Pierwszą zobaczył Luzi Lu, która spokojnie stała w rzędzie czekających do wejścia osób. Nie zauważyła go. Przykucnął z wrażenia i bał się poruszyć. Nasunął kapelusz na twarz. Miał nadzieję, że się udało, ale wyrosła przed nim para trzymająca się za ręce. Spojrzał na nich i oniemiał. Anna Strąg i Simon Holemans.

– To wy jesteście w znowie! – wrzasnął, patrząc na ich splecione palce.

Poderwał się i zaczął uciekać. Przewrócił kilka bębenków, minął kilka wózków ciągniętych przez motory, które rozwoziły towary. Kuśtykając, uciekał tylko trochę szybciej niż goniąca go para. Potknął się o czyjaś walizkę, ale biegł dalej. W końcu dotarł do brzegu, przy którym stały motorki do wypożyczenia. W jednej ze stacyjek dostrzegł kluczyk. Rzucił się na niego, odpalił i ruszył, zagłuszając wołanie właściciela, który właśnie jadł nadziane na patyki grillowane ośmiorniczki i nie potrafił zrozumieć, co się stało. Dodał gazu i pognał przed siebie, zostawiając daleko w tyle zadyszana parę. Jechał, próbując zebrać chaotyczne myśli. Nagle jadący z naprzeciwka rozpędzony tuk-tuk wyraźnie zajeżdżał mu drogę.

Rozdział 26

Packa na komary

Anglik otworzył oczy. Nie mógł mówić i nie mógł się poruszyć. Nie wiedział, gdzie jest i co się z nim stało. Siedział na krześle i był związany paskami frotté od szlafroków, skórzanymi od spodni i parcianymi od jakichś torebek. Zobaczył swoją twarz odbijającą się w szybie i zrozumiał, dlaczego nie może mówić i chce mu się wymiotować – w usta miał wciśnięty biały ręcznik, obwiązany dookoła głowy jakąś apaszką.

Potem zobaczył Anabell Seseke, która przywiązywała jego kostkę do nogi od krzesła, mocno zaciskając srebrną klamrę od paska. Widział jej pełną satysfakcji i zadowolenia minę i nie mógł nic powiedzieć.

– O, ocknął się – skwitowała Niemka, klasnęła w dłonie i wyszła, zamykając przezroczyste drzwi.

Chwilę mu zajęło, by zorientować się, że siedzi na krześle w kabinie prysznicowej znajdującej się na samym środku luksusowego pokoju. Pokój był duży. Między bogato zdobioną sofą a fotelami leżały niechlujnie porzucone walizki, niektóre otwarte. Obok stało wielkie łóżko z pięknym zagłówkiem tapicerowanym w jakieś rajskie wzory. Na łóżku po jednej stronie leżała Mia Jacobee wyglądająca jak pirat, a po drugiej rozłożył się Lorenzo Capella. Pomiędzy nimi była wielka taca, pełno talerzyków z jedzeniem, kilka miseczek ryżu i wysokie szklanki z sokiem mango.

– Ja to mam szczęście, że zdążyłem to wszystko kupić – cieszył się Włoch, a Australijka przytaknęła, zlizując z palców sos, w którym maczała spring rollsa.

– To jest dobre – dodała Mia Jacobee z pełnymi ustami i pokazała jeszcze na jeden z talerzyków. – Uwielbiam warzywa w tempurze.

– Ja też, choć wolę z oliwą.

Anabell Seseke nie była zainteresowana jedzeniem. Karmiła się widokiem pojmanego Anglika, stojąc naprzeciwko szklanych drzwi w dość dużym rozkroku, z rękami zaplecionymi na piersi.

– Na szczęście tym razem daleko nie uciekłeś – skwitowała z wielką satysfakcją w głosie. – I teraz już się nie wywiniesz.

Scott Whitus zaczął się rzucać, próbując poruszać się wraz z krzesłem, ale nie miał za wiele miejsca do popisu. Po chwili jedna z nóg od krzesła utknęła w ozdobnych kamieniach, którymi obłożony był brodzik. Nie przewrócił się, ale poleciał na bok, zatrzymał się na szybie i utknął przyssany połową twarzy do jednej ze ścian kabiny prysznicowej.

Anabell Seseke patrzyła z zadowoleniem na niewygodną pozycję, w której się znalazł, i głośno westchnęła, widząc, jak zaczyna się dławić wetkniętym w usta ręcznikiem.

– Mogę ci go wyjąć. Ale pod warunkiem, że ani piśniesz! Będziesz grzeczny? – zapytała, otwierając drzwi. Przytaknął. – Bo jak nie będziesz, to ta urocza dziewczyna, Nejm Ry-Di, zdążyła mi pokazać takie uderzenie w potylicę, jakiego nie znałam. Muszę ci powiedzieć, że jest szybka i diabelnie precyzyjna.

Scott Whitus, który do tej pory skupiony był na szklanej pułapce, w jakiej się znalazł, teraz zaczął przypominać sobie, co się stało. Najpierw zobaczył Luzi Lu, potem Polkę z Belgii. Zaczął uciekać. Był już daleko, gdy drogę zajechał mu pędzący tuk-tuk. Stał w poprzek szosy, na której leżał pies, wjechał więc w krzaki. Motor odjechał mu spod nóg, a on wylądował na ziemi. Wtedy podeszła do niego ta Tajka. Myślał, że chce mu pomóc wstać, a ona wykręciła mu rękę, prowadząc do pojazdu. Chciał ją odepchnąć, a wtedy puściła go, ustawiła się bokiem, skoczyła i kopnęła go nogą w kark, nim zdążył zrobić krok. Więcej nie pamiętał.

– Tak, to musiał być bardzo piękny wyskok – pokiwała głową Anabell Seseke. – Tajowie są mistrzami, nikt ich nie przegoni, bo wcześniej zaczynają treningi i nikt się tam z nimi nie cacka. Nie to co u nas! Ona

też musiała wcześniej zacząć. Tylko tak się wyrabia szybkość, celność i precyzję... Ach... jeszcze wiele mi brakuje. Ale jak piśniesz – zagroziła, mierząc w niego palcem – albo krzykniesz, lub choćby podniesiesz głos, to potraktuję cię jak worek treningowy i będę próbować do skutku. Aż padniesz. Zrozumiano, morderco?! – zakończyła, patrząc mu prosto w oczy.

Scott Whitus przytaknął, potrząsając głową. Chciał jak najszybciej pozbyć się ręcznika z ust, bo zaczął się dusić.

– Mówiłam, że przyzna się od razu! – wykrzyknęła usatysfakcjonowana Anabell Seseke.

– Do czego? – zapytał Scott Whitus, jeżdżąc językiem po suchym podniebieniu.

– Do podwójnego morderstwa – powiedziała, mocno mrużąc oczy.

– Ja nikogo nie zabiłem! – wykrzyknął Anglik, jak tylko złapał głębszy oddech.

– Mówiłam ci, bądź cicho – syknęła Anabell Seseke, próbując zakneblować go ponownie. Anglik z przerażeniem wykręcił głowę. – Będziesz grzeczny?

Przytaknął.

– Ja bym chciała, żebyś wiedział – wtrąciła się Mia Jacobee, międląc w ustach smażonego banana – że jestem wielką przeciwniczką przemocy, tortur przede wszystkim. Ale ty jesteś niebezpieczny i stanowisz zagrożenie. Nie tylko dla nas, ale i dla siebie – tłumaczyła.

– Niby jak?!

– Uciekasz łodzią, choć słabo pływasz, a potem uciekasz motorem i wpadasz w krzaki – oświadczyła, rozkładając ręce. – Zrobisz sobie krzywdę jak nic i będzie na nas.

– Ja sobie zrobię krzywdę?! Ja?! Kto mnie związał, kto sprowadził na wyspę...?

– Ale czy naprawdę musiałeś zabijać tego Polaka? – zapytał Lorenzo Capella, nadziewając wykałaczką kawałek mango. – To był miły facet...

– Albo topic tego drugiego – dołożyła Anabell Seseke. – Gdybyś nie wepchnął go do rzeki, tobyś nie dostał zaproszenia na wyspę. A ja nie musiałabym cię widzieć po raz drugi.

– Ale ja nikogo nie zabiłem – jęknął Scott Whitus. – Uwierzcie mi.

– Pokażę ci coś – powiedziała Niemka i zgarnęła ze stolika kupkę usypanych monet. – Nie będę ci liczyć, ile ukradłeś, bo nie wiem, ile wydałeś, ale patrz, co wyjęłam z twojej kieszeni – pokazała na dłoni garść monet. – Dziesięć tysięcy batów, dwadzieścia, dwadzieścia pięć, jedna korona norweska, dwie, trzy, jakieś eurocenty i pięć polskich złotych – podsunęła mu pod nos dwukolorową monetę. – Jesteś numizmatykiem? – warknęła mu prosto w twarz.

– To, że pożyczyłem, to nie znaczy, że zabiłem!

– Super! Będziesz miał szansę oddać mu na tamtym świecie, bo w Tajlandii jest kara śmierci. Poza tym obok rozprutej torby Polaka leżał twój nóż...

– Przypominam ci, że tam leżała również Mia i Nejm – jęknął Scott Whitus.

– Ale przy tobie znaleziono jego rzeczy osobiste – syknęła Australijka.

– Nie rzeczy osobiste, tylko pieniądze, których nie ukradłem, a po prostu wziąłem. Ja naprawdę nikogo nie zabiłem – jęknął bezradnie, zdając sobie sprawę, że i tak nikt mu nie wierzy. – To, że uciekłem od bandy wariatów, to nie znaczy, że kogoś zabiłem – tłumaczył, cedząc słowa.

– Kogo nazywasz wariatem? – spytała Anabell Seseke.

– Nie rozumiesz?! Ktoś tu morduje! I to nie jestem ja! Ja tylko chciałem od tego uciec... – powtarzał, bezradnie uderzając głową o szklaną ścianę prysznicza.

– Nie denerwuj się – powiedział Lorenzo Capella, wstając z łóżka i podchodząc do okna. – Poczekamy na Annę, Simona i Nejm, niech oni zadecydują, co z tobą zrobić. W końcu to jednej żonę, a drugiej chłopak – stwierdził, wyglądając zza zasłonki. – Coś długo ich nie ma.

– Myślisz, że to jej chłopak? – zapytała nieśmiało Mia Jacobee, odganiając sprzed twarzy komara.

– Na pewno do niego przyplynęła – stwierdziła Anabell Seseke.

– Właśnie! – wykrzyknął Scott Whitus i zgromiony wzrokiem przez Niemkę zniżył ton. – A jeśli to ona? Pomyślałaś... Nie wiadomo, dlaczego przypląnęła i czego szukała, bo na pewno nie miłości – oświadczył, drwiąco wykrzywiając twarz. – Przypląnęła, poszła do jego domku, zapukała. Wyszedł. Zabiła go, a potem wróciła na plażę, położyła się i czekała, aż ktoś ją znajdzie. Proste. Pomyślałaś o tym? – Anabell Seseke wysłuchała, po czym nachyliła się nad Anglikiem.

– A słyszałaś pierwszą podstawową zasadę kryminału? Najprostsze wytłumaczenia są najlepsze! I ty jesteś najprostszym wytłumaczeniem. A wiesz, jaka jest druga zasada kryminału? Zabija ten, kto czerpie z tego największe korzyści. Widzisz to? – zapytała, pokazując palcem wygarnięte z kieszeni Scotta Whitusa pieniądze.

– I niby dla tych paru batów miałem zabić. Zwariowałaś?! – krzyknął, a Anabell Seseke wzięła odłożony ręcznik i zaczęła związać go w kulkę. – Dobrze, już jestem cicho. Tylko zabij go.

– Kogo?

– Tego komara, co usiadł mi na czole – jęknął Scott Whitus, a Anabell Seseke uśmiechnęła się, pokazując dwa rzędy białych zębów.

– Z przyjemnością. O, zaraz... gdzie on jest, nie widzę – mówiła, czekając, aż komar się opije. Kiedy odleciał ocieślały, plasnęła go w czoło z wielką satysfakcją.

– W dzieciństwie wyrwałaś skrzydła motylom? – warknęła przez zęby Scott Whitus.

– O! Jest jeszcze jeden – machnęła ręką Mia Jacobee.

– Na szczęście mnie dziś nie gryzą – odparł Lorenzo Capella. – Ale tam jest elektryczna packa – pokazał na otwartą walizkę Luzi Lu, z której wystawała plastikowa rączka elektrycznej raketki, która się nie zmieściła do plecaka.

– Myślisz, że możemy wyjąć jej tak z walizki?

– Przecież się nie obrazi – wzruszyła ramionami Anabell Seseke i wyciągnęła raketkę. Przesunęła guzik zamykający obieg i zaczęła ciąć nią powietrze. Natrafiając na komara, aż cała się zelektryzowała, a w powietrzu rozniósł się zapach spalenizny.

– O, jakiś tu lata – stwierdziła, machając tuż przed nosem Scotta Whitusa.

– Weź przestań – wykręcał się, próbując nie oberwać w nos. – Pomyślałaś, by pójść na zajęcia z panowania nad przemocą?

– O, komar! – uśmiechnęła się Anabell i śmignęła włączoną raketką tuż nad głową Anglika.

– Nie wiem, czy leczy się sadyzm, ale zawsze warto próbować – syknął Scott Whitus, próbując się uchylić, ale nie miał gdzie.

– I ty, morderco, mówisz mi o przemocy – warknęła, zbliżając się do niego z paletką.

Scott Whitus szarpnął całym ciałem, by odskoczyć razem z krzesłem, i nadział się na latającą mu nad głową elektryczną packę na komary. Gdy tylko się z nią zetknął czubkiem głowy, pomiędzy ponaciągany drucikami przeleciało kilkadziesiąt iskier i rozległy się elektryczne trzaski. Anabell Seseke otworzyła usta z wrażenia. Scott Whitus zaczął się trząść i podrygiwać. Oczy wywinęły mu się tak, że znikły niebieskie tęczęwki i widać było same białka. Ruszał ustami, choć nie było nic słyhać. Z ust ciekła mu ślina. Nie było wiadomo, czy chce coś powiedzieć, czy to mimowolne ruchy ciała, przez które przebiegł prąd.

Mia Jacobee zaczęła krzyczeć, zszokowany Lorenzo Capella przyłożył dłoń do jej ust. A podrygujący Scott Whitus przewrócił się z całym krzesłem do tyłu.

– Co ja zrobiłam? – jęknęła Anabell Seseke, wypuszczając raketkę z rąk.

Ktoś pukał do drzwi.

*

Nejm Ry-Di odstawiła Annę Strąg i Simona Holemansa do domku. Szukanie Luzi Lu odłożyła na później. Kazała wszystkim na siebie poczekać. Usiadła przy stoliku pod wielkim bananowcem nieopodal sceny.

Wyciągnęła telefon i czekała na wiadomości z właściwym numerem i nazwiskiem. Esmes przyszedł, ale musiała się najpierw pozbyć natarczywego pracownika hotelu, który co chwilę podchodził, upierając się, że skoro usiadła przy scenie, to musi być członkinią zespołu reggae. W końcu powiedziała, że tak. Odegrała rolę nabzdyczonej gwiazdki estrady i przegoniła go, obiecując autograf całej ekipy.

Wybrała numer i czekała na rozmowę z asystentem pracującym w szpitalu, do którego zawieziono zwłoki Tadeusza Napierały. Odebrał. Dotarło do niego przesłane wynagrodzenie i bez zbędnych pytań uwierzył, że rozmawia z dziennikarką Farang Bangkok Post. Był tak zadowolony, że przez pierwsze minuty musiała przekonywać go, że nie dostanie żadnych dodatkowych pieniędzy za dostarczenie gazecie zdjęć, mimo że zdążył już je zrobić. Nie krył rozczarowania. Przekonała go, że gazeta chciała tylko poznać przyczynę śmierci Polaka, ograniczając publikację makabrycznych fotografii ze względu na cudzoziemskich odbiorców. W końcu przeszedł do rzeczy. Myślała, że potwierdzi się rana od małego noża, który tkwił w jego piersi, ale ku jej zaskoczeniu okazało się, że Polak mógł być też porażony prądem. Albo paralizatorem, albo trafił na jakieś niezabezpieczone kable. Dopiero później ktoś przebił go cienkim, długim ostrzem.

Pod pozorem zapisywania w notesie poprosiła, by powtórzył to, co powiedział, i podał długość ostrza, bo dość zaskoczyła ją usłyszana informacja. Czyli na pewno nie mały nożyk, który podobno zabrał ze sobą i który tkwił w jego ranie, tylko długie cienkie ostrze, niczym sztylet. Asystent powtórzył też plotki, jakie do niego dotarły. Podobno, według policyjnych źródeł – jak dodał, ścisząc głos – zabiła go sekta farangów, która na bezludnej wyspie odprawiała jakiś swój cudzoziemski rytuał przywoływania duchów. Nejm Ry-Di zdziwiła się, mówiąc, że to bardzo zainteresuje czytelników jej gazety. Posłuchała jeszcze kilku hipotez, a na koniec zapytała o oficera, który przywiózł ciało. I dowiedziała się, że porucznik Surasak Jintana właśnie rozmawia z głównym lekarzem. Przynajmniej wiedziała, gdzie jest.

Nie wiedziała za to, gdzie jest Luzi Lu. Zrobiła trzy okrążenia i nigdzie jej nie spotkała. Zadzwoiła więc jeszcze raz, chcąc sprawdzić, czy pojawiły się jakieś nowe informacje na jej temat. Pojawiły się. Słuchała i czuła, jak cierpnie jej skóra na karku.

Rozdział 27

Bengalska pigwa

Scott Whitus ocknął się na łóżku, leżąc w pozycji bocznej z podkulonymi nogami i ręką pod policzkiem. Pierwsze, co zobaczył, to kolorowe rajskie ptaki. Były na wyciągnięcie ręki. Mógł je dotknąć i pogłaskać. Czerwone, niebieskie i koloru kolorowego. Były aksamitnie gładkie i przyjemne w dotyku. Nie uciekały. *Jestem w raju*, myślał, dopóki nie zobaczył Anabell Seseke, która wyciągała do niego rękę. W ręku miała mały biały ręcznik. Odruchowo nim zatrzęsło i oblał się potem. Potem zaczął się odsuwać i oglądać za siebie, zastanawiając się, gdzie znikł świat, który przed chwilą widział. Okazało się, że rajskie ptaki były jedynie haftowanym wzorem w materiale tapicerowanego zagłówka. Jęknął z rozczarowania.

– Żyje! Naprawdę! Żyje! – wzruszyła się Anabell Seseke. – Spokojnie – dodała, widząc wytrzeszczone niebieskie oczy. – To tylko mokry ręcznik – dodała szeptem. – Przetnę ci czoło...

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – próbował krzyknąć, ale wydobył się z niego tylko lekko podniesiony głos.

– Żyje i nic mu nie jest! – ucieszyła się Niemka i oddychając z ulgą, uklękła na podłodze. – To było straszne – powiedziała, zakrywając rękami usta i przecierając zaszkłone oczy.

Mia Jacobee usiadła na stojącym obok podnóżku w kształcie żółwia i objęła ją ramieniem.

– Już dobrze. Już dobrze. Wszystko z nim dobrze.

Anna Strąg wyjęła mokry ręcznik z rąk Anabell Seseke. Chciała ją wyręczyć, przecierając spoconą twarz Anglika.

– Też ode mnie odejdz, ogrzyco! – wykrzyknął znacznie już głośniejsz.

– Ja tylko chciałam...

Scott Whitus nie mógł tego słuchać. Usiadł na łóżku i wyciągnął ręce przed siebie, próbując trzymać ją na dystans. Siedząc, zobaczył Simona Holemansa i Lorenzco Capellę trzymających raketkę, którą wcześniej wymachiwała Anabell Seseke. Mężczyźni, uspokojeni stanem Anglika, zaczęli ją oglądać z każdej strony.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – stwierdził Simon Holemans. – Z pozoru wygląda na zwykłą taką po sto batów w sklepie. Ale jest cięższa i ma mocniejszą siatkę z grubszych drutów.

– Ile może mieć woltów? – zapytał Lorenzco Capella.

– Nie wiem, muszę to rozłożyć.

– O co chodzi!? Jakich woltów? – dopytywał się Scott Whitus. – Posadziliście mnie na krześle elektrycznym? Wydałaś na mnie wyrok? – pokazał palcem na Annę Strąg. – A ty zgłosiłaś się na ochotnika, by go wykonać?! – spojrzał na Anabell Seseke. – Nie wyszło i chcecie to powtórzyć?! Muszę być przytomny – bełkotał, próbując wbić się w oparcie łóżka. – Dostanę ostatni posiłek? Będę mógł wybrać?

– Przepraszam cię – wyszeptała Niemka.

– Scott, posłuchaj – zaczęła Mia Jacobee. – To był wypadek. Nikt nie mógł wiedzieć, że ta elektryczna packa ma taką moc rażenia. Anabell bardzo przykro i na pewno tego nie chciała. Nie masz pojęcia, jaki zrobiłaś się błady. Ratowała cię. Zrobiła ci nawet sztuczne oddychanie...

– Nie wierzę! – Scott Whitus zacisnął powieki, wykrzywił twarz i zaczął uderzać głową o zagłówek łóżka. Szybko przestał, choć zagłówek był bardzo miękki, to głowa obolała. – Nie wierzę – powtarzał. – Nie wstydź się – powiedział łagodnym tonem. – Przyznaj się, że kochasz mnie... dręczyć – dodał, gdy podniosła oczy. – Że się uwzięłaś. Powiedz, dlaczego wybrałaś właśnie mnie?!

– Scocie Whitus – wtrąciła się Mia Jacobee. – Nikt ci nie chce zrobić krzywdy. Na pewno nie Anabell. Zajmie się tobą tajlandzki wymiar sprawiedliwości, bowiem w dalszym ciągu jesteś podejrzany o dwa zabójstwa – sprecyzowała.

– Ja nikogo nie zabiłem! To wy mnie chcecie zabić!

– Zobaczcie – Simon Holemans pokazał rozkręconą rączkę od elektrycznej rakietki, po czym wyciągnął z niej długą szynę wypełnioną połączonymi grubymi bateriami.

– Sprytnie – kiwnęła głową Anna Strąg. – Czy to dozwolone?

– Nie sędzę. Kogoś ze słabym sercem albo z rozrusznikiem serca można by zabić – oświadczył Belg. – To jakby domowej produkcji paralizator.

– Może udałoby się włożyć mniej baterii, żeby uzyskać taki efekt między komarem a tym, co widzieliśmy przed chwilą. Co myślicie? – zastanawiała się Mia Jacobee, szukając palcem okruszka tempury na pustym już talerzu. Spytam Luzi, gdzie to kupiła. Jak się w końcu znajdzie. Nejm powinna już ją przywieźć.

– Aha... – prychnął Scott Whitus, uderzając się otwartą dłonią w spocone czoło. – Czyli już jej nie zapytasz!

– Zabiłeś ją?! – przeraziła się Mia Jacobee.

– Nie zabiłem! Ona po prostu uciekła – oświadczył, przykuwając spojrzenia wszystkich obecnych w pokoju.

– Jak uciekła? – zapytał Simon Holemans z wyjątkowo poważną miną.

– Pierwszą dostrzegłem Węgierkę, jak ustawiła się w kolejce do wejścia na prom. Dziwne? Nie! Też miałem taki plan – odpowiedział sam sobie. – Połączcie kropki. Już dawno jest na morzu, trudno mi policzyć, jak długo już płynie, bo dwa razy straciłem przytomność podczas tego uprowadzenia. Śmiem jednak podejrzewać, że dotarła na Ko Chang. A tam tabuny Rosjan z wielkimi motorówkami, zdaje się, że się przyjaźnią z Węgrami... to się nią zaopiekują.

– Nie odpłynęła, bo została jej walizka – przytomnie zauważył Lorenzo Capella.

– Może nie była jej potrzebna – odparował Anglik. – Nawet nie chciało jej się zamykać. A wcześniej miała dwie kłódki... Nie dziwi to was?

– Może jak już ciebie nie było, poczuła się bezpiecznie – dywagowała Anabell Seseke.

– Dziękuję! To zobacz, co w niej jest. Jakies dokumenty, komputer, telefon, kosmetyczka... Coś naprawdę wartościowego... – wymieniał Anglik. – Nic takiego nie znajdziesz... Mówię wam, stała w kolejce do wejścia i jak mnie zobaczyła, odwróciła głowę.

Anabell Seseke otworzyła wielkie wisko plastikowej walizki. Zaczęła w niej grzebać, coraz bardziej nerwowo wyrzucając coraz większą ilość ubrań, strojów kąpielowych, czapeczek z daszkiem, trochę sukienek plażowych, parę ręczników, poduszkę do spania.

– Nawet szczoteczki do zębów nie ma. Ładowarki do telefonu też... – dziwił się Lorenzo Capella. – Nic. Pamiętacie...? Wzięła taki większy plecak. Nawet się zastanowiłem, po co dzwiga...

– Ale dlaczego to wszystko zostawiła? – spytała Mia Jacobee. – To takie ładne rzeczy. Niektóre mają nawet metki...

– Może ma w planie kupienie jeszcze nowszych i jeszcze ładniejszych? – Simon Holemans zamyślił się. Anna Strąg chwyciła go za ramię, zaciskając drobne palce. Spojrzeli na siebie. Myślała tak samo. Popatrzył na nią przepaszająco, a potem zaczął intensywnie masować czoło. – Anno, masz w telefonie te zdjęcia? – zapytał po chwili. – Te, które rozwieszałaś? Te, które przysyłał ci Martin? Pamiętam, że coś mi nie pasowało, tylko nie mogłem skojarzyć co. Może teraz się uda.

– Mam – Anna Strąg wyjęła z torebki nie tylko telefon, ale i rdzawo cynamonową kopertę, na widok której Scott Whitus wzdrygnął się na całym ciele. Z koperty wysunęła zdjęcia. I rozłożyła je na stole. Simon Holemans stanął nad nimi i wyznaczył rękami przestrzeń, tak jakby chciał, by nikt nie podchodził. Każdą fotografię brał do ręki, przyglądał się jej z bliska i układał, ale nie w kole, jak to zrobiła Anna, tylko

w rzędku. Najpierw chaotycznie, potem zaczął je przesuwac i zamieniac miejscami, przekladać, zblizac i oddalac. Robil to wszystko w kompletnej ciszy, obserwowany przez pozostalych. Opowiesc zaczynala sie od Scotta Whitusa – droga nocnym autobusem do Bangkoku. Wysiadka na dworcu autobusowym. Tam spotkanie z Anabell Seseke. Taksowka do centrum. W samym centrum jest ten salon masazu...

– To chyba niedaleko od miejsca, w którym my się spotkaliśmy... – Lorenzo Capella pokazał na zdjęcie Tadzia Napierały.

– Czyli można położyć je obok siebie – zawyrokował Belg, ustawiając Tadzia Napierałę z Marcinem Strągiem, popijającymi piwo, a zaraz po nim selfie z Lorenzo Capellą przed klubem go-go.

– O nie! – zaprotestował Włoch. – Ja bym to położył przed – przesunął obrazek, zamieniając ich kolejność.

– Dlaczego? – Belg popatrzył z zainteresowaniem.

– Bo ja wyszedłem o dwudziestej pierwszej z restauracji. Wiem, bo to godzina zamknięcia. Dystans to dziesięć minut, wiem... wiem, bo tamtędy chodzę... czasami... A na tym zdjęciu jest godzina dwudziesta trzecia – pokazał na fotografię dwóch mężczyzn z piwami w ręku, za którym wyświetlał się elektroniczny zegarek, stojący obok żaby z monetą w ustach.

– A co to za różnica? – wzruszył ramionami Scott Whitus.

– Nie wiem – odpowiedział Simon Holemans. – Ale pozwala ustalić ciągłość wydarzeń. Na razie mamy Tadzia Napierałę na końcu. Została jeszcze Mia Jacobee i Luzi Lu, które nie wiem, gdzie przypasować.

– Ja nie pamiętam, kiedy jechałam tym tuk-tukiem – Australijka bezradnie rozłożyła ręce. – Byłam po dziewięciogodzinnym locie, nawet nie wiem, czy była noc, czy dzień, i ile spałam w hostelu po przylocie, bo w samolocie nie śpię... Nie wiem, naprawdę nie wiem... – tłumaczyła, a Simon Holemans odłożył jej zdjęcie na bok. Do ręki wziął fotografię z Luzi Lu, która siedziała wieczorową porą przy małym stoliku, na niewielkim krześle, popijając coś z małych eleganckich czarek. Długo się jej przyglądał, aż w końcu pacnął się w głowę.

– Co to jest? – pokazał na małe gliniane pojemniczki w rękach Węgierki i Polaka.

– Filiżanka... – usłyszał z kilku stron jednocześnie.

– Nie, to coś, co pływa w tej filiżance – pokazał na wrzucony do środka owoc, który przypominał suszony plaster pomarańczy... Jak to się nazywa?

– To owoc zwany pigwą bengalską – odezwał się Scott Wchitus. – Znany też jako *bael* albo *matum*. Drzewo, które wydaje te owoce, jest prawdopodobnie najlepiej opisanym drzewem w medycynie ajurwedyjskiej. Dla celów terapeutycznych wykorzystuje się wszystko: liście, korę, korzenie. Owoce suszy się na słońcu... w plastrach. Głównie w południowej Tajlandii. Potem parzy herbatę. Wykorzystywane są przy wielu schorzeniach...

– Chyba już się dobrze czuje – szepnęła Anabell Seseke do ucha Mii Jacobee.

– A przede wszystkim działa relaksująco...

– I gdzie się ją podaje turystom? – przerwał mu Simon Holemans.

– W salonach masazu na przykład – odpowiedział Anglik. – Dla odprężenia po...

– Właśnie... – przytaknął Belg i rozsunął zdjęcia, wsuwając fotografię Luzi Lu tuż za swoją. – Musiała tam być!

Simon Holemans przywołał z pamięci obraz.

Kilkanaście materacy rozłożonych na lśniącej tekowej podłodze. Wokół każdego z nich konstrukcja pozwalająca na zawieszenie zasłonek oddzielających łóżka. Wszystko ładnie urządzone, wszędzie kwiaty, w tle szum wody przelewającej się po ścianie z wkomponowaną w nią rzeźbą. Spokojne miejsce, choć w samym centrum, przy ruchliwej ulicy. Sporo klientów. Obaj czekali na swoją kolej. I wtedy zaczęli rozmawiać. Przyjście masażystek, które wskazały przygotowane dla nich materace, przerwało pogawędkę o Birmie, rodzinie... Zaczęli się przebierać w szerokie spodnie i koszule do masazu, mając wtedy jeszcze

chwilę na rozmowę. Wtedy Polak zrobił im pamiątkowe zdjęcie. Wydawało się, że nikogo nie ma i nikt ich nie słucha. Ale to była nieprawda! Gdzieś za którąś zasłonką musiała leżeć Luzi Lu! Słyszała więc, jak mówił o tym, że musi oszlifować otrzymany w Birmie prezent i będzie szukać jakiegoś warsztatu. Że zżera go ciekawość, bo myśli, że to coś bardzo interesującego. Ludzie, którzy go tym obdarowali, mogli nie znać prawdziwej wartości подарunku... Po skończonym masażu recepcjonistka zaproponowała im czarkę herbaty zwanej Thaj Matum. On podziękował, ale Martin wypił.

Simon spojrzął teraz na wykonane przez Martina zdjęcie w salonie masażu.

– Tylko ona tak naprawdę go słucha – powiedziała Anna Strąg, patrząc na pozostałe zdjęcia. Wszyscy obecni nachylili się nad stołem. Rzeczywiście, reszta fotografowanych patrzyła w obiektyw lub gdzieś w bok. Tylko Luzi Lu z kamienną twarzą wpatrywała się w swego towarzysza.

– Ale dlaczego miałyby zabić Tadzia Napierałę? – zapytała Anna Strąg.

– Może miał przy sobie to coś, co należało do twojego męża... – podejrzewała Mia Jacobee.

– Bingo! – wykrzyknął Simon Holemans, celując palcem w Mię Jacobee. – Pamiętacie, w jaki sposób ten Tadzio mówił? Pamiętasz, Anno?! Jakby się tłumaczył twojemu mężowi... Co chwila wznosił oczy do góry... Mówił coś o honorze... – Simon pochylił głowę, zaplótł palce rąk za plecami i zaczął chodzić dookoła stołu.

– To takie pijackie Polaków rozmowy – wyjaśniła Anna Strąg.

– A ja myślę, że on wiedział dużo więcej, niż nam się wydaje. Nawet jestem tego pewien – powtórzył Simon, robiąc drugie kółko wokół stołu. – I myślę, że coś mu ciążyło, coś, co miał przy sobie. Upił się i może chciał to oddać... Nejm Ry-Di nie przyjechała... – przypominał sobie – bo pewnie to ona zostałaby tym obdarowana. No i dopadły go wyrzuty sumienia... Przecież mówił, że ze swoim honorem by się nie dogadał... Powiedział, że coś przyniesie, gadał coś o nietoperzach. Pamiętasz, Anabell? Myślałaś, że poszedł po alkohol. Ale Luzi Lu zapewne wiedziała, że to może być zupełnie coś innego. I prawdopodobnie miała rację! Może poszła do niego... Obudził się i musiała go zabić? – powiedział Simon, zatrzymał się i z pochyloną głową zaczął robić kółko w drugą stronę. – Albo może i tak musiała go zabić? To on ściągał jej zdjęcie z sufitu. Przyjrzał się. Może wtedy ją skojarzył, a może wcześniej. Musiał już ją widzieć, i to w miejscu, które wzbudziło jego podejrzenia. A potem zobaczył jeszcze raz! O ten jeden raz za dużo!

– Ale to ona pierwsza zadeklarowała, że pomoże mi w schwytaniu Anglika – przypomniała Anna Strąg.

– Jasne! – rozłożył ręce Scott Whitus.

– To było wygodne i odwracające uwagę. A tak naprawdę najbardziej zależało jej na odłączeniu się od grupy, i to jak najszybciej – zawyrokował Simon Holemans.

– Dlaczego? – zapytała Mia Jacobee.

– Bo w grupie jesteśmy łatwi do namierzenia. A przy jakimkolwiek zatrzymaniu policji mogłoby dojść do zwykłego przeszukania.

– Ale co to mogło być? – dopytywała Mia.

– Nie wiem – pokręcił głową Simon Holemans – ale mam przecucie, że wkrótce się dowiemy – powiedział to w momencie, gdy ktoś zaczął szarpać za klamkę w drzwiach.

*

Li Pangyu odebrał wiadomość, na którą czekał.

W końcu zobaczył na ekranie trzycentymetrowy bursztyn z nietoperzem w środku. W kilku ujęciach: w jakiejś kopercie, ułożony na drobnej dłoni i trzymany pod słońce w dwóch palcach. Czekał na zaplanowaną rozmowę telefoniczną, powiększał ekran, kręcił głowę, mrużył oczy. Wszystko po to, by jeszcze lepiej go widzieć. Z okazji dobrego nastroju kazał przebrać koty w czerwono-złote kostiumy nawiązujące do szat z czasów dynastii Ming. Pogłaskał wyhaftowanego feniksa na czerwonym, jedwabnym ubranku białej kotki.

- Jesteś tu cesarzową – powiedział, drapiąc długim paznokciem małego palca łaszczą się kicię. Odechnął ją, gdy zadzwonił telefon. Przysunął wysięgnik i spytał:

- Dostał pan zdjęcia, profesorze KamPhon?

- Tak. Wielce obiecujące – mężczyzna z górską, specjalistyczną lampką na czole kiwnął głową, zrzucając z pleców linę do wspinaczki. Siedział na tle tropikalnego lasu, przed obrosłą lianami szczeliną w skałach.

- Czy to może być nietoperz? – zapytał Li Pangyu drżącym głosem.

- Tak. Może to być właśnie przodek badanego przeze mnie gatunku. Nie ma powodu przypuszczać, że nie – pokazał małą plamkę, która przemknęła tuż przed wejściem do jaskini. – O! To był właśnie świński nietoperz Kittiego. Nazwany tak na cześć jego odkrywcy Kitty Thonglongya. To najmniejszy nietoperz świata, najwyżej trzy i pół centymetra... Wielkości trzmiela, stąd...

- I żyje w Tajlandii i Birmie...

- Tak, w zaledwie kilku jaskiniach. Tu, gdzie jesteśmy, w dorzeczu Kwai oraz w stanie Mon. To dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd, już za granicą...

- I mogą tam żyć od dziewięćdziesięciu do pięćdziesięciu milionów lat?

- Tak, w przybliżeniu tak... – profesor uśmiechnął się, zdejmując z czoła lampkę, po której pasku został ślad. – To okres kredy. Mniej więcej czas dominacji i wymierania dinozaurów i powolnego kształtowania się ssaków. Najstarsze nietoperze znane są z wczesnego eocenu, to zaledwie pięćdziesiąt sześć milionów lat temu, ale to ssaki już wyspecjalizowane, zbliżone do współczesnych. Naukowcy wiedzieli, że muszą też istnieć formy starsze. Gratuluję. To bardzo interesujące znalezisko. Mam nadzieję, że przekaże je pan naszej uczelni. Badania nad tym egzemplarzem mogą zrobić furorę. Będzie głośno... Bardzo chętnie bym się...

- To zabawka z fabryki w Chinach – natychmiast zareagował Li Pangyu. – Nie nadaje się do badań – prychnął ostentacyjnie, opluwając przy tym ekran.

- Szkoda – westchnął profesor. – Musiałem wspiąć się dwieście metrów, żeby wyjść z tej jaskini... No cóż. Brzmiało obiecująco...

- Chciałem tylko sprawdzić, czy odróżni pan sztuczny bursztyn od prawdziwego – burknął Li Pangyu, popatrzył na otwarte z wrażenia usta profesora i wyłączył ekran.

Chińczyk naburmuszył się i zmarszczył czoło.

- Już chciał mi go zabrać! – powiedział do siebie.

Rozdział 28

Smażone banany

Nejm Ry-Di stała w pokoju od dwóch minut i chciała zrozumieć, co się dzieje i o co chodzi. Mia Jacobee próbowała streścić jej wszystko, co się wydarzyło ze Scottem Whitusem. Przekazać ustalenia Simona Holemansa, ale robiła to chaotycznie i mieszała wątki. Reszta mówiła jednocześnie, dyskutując pomiędzy sobą.

– Czyli to może jednak nie ja? – śmiał się Scott Whitus, szczerząc zęby, zerkając na Anabell Seseke.

– Czyli uciekła tak samo jak ty – sprezyzowała Anabell Seseke.

– Wiesz co... Włóż te baterie z powrotem do rączki. Podłącz i tym razem precyzyjnie siebie walnij w ten łysy łeb!

– To, że ona uciekła, jeśli uciekła, to nie znaczy, że ty nie ukradłeś pieniędzy Polakowi. A to czyni cię podejrzanym – ciągnęła Anabell Seseke.

– Nie pomyślałbym, że to Tadius mógł zabić tego Martina – Lorenzo Capella kręcił z niedowierzaniem głową. – Wydawał się niegroźny. Ale to, że potem zabije go Luzi Lu, niewiarygodne. Przecież nawet pomógł jej nieść tę ciężką walizkę...

– To hipoteza – powiedział Simon Holemans. – Żeby się dowiedzieć, czy to prawda, musimy porozmawiać z Luzi Lu. Ale to nie wszystko... Mia, też musisz sobie przypomnieć, kiedy dokładnie jechałaś.

– Nie przypomnę sobie, kiedy...

– A może sprawdź w telefonie swoją aktywność... coś na pewno się oznaczy.

– Tylko że ja byłam aktywna, ale telefon zostawiłam w pokoju... Dlatego wzięłam tuk-tuka, a nie ubera – próbowała wyjaśnić, przebijając się przez kakofonię dźwięków.

– Ale jak my ją znajdziemy? – załamała ręce Anna Strąg.

Nejm Ry-Di weszła na środek pokoju i stanęła na podnóżku w kształcie żółwia.

– Cisz! – krzyknęła, a wszyscy natychmiast zamilkli. – Nie ma czasu do stracenia – dodała już z uśmiechem. – Im mniej pytań, tym lepiej. Jeżeli chcecie stąd odpłynąć... – zaczęła, po czym zwróciła się do Anny Strąg: – Wynajmę na twój koszt speedbouta. Jeśli się pospieszymy, dotrzemy do Tratu i zdążymy na samolot do Bangkoku. Zarezerwowałam już bilety, ale może ich nie wykorzystamy... tylko weźmiemy awionetkę z prywatnego lądowiska. Jeśli chcemy złapać Węgierkę, to musimy dotrzeć tam przed nią. Nie mam wątpliwości, że to ona może być zabójcą!

– Kim ty jesteś? – zapytała Anna Strąg, patrząc Tajce głęboko w oczy.

Nikt nie odważył się odezwać.

– Kimś, komu dobrze płacisz – odpowiedziała Nejm Ry-Di, a Anna Strąg patrzyła bez zrozumienia. – Jeśli chcesz, by były to dobrze wydane pieniądze, to pozwól mi działać. Na resztę pytań odpowiem później – gdy to powiedziała, zwróciła się do Simona Holemansa: – Będę potrzebowała wsparcia. Luzi Lu jest bardzo niebezpiecznym przestępcą i, jak myślę, wielokrotnym mordercą – wszyscy otworzyli usta ze zdziwienia.

– Czyli to ona zamordowała też Martina? – przerwała ciszę Anna Strąg.

– Prawdopodobnie, choć tego nie wiem. Ale kilka innych osób z pewnością – dodała z bardzo poważną miną.

– Kilka? – zapytało kilka osób jednocześnie.

Simon Holemans zdjął z głowy bananowe okulary i zaczął zagryzać jedno ucho.

– Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia – ciągnęła dalej Nejm Ry-Di. – Na chwilę obecną to wy jesteście podejrzani. Policja uważa, że popełniliście jakąś rytualną zbrodnię, wywołując duchy zmarłych na opętanej wyspie. Nie będzie łatwo się z tego wytłumaczyć. Pakujcie się. Kto chce, może zostać, choć nie radzę. W Tajlandii sprawy się ciągną... – dodała, patrząc, jak wszyscy rzucili się do swoich toreb i walizek.

– Ile mamy czasu? – spytała Anna Strąg.

– Tyle, ile mi zajmie zorganizowanie transportu. Do tego czasu wyjdźcie stąd i czekajcie przy scenie. Gdyby ktokolwiek was o coś pytał, to jesteście zespołem reggae. A gdy tylko podeszłaby policja lub wojsko, graj – powiedziała, patrząc na Lorenzo Capelli. – Reszta niech śpiewa. Zaraz wracam.

– Kim ty jesteś? – zapytała raz jeszcze Anna Strąg, podchodząc bezpośrednio do Tajki.

– Twoim aniołem stróżem – powiedziała Nejm Ry-Di, zeskoczyła z podnóżka i wybiegła z domku.

– Ale ja nie znam żadnego kawałka reggae – stwierdził Lorenzo Capella, głaszcząc futerał z ukulele.

Po dziesięciu minutach wszystkie walizki stały koło wielkiego bananowca. Anna Strąg odeszła na bok, by napisać esemesa Fabienne Chomjan, dziękując za przysłanie speedbouta na wyspę i wszechstronną pomoc Nejm Ry-Di. Napisała też do Kaya. Podtrzymała, że ureguluje wszystkie zobowiązania. I że niedługo będzie w Bangkoku i wszystko wytłumaczy.

Pozostali tłoczyli się wokół jednego małego stolika, rozglądając się dookoła.

– Co my wiemy o Luzi Lu? – zapytał Simon Holemans.

– Ma ładny profil – odpowiedziała Mia Jacobee. – I jest konsekwentna. Na żadnym zdjęciu nie pokazuje twarzy. Tylko swoje piersi, pośladki, nogi.

– Jest bardzo zgrabna. Na zdjęciach nawet bardziej niż w rzeczywistości – pokiwał głową Lorenzo Capella.

– Jedyne zdjęcie jej twarzy z głębokiego profilu zrobił Martin – stwierdziła Anna Strąg. – Może dlatego nie odnaleziono przy nim jego telefonu. Oczywiście mógł zwyczajnie zatonać... Ale...

– A pamiętacie, jak szybko kazała zerwać swoje zdjęcie, kiedy znaleźliśmy się w galerii śmierci? – przypominał Scott Whitus.

– Tadzium nawet jej w tym pomógł, ale myślę, że chodziło o miejsce – przytaknął Belg.

– A może nie lubi zdjęć swojej twarzy? – Anabell Seseke wzruszyła ramionami. – Jest wielu zawodników restlingu... – nie dokończyła, bo ponownie alejką pomiędzy drzewami plumerii przechodziło dwóch policjantów. Wyglądali na znudzonych i zmęczonych chodzeniem w pełnym słońcu. Ledwo rozglądali się na boki, ale w każdej chwili mogli podejść i przyjrzeć się im bardziej.

– Wstajemy. I stoimy w ciasnym kółku. Udajemy, że mamy próbę – zarządził Lorenzo Capella. – Wy gwizdźcie – powiedział do Simona Holemansa, a dziewczyny chórek.

– Będziemy powtarzać za tobą – zgodziła się Mia Jacobee. – Ale lepiej nie po włosku, coś prostego. Może być o jedzeniu...

Lorenzo Capella poczuł, jak z nerwów odbił mu się smak smażonych bananów. Uderzył w struny.

– *Fraid banana, Fraid banana... everybody likes afraid banana...* – zaczął powtarzać, a za nim cała reszta, próbująca śpiewać, gwizdać lub synchronizować strzelanie palcami połączone z niezbyt zsynchronizowaną choreografią. – *Fraid banana, Fraid banana... everybody likes afraid banana...* – Mia Jacobee robiła wszystko odwrotnie. Anna Strąg próbowała się dostosować do podrygiwania Anabell Seseke. Scott Whitus fałszował, gwizdząc zupełnie inną melodię. Cały występ zaczął przyciągać znacznie więcej spojrzeń, niż by chcieli. Na szczęście, o ile goście hotelowi odwracali głowy z leżaków i ze śmiechem przyglądali się nieskładnemu śpiewaniu, o tyle policjanci nie zwracali uwagi na muzykującą grupę. Odeszli. Dokładnie w momencie, w którym na horyzoncie pojawiła się łódź z Nejm Ry-Di na pokładzie.

Spontaniczna grupa w znacznie lepszych nastrojach weszła do łodzi. Paru plażowiczów pożegnało ich oklaskami. Lorenzo Capella nawet się uklonił.

– Zawsze będzie mnie to dziwić, że Azjaci uważają, że znacznie mniejszy wstyd słabo śpiewać, niż słabo tańczyć – dziwiła się Anabell Seseke.

– Dlatego mają tyle barów karaoke, a tak mało dyskotek. W sumie mi to pasuje – stwierdził Lorenzo Capella, zakładając kamizelkę ratunkową. Ostatni wszedł Simon Holemans, przepuszczając przed sobą Annę Strąg.

Polka wsiadła, niepewnie rozglądając się dookoła, i zastanawiała się, czy wynajęła jeden kurs, wyczerterowała tę motorówkę, czy może kupiła. Nigdy w życiu nie była tak nierozważna. Nie robiła niczego, co można by nazwać przygodą, a już na pewno nie – niebezpieczną przygodą. Popatrzyła na Belga, którego obecność ją uspokajała, ale i on z niepokojem spoglądał na dziób motorówki. Nejm Ry-Di rozmawiała z mężczyzną za sterem, którego twarzy prawie nie było widać. Miał ciemne okulary, czapkę z daszkiem założonym na chustę chroniącą kark i policzki. Podobny strój miała na sobie Nejm Ry-Di. Jej twarz przysła- niało rondo szmacianego kapelusza nałożonego na luźną kominiarkę, a także duże okulary słoneczne. Motorówka odbijała od brzegu.

Anna Strąg usiadła i poczuła w kieszeni wibrowanie telefonu. Spojrzała. Miała kilka nieodebranych połączeń i jeden esemes od Kaya:

Anno, oczywiście, poprosiliśmy, by podpłynęła do was łódź, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, i zabrała tego, kto będzie chciał wrócić. Ale nie wynajmowaliśmy żadnej osoby do ochrony nad tobą. Nie wiem, kim jest Nejm Ry-Di Wong Wai! Odezwij się koniecznie! Fabienne jest przerażona. Była u niej poli- cja! Zadzwoni! Nie wiemy, co się dzieje!

Skończyła czytać dokładnie w momencie, gdy człowiek za sterem przesunął wajchę gazu do samego końca. Cztery wielkie silniki podniosły kadłub prawie do góry. Jasne końcówki włosów Nejm Ry-Di unosiły się. Anna poczuła, że zaczyna się dusić.

*

Fabienne Chomjan zamknęła drzwi i nie zamierzała otwierać już nikomu, oprócz adwokata, który był już w drodze. Drżącymi z nerwów palcami przegarniała fioletową grzywkę i próbowała się uspokoić.

– W moim domu policja. W moim ośrodku trup w lodówce... Czy ty wiesz, co to dla nas znaczy? Wezwijmy wróżbitę, może coś doradzi. – Kay otworzył butelkę z piwem i połowę wypił prawie duszkiem.

– Przecież ty nie pijesz! – krzyknęła przerażona Fabienne.

– Nie robię wielu rzeczy! Czy ty sobie zdajesz sprawę, jaka to zła karma dla tego miejsca?!

– Wezwiesz mnichów i oczyścisz całą wyspę – powiedziała, otwierając lodówkę. Z zamrażarki wycią- gnęła wielki kubeł lodów ze słonym kokosem i mango.

– To nie takie proste – jęknął. – Wiesz, jak cena teraz spada? A ty nie jesteś na diecie?

– Nie! – fuknęła, otwierając pojemnik.

– Zamierzaliśmy ją sprzedać! A nie odczyniać uroku! Czy ty wiesz, jakie to są kłopoty?

– Zdaję sobie sprawę – burknęła Fabienne, wkładając całą łyżkę do pojemnika. – To ja w tym domu zaj- muję się finansami i to ja wiem, że to są kłopoty. Odebrała od ciebie?

– Nie – odpowiedział Kay, patrząc na komórkę. – Ale odczytała esemesa.

– Zapłaci za to! Dosłownie! Zapłaci!

– A jak niby chcesz to wycenić? – jęknął Kay.

– Słono – odpowiedziała, oblizując usta.

Rozdział 29

Fun Club

– Zatrzymaj tę motorówkę! – krzyknął Simon Holemans. – Natychmiast! – wrzeszczał, przytrzymując ramieniem Annę Strąg, która zbladła, a na widok mającego na horyzoncie brzegu zaczęła się trząść. – Anno, co ci jest?!

– Ja już tak nie mogę, nie wiem, co się dzieje... – zaczęła oddychać, połykając powietrze jak karp w siatce. Boję się.

– Zatrzymajmy się! – krzyknęło kilka osób.

– Natychmiast!

Nejm Ry-Di powiedziała kilka słów do Taja za sterami i cztery wielkie silniki zaczęły cichnąć, a ślad, jaki pozostawiała za sobą motorówka, powoli znikać.

– Dziękuję – wyszeptała Anna Strąg w kierunku nachylających się nad nią osób. – I przepraszam... Nie wiem, co się ze mną dzieje... Chyba już nie mam siły...

– Masz chyba napad paniki... widziałam to kiedyś przed walką... – zawyrokowała Anabell Seseke.

– Zgadza się – przytaknął Scott Whitus. – To typowe dla osób, które tracą kontrolę nad wydarzeniami, a są przyzwyczajone do rządzenia.

– Uspokójcie się! Przecież ona jest śmiertelnie chora – syknęła przez zęby Mia Jacobee. – Może właśnie umiera!

– Oddychaj głęboko – poprosił Simon Holemans. – Po prostu oddychaj – tłumaczył, głośno nabierając i wypuszczając powietrze. Obok niego kucnęła Nejm Ry-Di.

– Bo ja nie wiem, o co chodzi... – próbowała tłumaczyć Anna Strąg, trzymając się za serce. – Myślałam, że może Fabienne i Kay cię wynajęli... ale dostałam wiadomość, że nie... Zginęła już jedna osoba, ja nie chcę, żeby jeszcze ktoś niewinny ucierpiał.

– Może wcale nie był taki niewinny – zawyrokowała Mia Jacobee.

– Może lepiej, żebyśmy jednak oddali tę sprawę w ręce policji – odpowiedziała Anna Strąg.

– To chyba jest dobry moment na wyjaśnienia – stwierdził Belg, patrząc na Nejm Ry-Di. Tajka zdjęła okulary, spojrzała na zegarek i głęboko westchnęła.

– Dobrze, najkrócej jak się da – powiedziała do wszystkich. – Byłam w policji i wiem, jak pracują. Ta sprawa została przydzielona niegłupiemu porucznikowi, który nazywa się Surasak Jintana. Znam go bardzo dobrze, ale... ja jestem lepsza i mam inne możliwości prowadzenia tego śledztwa.

– Czyli kto cię wynajął? – zapytał Simon Holemans, ściągając z nosa bananowe okulary słoneczne, tak jakby chciał spojrzeć na nią w dziennym świetle.

– Ona – Nejm Ry-Di pokazała ręką na Annę Strąg. – Przecież mówiłam!

– Ale ja cię nie znam... – jęknęła srebrnowłosa Polka.

– Bo ja nie siedzę w biurze i nie przyjmuję spraw, bujając się w szklanym biurówcu na wielkim żółtym fotelu w eleganckim klimatyzowanym pomieszczeniu. Siedziałas na nim. Prawda? – Anna Strąg patrzyła szeroko otwartymi oczami. – To wielka międzynarodowa agencja detektywistyczna, mająca swe oddziały w wielu miejscach Azji Południowo-Wschodniej. Zdaje się, że dalej opłacasz nasze usługi, które zaraz po twoim wyjeździe zostały wzbogacone o ochronę i wsparcie twojej osoby. Zdaje się, twój dyrektor, niejaki Sebastian Kirch, nie wziął pakietu gwiazdorskiego tylko dlatego, by nie chodziło wokoło ciebie siedmiu uzbrojonych agentów ze słuchawkami w uszach. Ale poprosił o różne opcje, które pozwoliłyby cię dyskret-

nie chronić. I właśnie ja zostałam przydzielona do tej sprawy. Miałam być tylko miła i nie rzucać się w oczy, żebyś się nie zdenerwowała. Niestety, zdenerwowałaś się. I podjęłam decyzję, by ci powiedzieć, bo sprawy zaszły za daleko. Zginęła kolejna osoba...

– Ale ja myślałam, że wy nic nie robicie w sprawie... – jęknęła Anna Strąg wpatrzona w Nejm Ry-Di jak w obrazek.

– Jeżeli uważasz, że znalezienie siedmiu osób kręcących się po całej Azji i dostarczenie im osobiście wykaligrafowanych przez ciebie kopert jest proste, to jesteś w błędzie. Poza tym dzięki naszej pracy udało się ustalić znacznie więcej szczegółów. Między innymi, gdzie może się udać Luzi Lu, gdy tylko dotrze do Bangkoku. A przede wszystkim wiem, co zrobiła.

– Co? Co? – zapytało kilka osób.

Nejm Ry-Di zerknęła znowu na telefon, pokręciła głową, ale zaczęła mówić:

– Policja mogłaby nigdy nie połączyć jej z innym morderstwem. Ale my wiemy, że jest główną podejrzaną w sprawie zabójstwa Fina, który zajmował się dorywczo przemyceniem na granicy Laosu z Kambodżą – kontynuowała wyjaśnienie, nie zwracając uwagi na szeroko otwarte lub odruchowo zakryte rękami usta. – Nikt by nie powiązał drobnej, młodej dziewczyny ze śmiercią uzależnionego czterdziestolatka z podejrzanym życiorysem, gdyby nie barman z Holandii, który przekazywał jej kopertę i pamiętał, że oskarżała Fina o kradzież złotego telefonu. Tym bardziej że widział ją z tym odzyskanym telefonem tuż po wyłowieniu Fina z Mekongu. Na razie mało na to dowodów, ale jeśli się do tego dołoży, że na Węgrzech była oskarżana o śmierć swego byłego narzeczonego, który spadł ze skały podczas górskiego spaceru, zaczyna to wyglądać inaczej. Nieprawdaż? Niczego jej nie udowodniono, poza tym, że w chwili upadku była razem z nim. Podobno ją okradł, ale szczegółów nie znam. Przypuszczam, że to młoda psychopatka, i mamy niewiele czasu, żeby ją złapać. Na razie dowody na jej udział w zabójstwie Tadzia i Fina są bardzo słabe i wywinie się. Prędzej oskarżą was albo mnie. A ja bardzo polubiłam tego Polaka. I o mało nie przypłaciłam tej sprawy życiem, więc pozwólcie, że doprowadzę ją do końca – zakończyła Nejm Ry-Di. – Możemy płynąć? Lepiej już się czujesz? – spojrzała na Annę Strąg, a ta kiwnęła głową. Nejm Ry-Di wstała.

– Powiedz jeszcze – Simon Holemans chwycił ją za nadgarstek – od kiedy masz informacje o Węgierce i tym Finie?

– Niestety, przyszły już po jej zniknięciu. Wcześniej skupiałam się na wyjaśnianiu spraw drobnych kradzieży... – spojrzała na Anglika – sprawy pobicia... – przerzuciła wzrok na Anabell Seseke – podpalenia... – kiwnęła głową w kierunku Mii Jacobee – oskarżeń o podrabianie towarów... – uśmiechnęła się do Lorenzo Capelli – i zawieszenia w policji – zakończyła, spoglądając na Simona Holemansa. Podeszła do niego: – Wiem, jakie ciążyły na tobie zarzuty, ale ci wierzę, więc i ty uwierz we mnie i współpracuj, bo musimy dostać się do Bangkoku przed nią. Bo jeśli uda jej się dotrzeć do jadeitowego grubaska przed nami, to jestem pewna, że uda jej się także, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, przedostać do chińskiej dzielnicy do Chin. A tam nie mam już żadnych możliwości...

– Kim jest Jadeitowy Grubasek? – zapytała Mia Jacobee.

– Później...

– Świetnie znasz angielski – pochwalił Scott Whitus.

– Bo studiowałam w Anglii – odwróciła się na pięcie i skierowała do kapitana, który rozpedził łódź.

– I jeszcze zna sztuki walki – Anabell Seseke pokręciła głową z uznaniem.

– I jest mądra i sprytna – pokiwał głową Włoch. – Spodobałaby się mamie.

– Mojej też – dorzuciła Australijka.

Simon Holemans przysiadł obok Anny Strąg.

– Jak się czujesz?

– Lepiej, dużo lepiej – uśmiechnęła się. – Wiedziałam, że Sebastian Kirch będzie świetnym prezesem mojej firmy, ale do głowy mi nie przyszło, że się o mnie martwi... – mówiła, z niedowierzaniem kręcąc

głową. – A ty?

– Nie podejrzewałem, że jeszcze kiedykolwiek w życiu będę brał udział w takiej sprawie!

*

Porucznik Surasak Jintana po raz kolejny odczytywał otrzymaną wiadomość. Nie musiał się zastanawiać, od kogo ją dostał, choć nie była podpisana. Po raz setny otworzył plik w telefonie z zeskanowanymi zdjęciami wszystkich podejrzanych. Tym razem uważnie przyglądał się młodziencek Węgierce, której do tej pory nie brał pod uwagę.

Historia z Don Det nad Mekongiem przesuwiała klocki w układance, próbował poustawiać je w głowie. Jeszcze nie wiedział, co łączy dziewczynę pozującą na tle zachodu słońca w Krainie Czterech Tysięcy Wysp w Laosie ze śmiercią obywatela Finlandii, ale był pewny, że wkrótce się dowie.

Wsiadł do policyjnego auta i kazał kierowcy jechać na przystań. Według patrolujących policjantów z Ko Mak żadna siedmioosobowa grupa nie wsiadła na kursujące pomiędzy wyspami promy. Natomiast z informacji kierownika luksusowego resortu dowiedział się, że jakaś dziwaczna grupa farangów wynajęła motorówkę, płacąc trzykrotność normalnej stawki, i odpłynęła spod ich plaży. Wynajęła ją Tajka podająca się za menedżera zespołu reggae.

Porucznik Surasak Jintana uśmiechnął się i kazał kierowcy dodać gazu. Wkrótce powinni dopływać.

Na głównej przystani było niezwykle tłoczno. Gdyby próbował się wbić w tłum, łatwo mógłby stracić z oczu grupę, szczególnie jeśli ta by się rozpiechła. Obrął doskonale miejsce do obserwacji. Przysiadł na jednym ze stolików z boku otwartej poczekalni, przodem do schodzących z trapu, tyłem do oczekujących na wypłynięcie. Na horyzoncie dostrzegł motorówkę. Obstawiał, że to właśnie z niej wyjdzie oczekiwana szóstka z Nejm Ry-Di na czele. Ale kiedy motorówka się zbliżyła, zobaczył, że jest pusta. Jej pokład opuścił tylko członek załogi w okularach, kominiarce, czapce z daszkiem i osłoną na kark – zwyczajne, chroniące od słońca ubrania pływających załóg. Obserwował więc dalej, nie zwracając uwagi na rozkrzyczanych młodych pasażerów, którzy wysypali się z dwóch autobusów szkolnych. Czuł się niewidzialny. Do czasu. Pod przystań podjeżdżał sprzedawca lodów, ciągnąc wózek z megafonem. Zaczął mówić, ale w zupełnie inny niż zwykle sposób. Wcześniej mechanicznie, zachrypniętym głosem wymieniał nazwy oferowanych smaków, a teraz kobiecym altem obwieszczał coś, co uruchomiło piski wśród szkolnej młodzieży. Odwrócił się, zaczął słuchać i się rozglądać, szukając źródła dźwięku. I... z sekundy na sekundę rozumieć więcej.

– Podziękujmy wspomniałemu Joe Sukkasem za jego niezwykłą rolę. Joe jest w trakcie kręcenia kolejnego filmu, ale obiecał rozdać autografy i opowiedzieć o nowej roli policjanta. Powiedział, że z każdym się przywita i zrobi sobie zdjęcie. Powitajmy go wszyscy! Joe Sukkasem!

Więcej nie usłyszał, bo zalała go fala dziewczęcych pisków, a po chwili został uwięziony w zasięgach z powyciąganych w jego kierunku rąk z telefonami.

Rozdział 30

Wróżby

– Wkrótce wylądujemy – oznajmiła Nejm Ry-Di, wychodząc z kokpitu, gdzie przez chwilę siedziała obok pilota. Lot zajmie jeszcze godzinę, tyle samo droga z lotniska do Chinatown.

– A kiedy porozmawiamy o tym grubasku? – zapytała Mia Jacobee.

– Teraz. Mamy czas. Droga z Trat do Bangkoku zajmie jeszcze czterdzieści minut, znacznie dłużej będziemy jechać z lotniska do Chinatown. Pociuszające jest, że wszyscy mają tak samo, ale powinniśmy mieć nad nią przewagę dwóch godzin.

– A jeśli Luzi Lu pojawi się jutro? – zapytała Anabell Seseke. – Bo jedzie autobusem, a ten na przykład się popsuje?

– Mam przecucie, że będzie tak szybko, jak to tylko możliwe. Li Pangyu nie będzie się narażał, że zdejmie ją zwykły patrol. Coś wymyśli. Mamy tylko taką przewagę, że o tym wiemy. I że ten grubas nie rusza się ze swojego miejsca. To do niego trzeba przybyć. A tam wchodzi się tylko jednymi drzwiami.

– Jak się nie rusza? – zapytała Anna Strąg.

– Jest już tak gruby, że chyba nie mieści się w futrynie – odpowiedziała Nejm Ry-Di. – Nie wychodzi z domu od lat. Pomimo to niewiele się dzieje bez jego wiedzy. Dowiedział się o wspaniałym bursztynie, możliwe, że z nietoperzem w środku, i zwariował na jego punkcie. Chce go mieć!

– Nietoperz w bursztynie?! – krzyknęło kilka osób jednocześnie.

– Bursztyn? – zdziwiła się Anna Strąg, zakrywając ręką usta. – To by pasowało... – dodała cicho, spoglądając na swój wisior, a potem na Simona Holemansa.

– Dłatego giną ludzie? – skrzywiła się Anabell Seseke. – Dla bursztynu?!

– Nietoperz? – zapytał Scott Whitus. – Takie paskudztwo?

– Dla was nietoperz to zwierzę nocy, ewentualnie batman – wyjaśniała Nejm Ry-Di. – Ale dla Chińczyków nietoperz jest symbolem szczęścia. Słowa „nietoperz” i „szczęście” wymawia się tak samo. Według wielu ludzi to nie tylko szczęście, ale i bogactwo, długowieczność, dobra śmierć, a nawet nieśmiertelność. A ten byłby podobno najstarszym znanym okazem na świecie. Birmańskie bursztyny są z okresu kredy i mogą mieć dziewięćdziesiąt dziewięć milionów lat.

– Ale wiele uczelni na świecie podpisało petycję, żeby nie prowadzić badań nad bursztynami z Birmy – wtrąciła się przejęta Mia Jacobee. – To krwawe bursztyny! Pozyskiwane w strefach konfliktów etnicznych. Kontrolująca tereny armia dopuszcza się tortur, gwałtów i przestępstw na ludziach. Stowarzyszenie paleontologii kręgowców – perorowała z przejęciem. – Stowarzyszenie paleontologii kręgowców wysłało list otwarty, by powstrzymać się przed publikacją prac bazujących nad bursztynowymi skamielinami wydobywanymi w Birmie. Jestem zwolenniczką pozyskiwania wiedzy o historii Ziemi, ale nie w ten sposób...

– Zapewniam cię – przerwała jej Nejm Ry-Di. – Gruby Jadeit nie będzie zdobywał wiedzy o historii Ziemi. On chce szczęścia, bogactwa, długowieczności i zdrowia.

– Łatwiej zdobyć bursztyn, niż schudnąć sto dwadzieścia kilo – Simon Holemans pokiwał głową.

– I to na leżąco... – dodała Anabell Seseke.

– Ale... skąd Martin go miał? – zdziwiła się Anna Strąg.

– Może fatychnie dostał, może kupił? Bursztyn z ważką w przygranicznym mieście w Birmie może kosztować zaledwie kilkanaście tysięcy batów, ten byłby droższy. Ale on miał go w takiej postaci, że nie było

jeszcze widać, co jest w środku. Odkrył to wraz z Tadzkiem dopiero u szlifierza. Tyle udało mi się ustalić – powiedziała Nejm Ry-Di.

– I ten Tadzku go zabił? – zapytała Anna Strąg.

– Tego nie wiem, ale na pewno go miał, bo wyraźnie mi sugerował, że dostanę wyjątkowy prezent... po jednym dniu znajomości – pokręciła głową z politowaniem.

– Przypuszczamy, że jednak ruszyło go sumienie i chciał oddać Annie – stwierdził Simon Holemans. – Tylko nie zdążył.

– Możliwe – westchnęła Nejm Ry-Di. – Pocieszny był...

– Ale ja nie rozumiem... – przerwała Anabell Seseke. – Z ważką kosztowałby tysiące, a z nietoperzem miliony?

– Żyjemy w kraju, w którym najbogatsi Tajlandczycy obsesyjnie konsultują się z wróżbitami – wyjaśniała Nejm Ry-Di. – Gazety ciągle publikują historie znanych biznesmenów, polityków i celebrytów, którzy słuchają cudownie ekscentrycznych rad jakiegoś zaufanego mistrza. Wróżbiarstwo i tym podobne dziedziny generują co roku miliardowe obroty.

– Dziwne. – Anabell Seseke pokręciła głową.

– No, nie wiem – znowu odezwała się Mia Jacobee. – W świecie, gdzie jeden procent ludzi ma sześćdziesiąt dziewięć procent wszystkich dóbr, trudno uwierzyć, że to nie sprawka jakichś sił wyższych! Magii, bo na pewno nie rozumu i rozsądnego podziału – dodała oburzona.

– Dokładnie tak – Nejm Ry-Di uśmiechnęła się do Mii Jacobee, a ta się zaczerwieniła. – I nie wiem, czy Gruby Jadeit chce go mieć dla siebie, czy komuś sprzedać jako potężny amulet. Ale w całej dzielnicy wiedzą, że chce go mieć i nie przebiera w środkach, by go znaleźć. Tylko dlatego to wiemy.

– Może to on zabił Martina? – dywagował Simon Holemans.

– Może – odparła Nejm Ry-Di. – Ale na pewno nie swoimi pulchnymi rączkami. A jeśli zrobiłby to któryś z jego ludzi, to już by miał ten bursztyn. On, a nie Tadzku, a teraz Luzi Lu.

– A ona skąd go zna? – zapytała Anna Strąg.

– Zna wielu ludzi. Przypuszczam, że latanie zygzakiem: Bangkok – Dubaj, Bangkok – Hongkong, Bangkok – Emiraty, Bangkok – Bahrajn, Bangkok – Szanghaj, może być jakimś wytłumaczeniem. Najprawdopodobniej pod przykrywką prowadzenia podróżniczego Instagrama przewozi jakieś kamienie arabskim księżniczkom lub szanghajskim biznesmenom. Nie wiem, domyślam się, że tak może być.

– Jak ją złapiemy? – zapytał Simon Holemans.

– Przede wszystkim sami nie możemy dać się złapać... – stwierdziła Nejm Ry-Di. – Ooo, już Bangkok. – Pokazała na okienko w samolocie. – Resztę omówimy w taksówce – i wróciła do kokpitu.

Lorenzo Capella popatrzył z okna małej awionetki na majaczące w oddali potężne miasto, i to w świetle zachodzącego słońca. Aż jęknął z zachwytu. Nic go już stąd nie wypłoszy. Nic! Pierwsze, co robi, to pójdzie odzyskać but, a potem przeprosić. Ma teraz szczęście, więc powinno się udać i jedno, i drugie.

Mia Jacobee rozmyślała o bursztynach i Birmie, wołała nie patrzeć i nie myśleć, jaki ślad węglowy pozostawiły motorówka i prywatny samolot, wiozące garstkę ludzi.

Anabell Seseke poczęstowała Scotta Whitusa zakupioną przez siebie herbatą Olong No Suger. Scott przyjął napój bez żadnego komentarza.

Simon Holemans patrzył w okienko samolotu, ale częściej na Annę Strąg, która siedziała bez słowa, trzymając w ręku zwisający z jej szyi bursztyn.

*

Ananasowe cmoknięcie, Skok goryla, Duch Nowego Jorku, Bananowy lukier, Truskawkowy kaszel... Kay Chomjan leżał na atłasowej pościeli, zawinięty w hotelowy ręcznik i czytał dostarczoną specyfikację zamówionych produktów wraz z opisem, nazwami producenta, podgatunkami nasion, smakiem, aromatem i spodziewa-

nym efektem. *Autoamnezja* zawierać miała osiemnaście procent THC, siedemdziesiąt procent Indiki, trzydzieści Satiwy z aromatem herbaty, limonki i gwarantowanym efektem kreatywnej umysłowej jasności. W przeciwieństwie do *Ducha Nowego Jorku*, który zapewniał wzmożoną gadatliwość. Kay zapamiętał, by nigdy tej drugiej nie próbować. Wróżbita radził mu zmienić nazwy, ale też nie wychodzić z domu. *To drugie jest dużo trudniejsze*, pomyślał, patrząc na młode ciało uśmiechniętej Laotanki Wasenny, która właśnie wyszła z łazienki i zrzuciła z siebie ręcznik.

Rozdział 31

Chinatown

Anna Strąg pamiętała jak przez mgłę widziane w młodości miejsce. Spodziewała się tłoku, gwaru, hałasu, zwisających lampionów, rozświetlonych reklam, tym bardziej że było już po szóstej i zaczynało robić się ciemno. Ale na tak wszechogarniający chaos, zgrzytliwy jazgot i gadatliwy harmider nie była przygotowana. Na głównej ulicy warczały ślamazarnie posuwające się samochody, na chodnikach ocierały się o siebie tabuny gadających ludzi. Policjanci kierujący ruchem co chwila gwizdali. Odgłosy te mieszały się z orkiestrą klaksonów, warkotem tysięcy motorków, dźwiękami odpalania i hamowania silników i rżącymi głośnikami przytwierdzonymi do rozklekotanych rowerów z naczepami. Pomiędzy wlokącymi się autami przemykali ludzie przekrzykujący się w niezliczonej ilości języków. W wirze pracy, zakupów lub turystycznie. W nieustannym zgiełku jedni gotowali, drudzy jedli, handlowali. Zawadiacko kluczyli skuterami lub mozolnie ciągnęli wózki. Jeśli akurat przez kilka minut nic się nie działo, czyli nie było chętnych na kupienie breloczka w otwartym sklepiku z milionami breloczków, spinek do włosów w sklepie wyłącznie ze spinkami, kokard wyłącznie z kokardami lub nie podszedł ktoś spragniony wyciśniętego na poczekaniu soku z liczi czy zagryzienia przepuszczonej przez magłownicę suszonej ośmiornicy... to drzemali. Na siedząco, stojąco i z czołem na stole z rozłożonymi amuletami. To wszystko wśród kakofonii tysięcy dźwięków.

– Mamy dwadzieścia minut – powiedziała Nejm Ry-Di grupce, która znalazła dwa metry kwadratowe wolnej przestrzeni pomiędzy stolikami, przy których sprzedawano losy na loterię. – Wejście do sklepu z herbatami jest jedno. Później, z tego, co mi wiadomo, jest kilka korytarzy, wszystkie prowadzą na piętro, z którego nie rusza się Li Pangyu.

– A w razie pożaru, to jak on wychodzi? – zapytała Mia Jacobee, a wszyscy spojrzeli na nią, szeroko otwierając oczy.

– Niczego nie podpalaj! – ucięła szybko Nejm Ry-Di.

– Przecież to była tylko szopa...

– Wiem, ale po prostu nie podpalaj – przerwała jej Nejm. – Tak czy inaczej, tam nie wejdziemy, musimy ją dorwać przed wejściem. Kilka dróg prowadzi do tej uliczki, dlatego obstawimy kilka rogów i podzielimy się na grupy: Anna i Simon, Anabell i Scott, Mia i Lorenzo.

– A czy nie możemy dostać wsparcia z twojej agencji? – zapytała Anna Strąg.

– Dostaniemy. Ale wy rozpoznacie ją najszybciej. A oprócz tego wyglądacie na turystów, nie wzbudzić podejrzeń u Chińczyków kręcących się dookoła. Część z nich mieszka tu od pokoleń, pracują lub żyją w jednym miejscu. Znają się i wszystko widzą. Ale turystów tylko w chwili, gdy ci coś kupują albo jedzą, poza tym nie zwracają na nich uwagi. Przez tę część miasta przetaczają się miliony i dla nich wyglądacie identycznie. A teraz podejźmy tam – pokazała narożniki dwóch uliczek.

– To będzie rok smoka – zagadał Simon Holemans, który od dłuższego czasu prowadził Annę Strąg za rękę. Gdyby jej nie trzymał, już dawno porwałaby ją fala ludzi, których nie potrafiła omijać, zapatrzona we wszystko dokoła.

– Słucham? – spytała, patrząc na kobietę, która siedząc na krześle, ułożyła nogi na stołeczku i zasnęła, podpierając łokciem głowę o coś, co wyglądało na maszynę do robienia waty cukrowej. – Jak tu można spać?

– Przyszły rok będzie rokiem smoka – powiedział Simon, wskazując palcem czerwono-żółte proporczyki, wisioriki, lampiony, łańcuchy. – Stąd te wszystkie przedświąteczne dekoracje – dopiero teraz zoba-

czyła powiewające, łuskowate węże z rozdziawionymi paszczami i wielkimi rozczapierzonymi szponami.

– Aha – przytaknęła, kurczowo zaciskając palce na widok szpaleru uwędzonych kaczek wiszących na szyje i wielkich garów na zupe. *Chyba to kiedyś inaczej wyglądało? Albo byłam młodsza?*, pomyślała, ocierając się o człowieka niosącego przed sobą stos kilkudziesięciu plastikowych misek, które wyginały się przed nim niczym zabawkowa dżdżownica.

– Dobrze, zatrzymajmy się – zarządziła idąca z przodu Nejm Ry-Di, pokazując jedną wnękę, tuż przed zatrzaśniętą sklepową roletą. Stanęli obok śpiącego biedaka z długą siwą brodą i długą laską. Mężczyzna otworzył jedno oko, popatrzył na grupkę, a szczególnie na Mię Jacobee, która ciągle na nosie miała okulary z tylko jednym ciemnym szkłem. – W tamtej uliczce, w prawo, dziesięć metrów dalej, jest witryna sklepu z herbatami, jedna ze starszych i ładniejszych, przeszklona, z drewnianymi drzwiami. Łatwo ją rozpoznać. Wychylcie się i zobaczcie. W oknie za szybą stoi chiński bożek bogactwa, dobrobytu i handlu, Caishen, wysoka porcelanowa figura mężczyzny z długimi czarnymi włosami i wąsami. Jest cały na złoto, a w rękach trzyma miskę pełną pieniędzy.

– Prawdziwych? – zapytał Scott Whitus.

– Porcelanowych – westchnęła Nejm Ry-Di. – Do rzeczy. W te drzwi powinna wchodzić Luzi Lu. Najprawdopodobniej wsiadła w wynajętego busa. Powinna być tu w ciągu godziny, może dwóch. Ważne, by być na rogu tych dwóch ulic.

– To my tam, na stragan z jedzeniem – powiedziała Mia. Lorenzo szybko przytaknął.

– Dla mnie bez znaczenia, byle ona was nie zobaczyła. Weźcie to – Nejm rozdała wszystkim smycze, na których końcach wisiały długie gwizdki.

– To najgłośniejsze, co udało mi się dostać. Później wypróbuję... – nie zdążyła dokończyć, bo Lorenzo Capella dmuchnął z całych płuc. Gwizdnął tak głośno, że obejrzało się kilku kierowców, zatrzymał jeden wózek pełen brudnych naczyń, a przysypiający staruszek zerwał się na równe nogi.

– O dobrze, że się pan przebudził – ucieszyła się Mia Jacobee. – Przyniosę panu coś do jedzenia.

– Nie przeciągając... – westchnęła Nejm Ry-Di. – Pamiętajcie, jest was dwójka. Zajmijcie dobre miejsca. Niech zawsze ktoś patrzy. Ja będę się kręcić pomiędzy.

Rozeszli się. Simon Holemans usadził Annę Strąg przy stoliku zaraz za górą durianów. Kolczaste skorupy owoców wielkich jak arbuzy poukładane były w piętrzący się, trójkątny stos. Stanowiły całkiem okazałych rozmiarów zasłonę. Handlarka z dumą prezentowała białe, świeżo wyluskane porcje mięszu, który wyglądem przypominał cząstki mózgu.

– Próbowalaś?

– Nie. Wiem, że jest zakaz wchodzenia z tym owocem do hoteli i samolotu.

– Bo śmierdzi. Ale to król owoców. Owoc i deser jednocześnie. Je się na surowo lub smażone, są nawet lody o smaku duriana.

– Ale śmierdzi!

– Jak najlepszy ser pleśniowy – zagadywał Simon Holemans, nie spuszczać wzroku z ulicy.

Na drugim końcu stała druga para. Wyprężona Anabell Seseke i zblazowany Scott Whitus.

– Jesteś pewny, że przyjdzie? – zapytała Niemka.

– Ona jest pewna. Komuś trzeba wierzyć – odpowiedział Anglik.

– Patrz tu, a ja tam – zdecydowała Anabell Seseke, pokazując miejsce przy ulicy. Sama stanęła przy chodniku, lokując się przy filarze, zza którego mogła spoglądać na telewizor. Pokazywano galę boksu tajskiego.

Mia Jacobee i Lorenzo Capella usadowili się za niewielką budką i przynosili sobie nawzajem smażone ostrygi. Za każdym razem w innych smakach.

Po dwóch godzinach Australijka i Włoch siedzieli na chodniku oparci o siebie plecami i ziewali ze znużenia i przejedzenia.

Niemka i Anglik wciągnęli się w galę i komentowali razem z lokalnymi oglądaczami wygrane lub przegrane kolejnych zawodników, co jakiś czas przypominając sobie, żeby obejrzeć się za siebie.

Polka zasnęła wsparta na ramieniu Belga, któremu ograniczała pole widzenia, ale nie odważył się poruszyć. Liczył na resztę. Monotonny gwar usypiał. Jemu również przymykały się oczy. Nagle poczuł lekkie szturchnięcie i usłyszał przeciągły gwizd. Handlarka próbowała dać mu do zrozumienia, że za długo zajmuje stolik i nie na żarty się przestraszyła, widząc, jak klient zrywa się na równe nogi, strząsając partnerkę ze swojego ramienia.

Simon Holemans wyskoczył na środek ulicy. Zobaczył mknący motor z pasażerem na tylnym siedzeniu. Nie miał wątpliwości. Postać była w kasku, ale nogi, złote adidas i mały plecak należały do Luzi Lu. Za nim dostrzegł rozpędzonego tuk-tuka, dojrzał też rozjaśnione końcówki włosów. Z drugiego końca ulicy mignęła mu Anabell Seseke, która sekundę wcześniej zauważyła ścigające się pojazdy i rzuciła się bezradnie na jezdnię. Krzyczała i machała rękami. Niewiele była w stanie zrobić, oprócz tego, że motor musiał zboczyć z drogi i otarł się o jeden ze straganów. Zachwiał się i zahaczył o pęk papierowych latawców z powycinanymi smokami. Pociągnął łańcuchy wraz ze sznurem wachlarzy z bibuły i kiścią nadmuchanych balonów z wstążeczkami. Kierującemu udało się to wszystko zrzucić z siebie, zostawiając w tyle krzyżącego właściciela straganu i goniący go pojazd. Tuk-tukowi znacznie trudniej było lawirować, nie tylko z powodu przechodzących ludzi, ale papierowych dekoracji, które owinęły się wokół kierownicy motoru z naczepą, zasłaniając Nejm Ry-Di widoczność. Simon Holemans biegł pomiędzy stolikami rozstawionymi na chodniku, przewracając kilka tarasujących mu drogę krzesłek. Nagle zobaczył przed sobą lawinę z durianów i Annę Strąg. To ona jakimś cudem podważyła stolik z wielkimi, ciężkimi owocami, które poturlały się na jezdnię, tuż pod koła motoru. Prawie się udało, motor musiał zwolnić i brakowało metra, żeby chwycić powiewający kucyk. Natomiast goniący go tuk-tuk z Nejm Ry-Di za kierownicą utknął – zmiażdżony skórzasty owoc tkwił pomiędzy jego kołami. Simon Holemans wściekłymi kopniakami odrzucał kolejne turlające się pod koła duriany. Na pomoc dobiegła Anabell ze Scottem. Nejm Ry-Di ruszyła. Gwizdząc nieprawdopodobnie głośno, zaczęła rozpraszać ludzi, którzy rozstępowali się niczym ławica ryb przed groźnym drapieźnikiem. W ostatniej chwili Simon Holemans wskoczył na schodek naczepy tuk-tuka i przytrzymał się drążka. Odjeżdżając, zobaczył Annę Strąg, która szamotoła się z potężnie zbudowaną i wściekłą handlarką durianów.

Motor zniknął, wjeżdżając w węższą ulicę. Ostatnią deską ratunku byli Mia Jacobee i Lorenzo Capella oraz dziwna zapora, którą tworzył tłumek ludzi w mocnych światłach. Simon Holemans nie widział, co tam się działo, ale motor musiał zwolnić, choć nie zrezygnował z dalszej jazdy – przebijał się, trąbiąc i rozpędzając pojedyncze osoby. W pewnym momencie ktoś zaczął przeraźliwie głośno krzyczeć. Okazało się, że na drodze agresywnie jadącego motoru stała dziewczynka, której nadmuchany helem złoty smok utknął w rurkach dwóch zahaczających o siebie daszków, a puścić go nie mogła, bo koniec wstążki miała przywiązany do nadgarstka. Obok stał Lorenzo Capella. Włoch rzucił się pod koła motoru, odrzucając dziewczynkę na bok, sam zaś, uderzony przez pojazd, wyleciał w powietrze i gruchnął na plecy. Motor przewrócił się, Luzi Lu zeskoczyła i poturlała się w tłum, a pojazd sunął jeszcze bokiem kilka metrów po jezdni. Młody kierowca, zatrzymany przez oburzonych gapiów, skupił na sobie uwagę. Inni obstąpili płaczącą dziewczynkę i leżącego na plecach bohatera. Tuk-tuk musiał zatrzymać się wcześniej. Tylko Mia Jacobee miała szansę zobaczyć odrzucony kask, migające złote buty i mocno utykającą Luzi Lu, która zmierzała w kierunku herbaciarni. Zaczęła za nią biec. Spadły jej z nosa wielkie słoneczne okulary. Została w jednym, ciemnym, korekcyjnym szkłe. Potknęła się o wysoki krawężnik i rozłożyła plackiem na ziemi. Podniosła się szybko, znowu zaczęła biec, gwizdać i wydierać się wniebogłosy, chcąc ściągnąć jakąś pomoc. Nie słyszała jednak, by ktoś biegł za nią, a Węgierkę dzieliło od witryny z porcelanową figurą wąsatego bożka bogactwa zaledwie kilkanaście metrów. Nie przestawała jej gonić, nawet się do niej zbliżyła, była już bardzo blisko... Wtedy zobaczyła, że przy Luzi Lu zatrzymał się motor z kierowcą w czarnej pelerynie. Prowadzący wyciągnął w jej kierunku rękę, ale nie tak, by ją podać, ale by coś na niej położyć. Węgierka obej-

rzała się i zobaczyła Mię, która miała szansę ją dopaść. Chwilę się wahała, w końcu położyła zawiniątko na wyciągniętą dłoń i dopiero potem wsiadła. Ruszyli, pozostawiając zziąjaną Mię Jacobee. Wyczerpana, usiadła na chodniku i spuściła głowę. Po chwili zobaczyła obstepujących ją znajomych. Bezradnie rozłożyła ręce.

- Musimy się stąd ewakuować. Rzeką będzie najbliżej - powiedziała Nejm Ry-Di zrezygnowanym tonem.

*

Li Panguy wyciągał z wielkiego papierowego pudełka prażone pasikoniki i wrzucał je sobie do ust. Czując się jak w kinie, spoglądał na ścianę z odsłoniętą czerwoną kotarą. Wisiało na niej kilkanaście monitorów, które wyświetlały obrazki z kilkuset kamer rozmieszczonych po całej dzielnicy. Wiedząc, że Węgierkę już tu wiozą, spokojnie czekał, rozgryzając chrupiące skrzydełka i odnóża. Wyciągnął przed siebie pilot i przełączał podglądy, przeskakując z kamery na kamerę. Zainterесował go obrazek sprzed sklepu jubilerskiego, gdzie kręcono reklamę. Wysoka modelka miała na sobie suknię ze złotych cekinów z wysokim, sterzącym kołnierzem. Sztywna kryza wspaniale eksponowała dekolt i szyję, wokół której mienił się naszyjnik z jademitami przypominający grubą obrożę. Długo i uważnie patrzył.

- Zamówię ci takie ubranko - powiedział do łaszającej się rudej kotki. - Tobie też, choć na ciebie jestem obrażony - rzucił w kierunku śpiącej białej kici. W tym samym momencie zobaczył rozstepujących się ludzi, motor, dziecko, balon, wypadek... Potem widząc uciekającą Węgierkę z plecakiem na plecach, odrzucił pudełko z prażonymi pasikonikami i usiadł z otwartymi ustami. A gdy zobaczył biegnącą za nią nieporadną pannę, wstrzymał oddech. Odetchnął, dopiero gdy potknęła się o krawężnik. Wtedy utykająca dziewczyna zwiększała dystans, od wejścia do sklepu dzieliło ją kilkanaście metrów. Pomyślał, że zaraz zatrzaska drzwi i okna pancernymi roletami. Przygotował pilot, patrząc na podnoszącą się dziewczynę z jednym zaciemnionym szkłem. Panna krzyczała, biegnąc, przykładając ręce do ust, ale jedyny pościg, jaki dojrzał na drugim monitorze, był dopiero na sąsiedniej ulicy. Zaciśnął pulchne pięści. Węgierka miała już mniej niż dziesięć metrów. Zaraz wbiegnie! Zasapana dziewczyna w jednym okularze była już niebezpiecznie blisko. Wtedy podjechał jakiś motor z kierowcą w pelerynie i kasku. Węgierka wsiadła i odjechali.

Li Panguy jak w amoku podniósł się z łóżka. Z wściekłości zaczął tupać nogami i machać pulchnymi rękami. Cały się trząsł, trząsł się jego podbródek i zwisający do kolan brzuch. Zatrząsł się również sufit. Ludzie ze sklepu na dole, widząc osypujący się tynk, wybiegli przestraszeni na zewnątrz. Po chwili wrócili, zadzierając głowy z niepokojem, ale oprócz wielkiego łomotu nic więcej się nie zadziało.

Li Panguy opadł na łóżko i wyczerpany ziajął do czasu, gdy nie zadzwonił telefon. Przyciągnął do siebie wysięgnik. Chwilę odczekał i odebrał, uśmiechając się przymilnie do wyświetlacza.

- Czas ubić interes...

Rozdział 32

Chao Phraya

Niewielka łódź, pełniąca rolę wodnej taksówki, sunęła przez ciemne wody Menamu, zwanego Chao Phraya, czyli Król Rzek lub Rzeka Królów, jak woleli mówić niektórzy władcy Tajlandii. Łódka mijiała rozświetlone przystanie, pałace, świątynie, drapacze chmur i ozdobione łańcuchami kolorowych żarówek statki wycieczkowe, z których dochodziły muzyka, pojedyncze rozmowy i perliste śmiechy rozbawionych turystów.

Na łodzi nie słychać było żadnych rozmów, zachwyty, nikt nie robił zdjęć na tle nocnego Bangkoku, nikt nie śmiał się odezwać. Anna Strąg milcząco wpatrywała się w kępy splątanych lilii wodnych objających się o burtę płynącej taksówki. Bez słowa weszła na pokład i tym samym zmusiła do zadumy całą grupę, która przestała analizować przyczyny nieudanej akcji.

– Przykro mi. Nie pomyślałam – pierwsza odezwała się Nejm Ry-Di.

– To taki początek i koniec tej historii – odpowiedziała Anna Strąg, patrząc w mętną, burzącą się, czarną toń. – Powinniśmy się udać na policję... – dodała, zgarniając z twarzy rozwiane srebrzące się kosmyki włosów.

– Tak, ale najpierw pojedziemy do naszego biura – zdecydowała Nejm Ry-Di. – Tam już czeka dwóch adwokatów. Musimy ustalić strategię.

– A czy ją uda nam się złapać?

– Nie wiem... – wzruszyła ramionami Nejm Ry-Di. – Powiadomiłam już porucznika zajmującego się tym śledztwem... Musiałam. Przynajmniej Luzi Lu nie opuści Tajlandii albo będzie to dla niej trudne.

– Mamy kłopoty? – spytała Anna Strąg.

– Trochę – pokiwała głową Tajka, zgarniając z twarzy płaczące się włosy.

– To wysadźcie mnie tam – Anna Strąg pokazała wysoki apartamentowiec, przy którym znajdowała się niewielka przystań. – Muszę porozmawiać z Fabienne i Kayem. Potem może nie być czasu. Dołączę do was za godzinę. Nie dłużej.

Tajka kiwnęła głową na zgodę i wydała dyspozycje. Łódź zawinęła. Simon Holemans pomógł Annie wysiąść.

– Przepraszam was, muszę to jakoś im wytłumaczyć – powiedziała do wpatrzonych w nią grupy. – Wiem, gdzie dojechać, za niedługo będę. I poradzę sobie – dodała, uprzedzając pytanie Belga. Odwróciła się i odeszła.

– Ucieka? – zapytał przestraszony Scott Whitus, patrząc na powiewające srebrne włosy oddalającej się Anny.

– Nie – odpowiedział mu Belg.

– To już niedaleko – dodała Nejm Ry-Di, gdy odbili od brzegu.

– Dobrze, bo chcę do toalety – jęknęła Anabell Seseke.

– Będę zawsze pamiętać tę chwilę – westchnęła głośno Mia Jacobee. – Ale pamięć to dziwna rzecz – dodała pod nosem, opierając brodę o burtę. – Nie mogę sobie przypomnieć, o jakiej porze dnia widziałam Martina, choć wiem dokładnie, że to było na ulicy, kiedy jednocześnie zatrzymaliśmy tego samego tuktuka... – dywagowała. – Od tego czasu tyle się wydarzyło. Życie jest piękne!

– Co powiedziałaś? – zapytał Simon Holemans.

– Że życie jest piękne.

Anna Strąg położyła się na kanapie w mieszkaniu Fabienne i Kaya Chomjan. Nikogo nie było, ale usłużył portier, który jeszcze niedawno pomagał jej wynosić walizki, szybko zadzwonił do „Mister Chomjana” i korzystając ze swojej karty, otworzył apartament, informując ją, że państwo zaraz wrócą. Pamiętał solidny napiwek, jaki wręczyła mu, wyjeżdżając.

Postanowiła odpocząć i zadzwonić za pół godziny, gdyby nikt nie wrócił. Przypominając sobie rzekę i lilie, zaczęła przeglądać zdjęcia z nadsyłanych przez Martina wiadomości. Tadiusz, Lorenzo, Mia, Fabiennne, Simon, Luzi, Anabelle, Scott. W końcu zasnęła.

Obudziła ją rozmowa dobiegająca z korytarza. Już chciała się odezwać, gdy usłyszała:

– Nie musiałaś go zabijać – mówiła Fabienne.

– Obudził się – odpowiedziała Luzi Lu. Anna z wrażenia zakryła ręką usta. – Widział, jak grzebię w jego rzeczach. A przede wszystkim chciał jej to oddać, dureń!

– A ty chciałaś mnie wykiwać! – prychnęła Fabienne, zdejmując z siebie czarną pelerynę.

Anna Strąg zerwała się z kanapy i zaczęła nerwowo rozglądać. Schowała się za zasłonką przy tarasowym oknie i słuchała przerażona:

– Chciałam ominąć pośredników...

– To ja cię znalazłam, to ja ci zleciłam zadanie, a ty chciałaś mnie wykiwać!

– Znowu to samo! Ile razy będziesz to powtarzać?! Mój błąd. Sama zaprowadziłam tego staruszka do szlifierza. Myślałam, że ma coś wartościowego. Dowiedziałam się, że bursztyń, i odpuściłam. Ale to ja byłam pierw...

– Gdyby nie ja – przerwała jej Fabienne – nic byś nie znalazła! Nic!

– To taki wyczyn, że znalazłaś mnie na Instagramie... bo ci koleżanka pokazała?!

– Znacznie ciekawszych rzeczy dowiedziałam się we Francji, jak pochwaliłam się młodej kuzynce, że cię znam. Podobno twój narzeczony spadł ze skały na spacerze w twoim towarzystwie.

– Niezdarny był i pazerny... A teraz rozliczmy się – zaproponowała Luzi Lu. – Dawaj moje pieniądze.

Anna nie była w stanie się wychylić, nie mogła też oddychać. Patrzyła tylko przez wąską szczelinę w zasłonach. Zobaczyła jakiś zwitek na stole.

– To?! To jedna setna tego, co mogłabym dostać.

– Mogłaś już być na policji.

– Jeśli uważasz, że tym mnie zbędziesz... – Anna Strąg zobaczyła Luzi Lu, która zdjęła z szafki szklaną wieżę Eiffla i gruchnęła ją o kant stołu szklanym czubkiem. W rękach została jej większa część z ostrym końcem.

– Weź to, co ci daję! Dobrze ci radzę i znikaj jak najdalej stąd! – groziła Fabienne.

– Oddawaj! – Anna zobaczyła, jak Luzi Lu idzie w kierunku Francuzki. Już miała wyjść zza zasłonki, gdy usłyszała tępy odgłos, a zaraz po nim huk rozbijającej się bryły szkła, która uderzyła o ziemię, chwilę przed tym jak Węgierka upadła. Fabienne trzymała w ręku pistolet. Anna zagryzła własne palce, którymi zasłaniała twarz. Gryzła je tak mocno, że w jej oczach pojawiły się łzy.

– Myślałaś, że jesteś młodsza i sprawniejsza? – mówiła Fabienne, chodząc wokoło leżącego ciała. – Nie mogłam ci go oddać. Spłacę nim swoje długi u Chińczyka. Jeślibym tego nie zrobiła, leżałabym tak, jak ty teraz. Jedzona przez krokodyle... – westchnęła.

Z korytarza dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Pobiegła w ich kierunku.

– Miało cię nie być! – wykrzyknęła.

– Ale przyjechałem. Portier dzwonił, że wpuścił Annę... – z głębi korytarza dobiegł głos Kaya.

– Śmierdzisz kobietą! – wrzasnęła Fabienne.

– O czym ty mówisz?! O co ci chodzi?! Nie zaczynaj!

– Myślisz, że nie czuję! Myślisz, że nie wiem! Wynos się! Wynos! Wynocha! – wykrzykiwała jak wariatka.

– Jak sobie chcesz – usłyszała tuż przed trzaśnięciem drzwi.

Anna Strąg nie zdążyła się zastanowić, czy Kay mógłby być jej sprzymierzeńcem, czy są w zмовіе. Rzuć się w kierunku drzwi czy nie? Zresztą teraz to i tak nie miało znaczenia. Wydał ją i zostały same.

– Anno, gdzie jesteś?! Wyjdz, już po wszystkim – mówiła Fabienne, chodząc jak oszalała po salonie, z bronią w ręku. – Jesteś tu? Prawda? – pytała. – Jesteś? Wymierzyłam sprawiedliwość. Widziałas? To było w obronie własnej... – pytała tak do momentu, w którym jej wzrok padł na zasłonkę. Zaczęła iść w jej kierunku. – Widziałas? – powtórzyła, rozsuwając kotarę. Jedyne ruch, jaki mogła wykonać Anna, to szarpnąć za klamkę tarasowych szklanych drzwi. Rozsunęły się z łatwością. Dała radę uskoczyć i wybiec. Fabienne wybiegła za nią, mierząc z broni.

– Krzykniesz... Nie zdązysz. Zapewniam.

Anna rozejrzała się dookoła siebie. Była w beznadziejnej sytuacji. Fabienne stała w drzwiach z dziwnym uśmiechem na ustach. Ona miała za sobą tylko szklaną barierkę i trzynaście piętér w dół.

– Dlaczego? – zapytała bezradnie.

– Interesy... Widziałas moją perełkę, moją oazę Cinamon Serenity Spa Resort... – zamyśliła się. – Nie masz pojęcia, ile to kosztowało. Musiałam się zadłużyć i długi wciąż rosną. I to... – wyjęła z kieszeni tuniki małe zawiniątko, które okazało się pogniecioną kopertą, wyciągnęła z niej bursztyn, który trzymała przed oczami, i dokończyła: – I to może wybawić mnie z kłopotów.

– To tylko bursztyn... to tylko pieniądze – jęknęła Anna, zbliżając się do barierki, a Fabienne powoli zbliżała się do niej.

– Tylko, jak się je ma!

– Mogłam ci pożyczyć...

– Nie masz tyle.

– Masz bogatą rodzinę... – mówiła Anna z przerażeniem, oglądając się za siebie. W dół było bardzo, bardzo daleko.

– Ale nie chcą już inwestować... Zresztą już ich nie potrzebuję. Wszystko będzie po staremu...

– A co ze mną zrobisz?

– Niepotrzebnie przyszłaś... Niepotrzebnie – powtórzyła, mierząc w jej pierś. – Nie mam wyjścia. Za daleko to zaszło... Możesz wybrać... jeśli wolisz skoczyć...

– Martinowi też pozwoliłaś wybrać? – zapytała w momencie, gdy zobaczyła jakieś cienie w salonie. – Pozwól mi tylko to wiedzieć... Tylko to – prosiła, starając się patrzeć jej w oczy, ale nie gubić kontaktu wzrokowego z kimś, kto pojawił się w salonie.

– To był wypadek, chyba nie myślisz, że mu coś zrobiłam... W warsztacie u szlifierza pochwalił się, że mnie zna. Li Pangu już wiedział, że mogę go odnaleźć... Martin nie znał wartości... Śmiał się, pokazując puste kieszenie. Mówił, że oddał komuś... Prosiłam, błagałam, groziłam... na nic. Chciał tylko wysiąść z mojej motorówki... Wypadł i już nie wypłynął.

– A potem pojawiłam się ja... – mówiła Anna, widząc już bardzo wyraźnie wchodzącą na taras Nejm Ry-Di, która bezszelestnie stawiała krok za krokiem, zbliżając się do Fabienne. W drzwiach stanął też Simon Holemans. Patrzył przerażony i też próbował przesuwac się w ich kierunku.

– Tak, i wróciła mi nadzieja, że się zguba znajdzie – powiedziała Fabienne.

– A jak znalazłaś Luzi Lu?

– Nudzisz mnie... Sama mi ją pokazałaś... Poszperałam... Niezłe z niej było ziółko... A może spotkał swój swego... Dostyc tych pogaduszek... Chcesz mnie rozmiękczyć? Nie uda ci się. Wyglądam na miękka, ale to nieprawda – powiedziała i nacisnęła spust. Dokładnie w tym samym momencie Nejm wyskoczyła i uderzając stopą w nadgarstek, podbiła rękę zaskoczony Fabienne. Kula zaświszczała koło ucha Anny,

paraliżując jej ciało. Stała bez ruchu. Nejm wymierzyła cios w podbródek Fabienne, ale ta lekko się uchyliła i to wystarczyło, żeby pięść Tajki ześliznęła się po jej policzku. Francuzka zachwiała się, ale szybko odzyskała równowagę i cofnęła się o krok. Simon Holemans rzucił się w kierunku Anny, zasłaniając ją swoim ciałem.

– Co tu się dzieje! – wrzasnęła Anabell Seseke, wychylając się na taras. Dziwny układ, jaki pojawił się w drzwiach, na sekundę odwrócił uwagę Fabienne. Dostrzegła swego męża Kaya, któremu Niemka wykręcała rękę, zmuszając do pochylecia się, a Anglik zakrywał mu usta, by nie krzyczał. Ta sekunda wystarczyła, żeby Nejm Ry-Di doskoczyła do Fabienne i chwyciła jej rękę z bronią. Chwilę się szamotały. Nejm Ry-Di zobaczyła wymierzoną w siebie lufę, ale Fabienne nie miała szans. Tajka chwyciła jej nadgarstek i walnęła nim o szklaną barierkę. Fabienne syknęła z bólu. Pistolet wypadł jej z ręki i poleciał w dół.

– Fabienne, coś ty zrobiła? – jęknął Kay. Już się nie wywijał, tylko bezradnie uklęknął na podłodze. Anabell przestała wykręcać mu rękę, ale nie puściła.

Nejm Ry-Di obezwładniła Fabienne takim samym chwytem jak Anabell Kaya.

– Ja chciałam, ja tylko chciałam... – Fabienne próbowała coś powiedzieć, ale słowa grzęzły jej w gardle.

– Porucznikowi będziesz musiała to wytłumaczyć – skwitowała Mia Jacobee, która razem z Lorenzo Capellą weszła na taras, a za nimi pojawił się porucznik Surasak Jintana.

– Wszyscy jesteście aresztowani... – powiedział policjant.

– To niesprawiedliwe!

– Wiedziałem, że tak to się skończy – wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Jedyne Nejm Ry-Di stała z boku i uśmiechając się, kręciła głową.

– Jak zwykle jesteś spóźniony – odparowała Nejm Ry-Di Wong Wai.

Epilog

Porucznik Surasak Jintana patrzył na siedzącą przed nim siódemkę. Wyciągnął miodowoczerwony bursztyń i trzymając w palcach wypolerowany ował, podświetlił go latarką. Oprócz kilku cętek i plamek było w nim rzeczywiście coś, co kształtem mogło przypominać nietoperza z rozpostartymi skrzydłami.

– To naprawdę nietoperz? – zapytała Anna Strąg.

– Potrzebne są badania, ale niewykluczone, że to najstarszy okaz, dziewięćdziesiąt dziewięć milionów lat...

– Taki trochę czerwonawy – powiedział Scott Whitus.

– Mówiłam, że są krwawe – skwitowała Mia Jacobee.

– Ten na pewno – potwierdził porucznik. – Pani Anno, będzie musiała pani postarać się o stosowne dokumenty, by móc go wywieźć. Cóż, trzeba będzie udowodnić, że pani były mąż był jego właścicielem. A to nie będzie łatwe, bo osoba, która mogłaby to potwierdzić, czyli Tadeusz Napierała, nie żyje. Ponadto jest pytanie, czy pani go dziedziczy... Ale to już sprawa prawników, nie moja. I nie wiem, co na to lokalne sądy... Tymczasem pozostanie w policyjnym depozycie.

– Myślę, że wszelkie procedury będą znacznie łatwiejsze, jeśli od razu zaznaczę, że to darowizna dla jednego z bangkockich uniwersytetów – stwierdziła Anna Strąg. – Ktoś musi badać dzieje Ziemi – uśmiechnęła się do Mii Jacobee. – Ja chciałabym dostać tylko to – pokazała na leżącą na biurku kopertę, której wnętrzu było zapisane małymi drobnymi literkami.

– Nie potrafię tego przeczytać – powiedział porucznik Surasak Jintana. – Ktoś to będzie musiał przetłumaczyć... To polski, tak?

– To słowa dla mnie? Mogę? – powiedziała Anna Strąg, biorąc do ręki kopertę. Wszyscy nadstawili uszu. Rzuciła okiem i głośno westchnęła, po czym rozejrzała się po wpatrzonych w nią twarzach i zaczęła czytać: – Moja miła... – tak do mnie mówił. – Jako że ja sam jeszcze zamierzam nie wracać, to przekazuję prezent dla Ciebie poznanemu w Tajlandii Tadeuszowi Napierale. Uczynny i przemyślny człowiek i zarzeka mi się tu (bo siedzimy sobie razem przy zimnym piwku), że prędzej zginie, niż ten bursztyń trafi w twoje ręce. I ja mu wierzę. W środku jest chyba mały nietoperz. Żałuję, że nie motyl, ale tu wszyscy mówią, że to nawet lepiej, bo taki gacek podobno szczęście przynosi i pomyślność w interesach. Czego bardzo, bardzo Ci życzę. Ciągłe żałując, że Cię tu nie ma. Bardzo bym chciał, żebyś choć raz przyleciała. Może przekupię Cię tym prezentem. Całuję. Twój były... ale mąż Martin – skończyła tłumaczyć Anna Strąg, ocierając zaszkłone oczy. Reszta też spoważniała.

Porucznik Surasak Jintana wziął kopertę i ją sfotografował.

– To mi wystarczy – powiedział i oddał Annie Strąg. – A wracając do śledztwa. Prawdopodobnie nie będzie większych kłopotów z przypisaniem Węgierce zabójstwa Polaka Tadeusza Napierały.

– Naprawdę? – zdziwił się Belg. – Według mnie to tylko poszlaki...

Porucznik Surasak Jintana wziął złoty telefon do ręki i otworzył galerię zdjęć, pokazując Luzi Lu na tle Tadzia Napierały zawiniętego w prześcieradło i wciśniętego do lodówki na napoje.

– To chyba nie wystarczy – pokręcił głową Belg. – Już nie żył.

– A to? – porucznik Surasak Jintana pokazał kolejne zdjęcie, na którym Tadzium Napierała leży na dnie pustego basenu, wśród zeschniętych liści, ze styropianowym opakowaniem pod głową i małym trzonkiem od noża w piersi.

– Sam prosiłem, żeby je zrobiła – westchnął Simon Holemans.

– A to? – porucznik Surasak pokazał zdjęcie, na którym było jeszcze prawie ciemno, a z piersi Polaka wystawał dwa razy dłuższy trzonek i do tego cieńszy.

– To mój nóż do filetowania! – wykrzyknął Lorenzo Capella, lecz po chwili się uciszył. – Ale ja go nie miałem. Wszyscy mi pozabierali...

– Zobaczcie, tam na rancie basenu leży rakietka... – zauważyła Anabell Seseke.

– I widać kawałek klapka z pomponem – powiedział Scott Whitus. – Pamiętam, takie miała...

– I to – dodał porucznik, pokazując zdjęcie unoszącego się na wodzie mężczyznę z wojskowymi nieśmiertelnikami na szyi. Wszyscy długo patrzyli.

– Kto to? – zapytało kilka osób jednocześnie.

– Fin z Laosu – wyjaśniła Nejm Ry-Di.

– Hmm... innych nie ma? – spytała Anna Strąg, przerywając ciszę.

– Jeszcze nie wiem, trzeba będzie przejrzeć ten telefon jeszcze dokładniej. I zbadać jej konta... Nie wiadomo, co się okaże. Nie tylko jej narzeczony spadł ze skały, ale zaginął również asystent.

– A co z Kayem? – zapytała Anna Strąg.

– Najprawdopodobniej nie wiedział o poczynaniach żony. Jest w szoku. Ale sprawa pozostaje w toku.

– A Fabienne? – dodała cicho Anna Strąg.

– Poczekaj w areszcie na wyrok... Na razie adwokat domaga się orzeczenia psychiatry.

– Ciągle nie mogę w to uwierzyć... – westchnęła Anna Strąg.

– To nigdy nie jest proste – powiedział Simon Holemans, kładąc rękę na jej ramieniu.

– A to wasze telefony – porucznik wskazał na strunowy woreczek z siedmioma aparatami w środku. – Na dzisiaj już koniec. I chyba muszę was wypuścić.

– Trzymałeś nas tu dobę – prychnęła Nejm Ry-Di, biorąc swój telefon do ręki. – Co tak długo ci zajęło?

– Wiesz, że mogłem dwie i dłużej... – odpowiedział porucznik Surasak Jintana, mierząc się wzrokiem z Tajką.

– Tylko po co? – wzruszyła ramionami, przeganiając włosy. – Rozwiązałam sprawę. Z pomocą Simona Holemansa – sprecyzowała. – To on kazał nam zawrócić łódkę... po tym jak powiedziałam, że już tu kiedyś byłam.

– Dobrze, że spotkaliśmy tego Kaya na schodach – dodała Anabell Seseke.

– Tak. Przepraszam. To była akcja zespołowa.

– Choć pod twoim przewodnictwem – oświadczył Simon Holemans.

– Nejm Ry-Di... – westchnął głęboko porucznik Surasak Jintana – szkoda, że odeszłaś z policji...

– Nie żałuję – uśmiechnęła się Tajka. – Przynajmniej zawsze jestem krok przed tobą.

Porucznik Surasak Jintana zaśmiał się pod nosem.

– Nie mogę was już przetrzymywać, bo mam na głowie dwóch adwokatów – popatrzył na Mię Jacobee i Annę Strąg. – I mnóstwo ludzi z mediów – dodał, spoglądając na Włocha. – Jest pan sławny.

– Ja?

– Dwadzieścia godzin temu filmik z panem obejrzało dwadzieścia tysięcy ludzi. Pojęcia nie mam, ile jest teraz. Proszę zobaczyć pod hasłem: Bohater z Chinatown.

– Ja? – Lorenzo Capella jeszcze raz pokazał na siebie.

– O! Jest! – wykrzyknęła Nejm Ry-Di i pokazała wszystkim wyświetlacz. – Pięćset czterdzieści dwa tysiące – przeczytała wynik pod filmem, na którym Włoch wypycha spod kół motoru dziewczynkę, a sam przyjmuje na siebie siłę uderzenia. Lorenzo Capella zaczerwienił się i zaczął obmacywać swoje plecy.

– Dlatego tak mnie boli... Ale to nic takiego...

– Ooo, jest jeszcze drugi! – wykrzyknęła Nejm Ry-Di. – Nieźle! Ten jest z tą modelką. Zobaczcie, razem z tłumem klaszcze i robi sobie z Lorenzo zdjęcie. Kolejne sto tysięcy. Popatrz sobie...

– To się mamusia nie ucieszy... – westchnął oszołomiony Włoch, przecierając strapiione czoło.

– A czego ty się tak boisz? – zapytał Scott Whitus. – Jesteś sławnym bohaterem. Ciesz się tym.

– Mama jest konserwatywna... A to bardzo wysoka dziewczyna, z wąską talią, długimi palcami u rąk – wybąkiwał, spoglądając na zdjęcie w telefonie Nejm Ry-Di. – No wiesz... Tadziu mówił... Dla mnie to w porządku, ale mama...

– Farangowie są dziwni... – westchnął porucznik Surasak Jintana.

– Dokładnie – przytaknęła Nejm Ry-Di. – Ja osobiście nie znam matki, która by się nie ucieszyła, że jej przystojnego, bohaterskiego syna oklaskuje aktualna Miss Tajlandii.

– Ty chyba naprawdę jakiś dziwny jesteś! – stwierdziła Mia Jacobee.

– Serio?! I ja jej nie chciałem dać telefonu? – pytał sam siebie, patrząc na zdjęcie dziewczyny.

– Odprowadzę was do drzwi – powiedział porucznik Surasak Jintana.

– Zapraszam wszystkich na kolację do Mandarin Oriental, nasze bagaże już tam są – oświadczyła Anna Strąg. – Pana, panie poruczniku, również.

*

– Głupio wam teraz! – nie wytrzymał Scott Whitus, gdy szli długim korytarzem. – Przyznajcie, że wam głupio! – rzucił w kierunku Anabell Seseke, która przytaknęła dla świętego spokoju.

– Mnie jest głupio – oświadczył Lorenzo Capella, uderzając się pięścią w głowę. – O, mama dzwoni – dodał, wyciągając telefon z kieszeni... – Tak... Tak... Tak, mamusiu, to Miss Tajlandii...

*

– Surasak, czy słyszałeś ostatnie nowiny? – zapytała Nejm Ry-Di.

– Jakie?

– Te wspaniałe! – oświadczyła, pokazując wyświetlacz telefonu. – Twój sobowtór przefarbował się na różowo.

– To dobrze – uśmiechnął się porucznik.

– Ale nie wiesz dlaczego.

– Zdaje się, że wiem – odpowiedział, kryjąc zadowolenie.

– Znany reżyser oświadczył, że doznał olśnienia i w jego nowym serialu Joe Sukkasem zagra podwójną rolę: przestępca i jego brata bliźniaka... policjanta.

– Nie wierzę – jęknął, przystając w miejscu.

– Mia, poczekaj... – krzyknęła Nejm Ry-Di, doganiając Australijkę. – Zobacz, tam mają najlepsze okry w tempurze!

*

– Nie wierzę – powiedziała Anna Strąg, gdy Simon Holemans chwycił ją za rękę. – Nie wierzę, że to ona. Cały czas kłamała.

– Ty też wszystkich oszukałaś.

– Ale ja tylko tak ogólnie, że to ostatni etap... życia...

– Pamiętam dokładnie, mówiłaś, że to ostatnie stadium.

– Zagubione w tłumaczeniu...

– I tak się cieszę, że to nieprawda.

Posłowie

Pomysł, by umieścić akcję kryminału w Tajlandii, przyszedł nagle i niespodziewanie w małym, muzycznym barze Tawan Eco Bar na wyspie Ko Kut, w którym właściciel Jong wypisał na ścianie: *Hot Beer, Bad Service, Expensive, Live music, No Drugs, No Wi-Fi...* Takie zaproszenie od razu zachęciło nas do wejścia. Okazało się, że trzeba się obsłużyć samemu – podejść do baru, zrobić sobie drinka i zostawić pieniądze w koszyku, bo Jong jest w tym czasie zajęty graniem i śpiewaniem coverów. Oczywiście bardzo chętnie udostępnia gitary, bębny czy nawet akordeon tym, którzy chcą się przyłączyć. Cudowna atmosfera!

Było to jedno z pierwszych miejsc, do którego udaliśmy się z Markiem, powracając do Tajlandii po pandemii. Ku naszej radości bar przetrwał, został nawet wyremontowany, wyglądał ładniej. Wystarczyło się obsłużyć i czekać, aż Jong zagra *Wish you were here* Pink Floyd, albo zająć się zgadywaniem, który z gości zrobi to pierwszy. Ale moją szczególną uwagę zwróciła ściana, do której było przybitych kilkadziesiąt wyciągniętych z wody deseczek, z wypisanymi imionami i nazwiskami ludzi z różnych części świata. Tam zobaczyłam między innymi: Anabell Seseke, Scott Whitus, Luzi Lu, Mia Jacobee, Martin S... Wyjaśniła mi to niejaka Kathleen, która też miała tam swoją wizytówkę. Otóż jeszcze przed pandemią ulewne deszcze podmyły pale, na której opierała się posadzka. Podłoga baru spłynęła, a sezon turystyczny pozwalający odrobić straty nie nadszedł. Podwójne nieszczęście. I wtedy któryś z przyjaciół Jonga podrzucił pomysł, by zwrócić się o pomoc do znajomych z Facebooka. Może nie jest im obojętne, czy przetrwa miejsce, w którym spędzili czas, słuchając, śpiewając, grając, wydając sobie pieniądze z koszyka? Odzew był niesamowity. Dzięki pomocy tych ludzi udało się naprawić szkody i przeczekać zły czas. W podziękowaniu Jong umieścił ich imiona i nazwiska na ścianie. Wspaniała i wzruszająca historia. Ale jaki z niej morał? Uważaj, darczyńco, bo możesz trafić do kryminału! Przepraszam, ale czy to moja wina, że właśnie w tym momencie pojawiła się wena?

Nie znam ani Lorenzo Capelli, ani Simona Holemansa, ani Sebastiana Kircha, ani całej reszty. Pożyłyłam tylko ich imiona i nazwiska. Nawet nie wiem, z jakiego kraju pochodzą i kim są. Luzi Lu nie jest węgierską instagramerką, bo jedyna Węgierka, jaką spotkałam w podróży, miała na imię Furia. Poznałam ją w Laosie, gdy rozmawiała z Finem... z nieśmiertelnikami na szyi. Ale to już zupełnie inna historia.

Pragnę podziękować mojemu mężowi Markowi, dzięki któremu podróżuję po Azji Południowo-Wschodniej, poznając miejsca, ludzi i niesamowite opowieści. Tam poznałam nie tylko Furię z Węgier, ale i Riam, i Michała z Ao Pong na Ko Mak. Z kolei na ukochanym Ko Phayam – Mister Gao i panią Gek, cudowne kucharki z Nong Taew, szamana posiadłości Chomjanów, Piczaię i Kaya, Wassenę i Eryka, Teresę i Waltera, rajskiego węża, także Amnar the Woman z Job2do i wielu, wielu innych.

Sobie zaś zawdzięczam poznanie Tan. Tanchanouk Yimsomboon przyjechała z Bangkoku do Warszawy studiować grę na pianinie. Pewnego dnia wybrała się do Muzeum Narodowego i tam przy sztalugach zobaczyła studenta malarstwa, który kopiował „Bitwę pod Grunwaldem” Jana Matejki w oryginalnych wymiarach. Zrobił na niej wrażenie! Jej męża Ireneusza Rolewskiego poznałam przy okazji pisania *2 milionów za Grunwald*, a on przedstawił mi swoją uroczą żonę Tanchanouk Yimsomboon-Rolewską. Tan świetnie mówi po polsku, więc wiele razy pomogła mi w pisaniu tej książki, podsuwając pomysły i rozwiewając wątpliwości obyczajowe i językowe. Z wdzięczności wymyśliłam dla niej wyspę Ko Tan, choć para tak mądrych, pięknych, niezwykle utalentowanych i zakochanych w sobie ludzi zasługiwałaby na całą książkę.

Wszystkim wymienionym i niewymienionym, którzy w jakikolwiek sposób pomogli mi w powstaniu *Zabójstwa w Kraju Uśmiechu*, serdecznie dziękuję.

A Czytelników, którym się ta książka spodobała, zapraszam na część drugą do Wietnamu. Tym razem będzie to *Morderstwo w mieście światła* i wycieczka po wspaniałym rozświetlonym lampionami Hoi An,

w którym kiedyś pojawił się znachor z Polski... Właśnie lecę do Wietnamu, mam spotkanie w ambasadzie w Hanoi... Cóż, zobaczymy, kto tym razem trafi do kryminału.